

Tadeusz Wolak

**WSPOMNIENIA ŻOŁNIERZA
27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY
ARMII KRAJOWEJ Z LAT 1943–1944**

WALKI O POLSKOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ WOŁYNIA

Warszawa 2016

© Copyright by Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wołyński

Redakcja:
Joanna Tarasiewicz

ISBN 978-83-63016-30-2

Skład, druk, oprawa:
Oficyna Drukarska Jacek Chmielewski
ul. Sokołowska 12a, 01-142 Warszawa
tel. (22) 632-83-52, (22) 631-30-50, fax (22) 631-49-40
info@oficyna-drukarska.pl, www.oficyna-drukarska.pl

SPIS TREŚCI

Przedmowa – prof. dr hab. <i>Władysław Filar</i>	5
Partyzancki oddział „Bomby”	14
Wymarsz z Przebraża	30
Dotarcie do rejonu koncentracji	38
Partyzancka stolica	44
Nowe miejsce postoju	46
Upowskie sąsiedztwo	50
Alarm nie po raz pierwszy	53
Nieoczekiwani goście	60
Walki o rozszerzenie terytorium bazy operacyjnej	62
Uderzenie na Ośmigowicze	65
Uderzenie na Oździutycze	72
Pierwsze odznaczenia	75
Uderzenie na Hołoby	78
Przybycie Kompanii Warszawskiej	80
Kontakty z Armią Radziecką	86
Bój o Turopin i Turzysk	89
Przesunięcie dywizji na zachód	96
Prima aprilis	102
Walka o Czmykos i Sztuń	104
Rezurekcja i zrzut	107
Bój o Pustynkę	110
Współdziałanie z Armią Radziecką	118

Przebijamy się z okrażenia	127
Niemcy na naszym tropie	132
Szackie lasy	138
Przejście Bugu	150
Na Lubelszczyźnie	159

PRZEDMOWA

W latach drugiej wojny światowej Wołyń stał się miejscem wielkiego dramatu polskiej ludności. Po klęsce wrześniowej, w ciągu dwóch lat sowieckiej okupacji, w wyniku aresztowań i deportacji Polaków w głąb Związku Radzieckiego, Wołyń został pozbawiony politycznych i kierowniczych elit zdolnych do podjęcia czynu niepodległościowego. W okresie niemieckiej okupacji (1941–1944) Wołyń był terenem, na którym ścierały się siły i interesy dwóch walczących z sobą państw: III Rzeszy Niemieckiej i Związku Sowieckiego. Za przyzwoleniem i cichą zgodą niemieckiego okupanta szeroką antypolską działalność rozwinęła Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Od 1942 roku pojawiły się na Wołyniu liczne oddziały sowieckich partyzantów prowadzących nie tylko akcje dywersyjno-sabotażowe przeciwko okupantowi niemieckiemu, ale realizujących przede wszystkim zadania związane z rozpoznaniem i przygotowaniem terenu do powrotu sowieckiej władzy. Swoje struktury cywilne i wojskowe tworzyło także Polskie Państwo Podziemne, przygotowując się do operacji „Burza”. Trzy siły: sowiecka partyzantka, polskie podziemie i w pewnym stopniu także podziemie ukraińskie, występowały przeciwko niemieckiemu okupantowi, ale jednocześnie wzajemnie się zwalczały. Sowiecka partyzantka zwalczała ukraińskie podziemie nacjonalistyczne, lecz tam, gdzie się tylko dało, także polskie podziemie niepodległościowe związane z polskim rządem w Londynie. Bojówki OUN i oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) toczyły boje z sowiecką partyzantką i w ograniczonym stopniu występowały przeciwko niemieckiej administracji i policji, ale najważniejszym frontem ich działań była zdecydowana i krwawa rozprawa z bezbronną ludnością polską. Każda z wymienionych wyżej sił realizowała swoje cele, najczęściej sprzeczne z celami innych. W lasach Wołynia włóczyły się także bandy składające się z Kozaków zbiegłych z niemieckiej służby, dezertersów z innych niemieckich formacji

pomocniczych, białogwardyjskie oddziały rosyjskie, a także luźne bandy chłopskie chodzące samopas. Różnorodność zachowań i sekwencje nakładających się na siebie wydarzeń tworzyły na Wołyniu niezwykle złożony obraz przypominający „dzikie pola”, na których panował niebywały chaos osiagający poziom anarchii, którego żadna z działających tam sił nie była w stanie opanować. Przegrywali na tym przede wszystkim mieszkańcy tej ziemi: Polacy i Ukraińcy, płacąc za to najwyższą cenę.

Niebywały terror i dramat polskiej ludności narastał stopniowo. Rozpoczęło się od przegranej wojny z Niemcami i okupacji sowieckiej. W ciągu dwóch lat okupacji na Wołyniu dokonały się znaczące zmiany demograficzne, społeczne, ekonomiczne i polityczne. Polska ludność poniosła duże straty, przede wszystkim jakościowe, na skutek represji okupanta oraz zniszczenia inteligencji i patriotycznej części polskiego społeczeństwa. Sytuację tę Komendant Armii Krajowej gen. Stefan Grot-Rowecki oceniał następująco: „Po ciężkim okresie okupacji sowieckiej, teren został ogołocony z elementu wartościowego. Zupełny brak oficerów zawodowych, a nawet rezerwy, utrudnia odbudowę komend okręgów i obwodów. Muszę wysyłać ludzi z Gen[eralnego] Gub[ernatorstwa]”¹.

W okresie niemieckiej okupacji pogłębiła się ciężka sytuacja polskiej ludności na Wołyniu. W swojej polityce narodowościowej Niemcy wykorzystali w pełni przeciwieństwa i antagonizmy między Polakami a Ukraińcami. Tworząc administrację okupacyjną na Wołyniu, oparli się na elemencie ukraińskim, uważając, że Ukraińcy będą stanowić odpowiednią przeciwwagę w stosunku do Polaków. Pozostawili samorząd utworzony przez Ukraińców, dodając tylko do istniejącej już administracji ukraińskiej swoje szczupłe kadry kierownicze. W miejsce milicji organizowanej w pierwszych tygodniach okupacji utworzono ukraińską policję w służbie niemieckiej. W ten sposób administracja i policja na Wołyniu pozostała całkowicie w ukraińskich rękach. W tych warunkach polska społeczność była narażona nie tylko na terror niemieckiego okupanta, ale także na zdecydowanie wrogi stosunek ukraińskiej administracji.

Na terenach zajętych przez niemiecką armię ożywiła się działalność ukraińskich nacjonalistów, nastąpił burzliwy rozwój ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów budowała na terenie Wołynia, bez większych przeszkód, swoje struktury kon-

¹ AK w dokumentach, t. II, s. 247. Meldunek org. Nr 118 z 16.05.1942 r. za czas od 1.09.1941 do 1.03.1942 r.

spiracyjne i tworzyła Ukraińską Powstańczą Armię. W latach 1942–1944, kierując się ideologią integralnego nacjonalizmu Dmytra Doncowa, i szerząc ideę walki o niepodległą Ukrainę, pchnęła wiejską ludność ukraińską, zbałamuconą propagandą nienawiści i wrogości do Polaków, na drogę zbrodni mającej znamiona ludobójstwa. Był to zamierzony i zaplanowany proces fizycznej likwidacji polskiej ludności i niszczenia materialnych śladów jej istnienia.

Począwszy od 1942 roku na Polesiu i południowo-wschodnim Wołyniu zaczęła dynamicznie rozwijać swoją działalność sowiecka partyzantka. Już w sierpniu 1942 roku w lasach na południe od Olewska pojawił się oddział partyzancki Miedwediewa, a w listopadzie Saburowa. Wraz ze zbliżaniem się frontu wschodniego stale zwiększała się liczba tych oddziałów. W latach 1943–1944 na terenie Wołynia działały zgrupowania partyzanckie Saburowa, Naumowa, Begmy, Brińskiego, Szytowa, Fiodorowa i innych. Specjalne oddziały sowieckiej partyzantki podporządkowane NKWD prowadziły rozpoznanie niepodległościowych organizacji politycznych i wojskowych, ich zadań i metod działania, identyfikowanie przywódców podziemia, a nawet stosowanie terroru wobec działaczy i dowódców. Miało to umożliwić szybkie rozbitcie tych organizacji w momencie ponownego wkroczenia sowieckich wojsk na teren Wołynia. Miejscowa ludność ukraińska pod wpływem propagandy OUN i UPA, a także na podstawie doświadczeń wyniesionych z sowieckich rządów w latach 1939–1941, odnosiła się do sowieckiej partyzantki z niechęcią, a nawet wrogo. Natomiast stosunek polskiej ludności do sowieckiej partyzantki był pozytywny. Wynikało to z nienawiści do wspólnego wroga – hitlerowskich Niemiec i zagrożenia życia ze strony ukraińskich nacjonalistów, gdyż często sowiecka partyzantka broniła polskie wsie przed atakami UPA.

Okupacja niemiecka była dla Polaków Wołynia jednym z największych dramatów polskiej ludności w latach drugiej wojny światowej. Szczególnie tragiczne były lata 1943–1944, w których ukraińscy nacjonalisci podjęli na wielką skalę krwawą rozprawę z polską ludnością. Bojówki OUN i formacje UPA, przy wsparciu części miejscowej ludności ukraińskiej, otaczały polskie wsie i osady, mordowały mieszkańców, bez względu na wiek i płeć, i paliły zabudowania. Organizowana samorzutnie samoobrona nie była w stanie powstrzymać naporu uzbrojonych ukraińskich nacjonalistów. Były to dramatyczne zmagania Polaków o przetrwanie, o polskość, wiarę i ludzką godność.

W latach 1942–1943 na Wołyniu powstało ponad sto ośrodków samoobrony kierowanych w początkowej fazie ich tworzenia przez władze cywilne Delegatury Rządu. Pierwsze placówki samoobrony powstały w miejscowościach: Jeziory, Szachy, Serniki, Swarycewicz, Borowe, Dubrowica, Wołczyce, Huta Stepańska, Dobryń, Nowosiółki, Ostrowsk, Wieluń, Biała, Komary, Huta Sopaczewska, Hały. W powiecie kostopolskim na początku 1943 roku zorganizowano placówki samoobrony we wsiach: Głuszków, Moczulanka, Nowiny, Stara Huta, Bronisławówka, Rudnia, Stryj, Mokre, Myszków, Zawołocz, Marulczyn, Woronusze, Jakubówka. Szczególnie duża baza powstała w rejonie Starej Huty, gdzie czternaście wsi utworzyło wspólny system obrony z ośrodkiem dowodzenia w Starej Hucie. Oto co pod datą 9.12.1943 r. o bazie w Starej Hucie w swoim dzienniku zapisał M. Naumow, dowódca sowieckiego oddziału partyzanckiego: „Minęliśmy dawną polsko-radziecką granicę. Po tej stronie – polskie wsie zajęte przez Szytowców (płk Andrejew – dowódca Drugiego Mołdawskiego Zgrupowania), Karasiowców (...). Polacy spotkali nas, «wielką partyzantkę», z radością. Zgrupowanie rozmieściło się w Bronisławówce, Podrałowce, Starej Hucie oraz w okolicznych chutorach. Od rz. Słucz oddzielają nas wielkie lasy, które ciągną się około 20 kilometrów. (...) Za Bronisławówką i Starą Hutą już dużo jest «czystych» od Polaków wsi. Bronisławówka czekała na swoją kolej. Na ulicach wiszą dzwony i szyny dla sygnalizacji na wypadek pojawienia się bulbowców. Wokół wsi dyżurują «tajniacy». Niektórzy mają nawet broń: wykorzystywane są myśliwskie rusznice, wykuwane przez miejscowych kowali piki i szable. Słowem, wieś przekształciła się w fortecę, która przeżywa oblężenie”². I dalej pod datą 13.12.1943 r.: „Ten sam obraz w Chotyńiu i Mokwinie, które położone są na obu brzegach Słuczy. W nich całkowicie wyróżniło polską ludność. Hitlerowcy nie tylko nie zabraniają tej rzezi, a na odwrót – zaogniają ją”³. Jest to wierny obraz większości polskiej samoobrony – samorzutnie organizowanej, słabo uzbrojonej.

Dużą bazą – bastionem samoobrony – było Przebraże. Po napadzie 12 marca 1943 roku oddziału UPA na wsie Taraż i Marianówka i wymordowaniu wszystkich mieszkańców, w Przebrażu utworzono samoobronę, zamieniając wieś w obóz warowny. Siły samoobrony rozrosły się niebawem z trzech plutonów (utworzonych na początku) do batalionu w składzie czterech kompanii. W organizacji samoobrony, uzbrojeniu i przeszkoleniu jej

² Naumow M., *Zachidnyj rejd*, „Radianśkyj Pysmennyk” 1969, s. 105–106.

³ Tamże.

członków pomocy udzielił Inspektorat AK w Łucku. Latem 1943 roku siły w Przebrażu liczyły już siedem kompanii i szwadron zwiadu konnego, ogółem około tysiąca uzbrojonych ludzi.⁴ W rejonie na południu od Kowla zorganizowano placówki samoobrony we wsiach: Zasmyki, Janówka, Radomle, Lityń, Ossa, Wierzbiczno, Suszybaba, Lublatyn, Zielona, Różyn, Stara i Nowa Dąbrowa. W rejonie na północ od Włodzimierza Wołyńskiego utworzono samoobronę we wsiach: Spaszczynna, Wodzinów, Wodziniek, Bielin, Sieliski, Aleksandrówka, Marianówka. Do największych baz samoobrony należały: Przebraże, Huta Stepańska, Pańska Dolina, Stara Huta, Zasmyki, Bielin. Mniejsze ośrodki nie wytrzymały naporu ukraińskich nacjonalistów i zostały zniszczone. Tylko z niektórych przebywająca tam ludność zdołała przedostać się do miast lub większych ośrodków samoobrony.

W lipcu 1943 roku nastąpiło scentralizowanie obrony wojskowej i cywilnej.⁵ Dnia 19 lipca 1943 roku Komendant Okręgu wydał rozkaz podporządkowania Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, podlegającego Okręgowemu Delegatowi Rządu, dowództwu wojskowemu.⁶ Oznaczało to skupienie obrony wojskowej i cywilnej w rękach Komendanta Okręgu, co pozwalało lepiej i skuteczniej wykorzystać będące do dyspozycji szczupłe siły i środki w obronie polskiej ludności. Następnego dnia, tj. 20 lipca 1943 roku, powzięto decyzję utworzenia oddziałów partyzanckich, które powinny uzyskać gotowość bojową na 28 lipca 1943 roku. Jednocześnie wydano instrukcję dla baz oporu i oddziałów dyspozycyjnych. Instrukcja dla oddziałów partyzanckich określała, że celem ich jest obrona polskiej ludności i jej mienia przed zagładą. Stan osobowy oddziałów miał rekrutować się z szeregów PKB i PZP oraz z miejscowej ludności i baz samoobrony.⁷ Zgodnie z wydanym rozkazem na Wołyniu, zorganizowano dziesięć lotnych oddziałów partyzanckich liczących w sumie około tysiąca stu ludzi, które współdziałały od zewnątrz z bazami samoobrony. Były to oddziały: „Drzazgi”, „Jastrzębia”, „Bomby”, „Strzemię”, „Gzymś”, „Ryszarda”, „Sokoła”, „Kani”, „Korda”, „Piotrusia”. Jednocześnie dążono do skupienia polskiej ludności w bazach obronnych, przeciwdziałając ucieczce jej do miast. Nie ulega wątpliwości, że bez pomocy i współdziałania

⁴ M. Juchniewicz, *Na wschód od Bugu. Polacy w walce antyhitlerowskiej na ziemiach ZSRR 1941–1945*, Warszawa 1985, s. 50–52.

⁵ Tamże.

⁶ Archiwum Akt Nowych, AM 1658/10, t. 202/XXIV/1, k. 3.

⁷ AAN, AM 1658/10, t. 202/XXIV/1, k. 5.

lotnych oddziałów partyzanckich większość baz samoobrony wołyńskiej nie miała żadnych szans przetrwania.

W tych niezwykle złożonych warunkach okupacji i narastającego konfliktu narodowościowego podjęto działania związane z tworzeniem struktur Polskiego Państwa Podziemnego, w wyniku czego w styczniu 1944 roku utworzona została 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK. To uchroniło polską ludność od dalszych pogromów, a na obszarze zachodniego Wołynia, gdzie odbywała się koncentracja oddziałów dywizji, znalazło schronienie około piętnastu tysięcy Polaków ocalałych z rzezi i wywozu do Niemiec na przymusowe roboty.

Pod koniec 1943 roku wschodni front w szybkim tempie zbliżał się do granic II RP. Dnia 4 stycznia 1944 roku sowieckie wojska przekroczyły byłą granicę z Polską w rejonie Rokitna. Wołyń stał się bezpośrednim zapleczem niemieckiego frontu, przybywało tu coraz więcej wojsk i jednostek logistycznych, rozpoczęła się ewakuacja niemieckiej administracji. W tej sytuacji komendant Okręgu AK Wołyń zdecydował się na rozpoczęcie operacji „Burza”. Dnia 15 stycznia 1944 roku inspektorom rejonowym został wydany rozkaz nakazujący mobilizację oddziałów konspiracyjnych AK i skierowanie ich do rejonu koncentracji w zachodniej części Wołynia. Na miejsca zbiórki oddziałów wyznaczono rejon polskiej samoobrony w Zasmykach, położony na południe od Kowla, i rejon samoobrony w Bielinie, położony na północ od Włodzimierza Wołyńskiego. W rejonach tych już od połowy 1943 roku istniała samoobrona i działały oddziały partyzanckie „Jastrzębia”, „Sokoła”, „Piotrusia” i „Korda”. Ze zmobilizowanych żołnierzy konspiracji i członków samoobrony formowano wojskowe oddziały i łączono je z partyzanckimi oddziałami, które działały już w terenie.

Zgodnie z planem odtwarzania sił zbrojnych w kraju, według *Ordre de Bataille* pokojowego i dyslokacji sprzed mobilizacji 1939 roku, 28 stycznia 1944 na odprawie oficerów sztabu w miejscowości Suszybaba podjęto decyzję powołania do życia przedwojennej 27 Dywizji Piechoty, którą wkrótce nazwano 27 Wołyńską Dywizją Piechoty AK.⁸ W organiza-

⁸ Jest to dzień powstania 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, ale jej organizacja trwała jeszcze przez cały luty i marzec 1944 r., gdyż działające od 1943 r. oddziały partyzanckie AK oraz nowo powstałe wywodzące się z konspiracji wymagały reorganizacji i okrzepnięcia w nowej strukturze organizacyjnej. (Relacja mjr. Jana Szatowskiego „Kowala”; także: J. Turowski, *Pożoga*, Warszawa 1990, s. 149, 152; także: Cz. Piotrowski, *Wojskowe i historyczne tradycje 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK*, 1993, s. 47).

cji dywizji nawiązano do przedwojennych tradycji 27 Dywizji Piechoty, 13 Dywizji Piechoty i Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Zachowano przy tym dawną numerację pułków.

Wychodząc z powyższych przesłanek zorganizowano dwa zgrupowania pułkowe: kowelskie „Gromada” i włodzimierskie „Osnowa”.

Dowódcą zgrupowania „Gromada” i jednocześnie 50 Pułku Piechoty zostawał mjr Szatowski „Kowal”, „Zagończyk”. Przy sztabie zgrupowania utworzono: pluton żandarmerii i ochrony sztabu, pluton saperów, pluton rozpoznawczy, drużynę przeciwpancerną i kwatermistrzostwo. W skład zgrupowania weszły następujące bataliony: I/50 pp „Sokoła”, II/50 pp „Jastrzębia”, III/50 pp „Trzaska”, I/43 pp „Korda”, II/43 pp „Siwego” i I szwadron 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich „Hińczy”.

Na dowódcę zgrupowania „Osnowa” i jednocześnie 23 Pułku Piechoty wyznaczono kpt. Kazimierza Rzaniaka „Gardę”. Przy sztabie zgrupowania utworzono: pluton żandarmerii i ochrony sztabu, pluton saperów, pluton łączności, pluton zwiadu i kwatermistrzostwo. W skład zgrupowania weszły następujące bataliony: I/23 pp „Bogorii” (a od 8.4.1944 „Zająca”, II/23 pp „Lecha”, I/24 pp Łuna, samodzielna kompania „Sokoła II” (szkieletowy III/23 pp) oraz 19. Pułk Ułanów „Jarosława”.

W początkowym okresie formowania dywizji jej dowódcą był komendant Okręgu płk Kazimierz Bąbiński „Luboń”. Od 10 lutego 1944 roku obowiązki dowódcy przejął mjr dypl. Jan Wojciech Kiwerski „Oliwa”. Szefem sztabu został kpt. Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota”. Dowództwu dywizji podlegały następujące samodzielne pododdziały: kompania łączności, warszawska kompania saperów, kompania przepraw, pluton żandarmerii, a także sformowany I/45 pp „Gzymśa”.

W ten sposób w wyniku mobilizacji sił zbrojnych Okręgu postawiono pod broń ponad sześć i pół tysiąca ludzi zorganizowanych w dziewięciu batalionach, dwóch szwadronach i jednej samodzielnej kompanii oraz oddziałach specjalnych i logistycznych obejmujących łączność, saperów, rozpoznanie, służbę zdrowia (dwa szpitale), służby kwatermistrzowskie i inne, gotowych do podjęcia działań bojowych przeciwko Niemcom. Na placówkach samoobrony pozostało około sześciuset żołnierzy AK, a od dwóch i pół do trzech i pół tysiąca żołnierzy konspiracyjnych z różnych przyczyn nie dotarło do rejonu koncentracji.

Organizacja dywizji trwała do marca 1944 roku i odbywała się w specyficznych warunkach. Zmobilizowane oddziały narażone były nie tylko

na atak ze strony jednostek niemieckich wojsk, zagrożenie było również ze strony oddziałów UPA, której duże zgrupowania znajdowały się w wielkich kompleksach Lasów Świniarzyńskich i Lasów Mosurskich oraz w lasach położonych na lewym brzegu rzeki Stochód. W celu poszerzenia bazy operacyjnej do działań przeciwko Niemcom, podjęto szereg akcji zaczepnych przeciw oddziałom UPA. Od stycznia do marca 1944 roku oddziały zgrupowań „Gromada” i „Osnowa” przeprowadziły szesnaście większych akcji bojowych przeciw zgrupowaniom UPA. W ten sposób zmalało zagrożenie polskiej ludności zgromadzonej w zachodniej części Wołynia, stworzono warunki do formowania zbrojnych oddziałów i rozwinięcia ich w nowej strukturze organizacyjnej oraz rozszerzono znacznie obszar bazy operacyjnej, przez co dywizja uzyskała swobodę manewru i zaplecze do walki z Niemcami. W tym okresie oddziały dywizji prowadziły jednocześnie wiele działań przeciwko Niemcom o charakterze osłonowym i rozpoznawczym.

Tadeusz Wolak, członek konspiracji niepodległościowej, uczestnik samoobrony Przebraża, a następnie żołnierz I batalionu 45 Pułku Piechoty „Gzymśa” w tej książce obszernie wspomina walki toczone w obronie polskiej ludności przed zagładą ze strony ukraińskich nacjonalistów i działania bojowe 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK na Wołyniu. Był świadkiem ludobójstwa przez ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności. Do pułku „Gzymśa” trafił z samoobrony Przebraża i w szeregach batalionu przeszedł cały szlak bojowy dywizji.

Na szczególną uwagę zasługują wspomnienia walk w szeregach wołyńskiej dywizji, które zajmują zdecydowanie najwięcej miejsca. Batalion „Gzymśa” wyróżniał się spośród innych w dywizji, gdyż będąc oddziałem dyspozycyjnym dowódcy dywizji uczestniczył we wszystkich głównych bojowych zadaniach dywizji: w walkach z UPA w strefie przyfrontowej (luty–marzec 1944), w kowelskiej operacji i okrążeniu w Lasach Mosurskich (marzec–kwiecień 1944), w walkach w Szackich Lasach na Polesiu (maj 1944) i w operacji „Burza” na Lubelszczyźnie (czerwiec–lipiec 1944). Utworzony został z różnych pododdziałów o dużym doświadczeniu bojowym, takich jak na przykład oddziału „Bomby”, części obrońców Przebraża, oddziału „Gzymśa”, Kompanii Warszawskiej, był często wykorzystywany w działaniach obronnych, zaczepnych i rozpoznawczych.

Wspomnienia Autora stanowią pewną zamkniętą całość opisującą początkowy okres organizacji batalionu „Gzymśa” i działań dywizji, w któ-

rych uczestniczył. Opisy zaszłości, zdarzeń i walk osadzone są w konkretnym czasie i ówczesnych uwarunkowaniach. Zawierają wiele szczegółów i nazwisk towarzyszy broni, co potwierdza wiarygodność opisywanych zdarzeń. Autor opisuje nie tylko przebieg działań dywizji, ale także łączy je z codziennym życiem partyzanta-żołnierza. Nadaje to opowieściom autentyczność. Książkę zamyka rozdział *Rozbrojenie*, do którego doszło 25 lipca 1944 roku pod Skrobowem, gdzie sowieckie wojska podstępem rozbroiły dywizję.

Publikacja jest cennym wkładem do literatury wspomnieniowej i stanowi wartościowy materiał badawczy dla historyków zajmujących się problematyką stosunków polsko-ukraińskich i polskiego podziemia niepodległościowego na Wołyniu w latach drugiej wojny światowej.

Warszawa 5.09.2015

prof. dr hab. *Władysław Filar*

PARTYZANCKI ODDZIAŁ „BOMBY”

Przebrzmiały echa dramatycznych walk w Hucie Stepańskiej. Z przejściowego obozu warownego w Grabinie, uratowana od rzezi polska ludność rozjechała się na tułaczkę w różne strony, szukając schronienia przed zagładą ze strony upowskich band. Pozostali tylko uzbrojeni obrońcy Huty, zorganizowani teraz w partyzancki oddział pod dowództwem kapitana „Bomby” (Władysław Kochański). Dla nich, członków Armii Krajowej, walka nie zakończyła się i długo miała jeszcze trwać. Miała przynieść jeszcze wiele przeżyć i zabrać wiele ofiar.

Oddział z Grabiny przeniósł się do Wydymera, a następnie do Perespy w okolicy Antonówki. Do oddziału zaczęli napływać ochotnicy z Perespy, Wydymera, Antonówki. Ściągnęła grupa trzydziestu dwóch ludzi z pełnym uzbrojeniem, na czele ze starszym sierżantem „Grabkiem” (Antoni Gradowicz).

W końcu lipca 1943 roku oddział zmienił miejsce pobytu. Któregoś wieczoru, zachowując wszelkie środki ostrożności, przeprowadził się na pięciu czółnach przez rzekę Horyń. Po przeprawie oddział zapadł w lasy i maszerował całą noc, aż do południa, pokonując wertepy i ogromnie uciążliwe piaski. W tym marszu nieocenione usługi oddawał plutonowy „Stryj” (Antoni Paczewski), który doskonale znał okolice i świetnie spełniał rolę przewodnika. Oddział zatrzymał się we wsi Folwark, następnie w opuszczonej wsi Karaczun, położonej wśród lasów między Sarnami a Kostopolem.

Powstał problem wyżywienia oddziału. Wokół rozciągały się lasy oraz ukraińskie wsie. Nieliczne były polskie kolonie, które zostały opuszczone, po czym spalone przez ukraińskie bandy. Na opuszczonych przez polską ludność polach zaczęto kopać ziemniaki. Łapano też wałęsające się, bezpańskie bydło. Niezależnie od bieżących potrzeb aprowizacyjnych, gromadzono zapasy żywności na czas trudniejszy, którego należało się

spodziewać. Tym bardziej że zbliżała się zima. Wyrabiano wędliny, suszono chleb. Magazynowano warzywa: cebulę, czosnek, kapustę, marchew, buraki.

Mimo nie najlepszych warunków bytowania, oddział powiększał się. Dołączyła do niego grupa dwudziestosiemiosobowa pod dowództwem wachmistrza „Czarnego” (Józef Wajdyk) i jeszcze kilka osób, bracia Paszkowscy, Kłosiński, porucznik artylerii „Podkowa” (Włodzimierz Ostromecki), który został zastępcą „Bomby”.

Któregoś dnia wyprawiono się po broń zakopaną przez pododdział Wojska Polskiego w 1939 roku. Miejsce wskazał wachmistrz „Czarny”. Po drodze schwytano paru banderowców, od których dowiedziano się, że czynią przygotowania do rozbicia oddziału. Tymczasem „Bomba” nawiązała łączność z siatką konspiracyjną, skąd otrzymał dyrektywę przeniesienia oddziału na tak zwane Zaslucze. Za rzekę Słucz, w rejon Ludwipola. Tam były jeszcze skupiska polskiej ludności. Aby jednak dotrzeć do nowego rejonu, trzeba było przejść przez rzekę Słucz. Nie można jej było forsować w dowolnym miejscu, przede wszystkim ze względu na tabor zaprzęgowy. Miejscowi żołnierze znali taki bród, lecz przy dojściu do niego leżała duża wieś ukraińska Tuszyce. Upowskie gniazdo.

Nie mając lepszego rozwiązania, postanowiono przeprowić się w tym właśnie miejscu. W razie napotkania na drodze upowców, przebojem przeprowić się na drugą stronę Słuczy. Nad ranem oddział podszedł do Tuszyc i tam na skraju lasu zaległ. Koniecznie trzeba było zasięgnąć „języka”, co się dzieje we wsi i jakie są tam ukraińskie siły. Na drodze ukazały się drabiniaste wozy powożone przez kilku ukraińskich chłopów. Jechali po zboże na opuszczone polskie pola. Sprawnie i bez hałasu wyłapano wszystkich woźniców, od których dowiedziano się, że we wsi nie ma większego upowskiego oddziału, jedynie znajduje się kilkunastoosobowy posterunek. Nie zwlekając, ruszono na przeprawę, zabierając część koni ukraińskim chłopom.

Wieś robiła wrażenie opuszczonej. Przez okna niektórych chat jednakże widać było ciekawskie twarze o spłaszczonych o szyby okienne nosach, usiłujące rozpoznać, jaki to oddział maszeruje. Przy zbliżaniu się do brodu zauważono uciekające furmanki z kilkunastoma banderowcami. Nie dali się zaskoczyć.

Rozpoczęto przeprawę. Na szczęście woda nie była wysoka, zaledwie około siedemdziesięciu centymetrów. Dno czyste, piaszczyste, po którym

bez trudu przeprowadzono taborowe wozy. Forsowanie Słuczy odbyło się szybko i bez przeszkód.

Po odpoczynku na wschodnim brzegu Słuczy, oddział wyruszył dalej w kierunku Starej Huty i Moczulanki, do polskich wsi, do których nie dotarły jeszcze z siekierą, nożem i ogniem banderowskie hordy. Tu miało być nowe miejsce postoju oddziału. Najpierw wysłano konny patrol do Starej Huty, aby uprzedzić mieszkańców o przybyciu oddziału.

Miejscowe patrole z samoobrony Starej Huty i radzieccy partyzanci Sitajewa, śledzili poruszanie się w ich rejonie obcego zbrojnego oddziału. Sądziły, że jest to oddział ukraiński, przybyły zza Słuczy z „samostijnej Ukrainy”. Odszukano miejscowego katolickiego księdza Leona Śpiewaka, który – w porozumieniu z tubylczą ludnością – powiadomił niejako ochraniający miejscową ludność radziecki oddział partyzancki „Sitajły” (Sitajew) o przybyciu polskiego partyzanckiego oddziału. W 17 oddziale Sitajewa służyło wielu miejscowych Polaków.

Pod wieczór oddział wkroczył do Starej Huty serdecznie witany przez tamtejszą ludność. Nazajutrz była niedziela. Rano została odprawiona w miejscowym kościele msza święta, podczas której ksiądz Śpiewak okolicznościowym kazaniem wlał wiele otuchy, pociechy i nadziei w serca niewinnych ludzi umęczonych tułaczką i banderowskimi rzeziemi. Mówił, że nowo przybyły oddział będzie chronił swoich braci przed zwyrodniałymi upowskimi siepaczami. Mieszkańcy zgromadzili się tak licznie, że kościół wszystkich nie mieścił. Kiedy śpiewano „Boże coś Polskę” wszyscy płakali.

Po skończonym nabożeństwie, gdy wojsko wyszło z kościoła, ludzie ściskali, całowali żołnierzy. Całowali orzełki, polskie proporczyki, a nawet guziki z orłami przy mundurach. Serdecznie i rozczulająco ta uboga, lecz patriotyczna, ludność witała polskich partyzantów, widząc w nich załóżek ojczyzny, licząc na ich ochronę przed groźącą stale zagładą ze strony ukraińskiego nacjonalizmu.

W Starej Hucie sytuacja oddziału znacznie się poprawiła. Teraz oddział na swoim zapleczu miał polską ludność, na którą mógł liczyć, a która stawała się celem jego istnienia. Na Zasluczu, poza Starą Hutą, oddział wziął pod ochronę polskie osiedla, takie jak: Moczulanka, Bielak, Nowiny, Bielczakowska Kolonia, Hłuźkowo, Mokre, Rudnia Stryj, Huta Bystrzycka, Bronisławka, Padrałówka, Janówka, Marylczyk, Pererytka, Myszakówka, liczących łącznie około siedmiu tysięcy mieszkańców.

Żołnierze także odczuli troskę ze strony tej ludności – mieli wypraną, czystą bieliznę, wyczyszczone, polatane ubrania i mundury, pozbywając się w zmienionych warunkach higienicznych dokuczliwego robactwa.

Oddział nie zakwaterował się we wsi, lecz w pobliskim lesie w prowizorycznych, skleconych naprędce szałasach, by nie narażać ludzi na ataki niemieckiego lotnictwa. Wystawiono w koloniach i chutorach silne placówki, które czuwały nad bezpieczeństwem miejscowych i oddziału. Tu, w Starej Hucie, pod ochroną żołnierzy zaczęto także organizować na większą skalę zaopatrzenie w żywność oddziału i ludności cywilnej, szczególnie uciekinierów, którzy przecież uszli z życiem, zostając bez niczego. Organizowano wypady na niemieckie majątki ziemskie, zdobywając tam wiele trzody chlewnej, bydła i zboża. Wyłapywano też wciąż jeszcze włóczące się bezpańskie bydło. Mleczne krowy przydzielano ludności cywilnej, a często także mięso.

W początkach września postanowiono zwieźć z rejonu Wilji stogi skoszonego zboża. Zaangażowano do tego osiemdziesiąt furmanek. Do ochrony „Bomba” wyznaczył dwunastu żołnierzy pod dowództwem porucznika „Podkowy”. W akcji tej brała udział grupa radzieckich partyzantów z oddziału im. Dzierżyńskiego. Oni także potrzebowali zapasów żywności.

Bardzo wcześnie rano wyruszyła kolumna furmanek. Dzień zapowiadał się pogodny i słoneczny. Dołem zalegała jeszcze mgła. Droga była piaszczysta, wiodąca przez las. Konie szły wolno. Na furmankach drzemali żołnierze. Kolumna posuwała się bez ubezpieczenia, bowiem od kilku już dni w okolicy nie stwierdzono obecności Ukraińców ani Niemców. Skończył się las i kilka furmanek wyjechało na pole, gdy nagle od czoła kolumny, a z lewej strony zagrały maszynowe karabiny. Ogień był prowadzony z daleka i niecelnie, więc na razie nie powodował strat. Jednakże powstało ogromne zamieszanie i panika wśród woźniców, którzy zaczęli zawracać konie i na oślep uciekać. Grupa ochrony zajęła stanowiska i odpowiedziała ogniem. Partyzanci radzieccy także zwiążali się walką. Chwilę później, pośród kopek zboża, ukazała się w sile kompanii tyraliera upowców, idąca ławą gęsto strzelając.

Porucznik Ostromecki z kilkoma żołnierzami obsadził wzgórze przed spaloną wsią Wilja i prowadził z maszynowego karabinu gwałtowny ogień do nieprzyjacielskiej tyraliery. Sierżant „Jemioł” (A. Skrzybalski) z dwoma żołnierzami wspomagał ogniem porucznika Pomiana, wysyłając

jednocześnie gońca „Brzózkę” (Marian Sawicki) do porucznika, prosząc by przesunął się z erkaemu na lewe skrzydło, na dogodniejszą pozycję. „Brzózka” nie dotarł do stanowisk porucznika, gdyż do ataku ruszyła, przecinając mu drogę, następna kompania upowców. Wówczas sierżant „Jemioł” sam usiłował dotrzeć do broniącego się jeszcze porucznika. Po drodze spotkał przerażonego „Brzózkę” i szeregowca „Fryzjera” (Bugajewski), którzy powiedzieli, że wszyscy broniący się na wzgórku polegli, łącznie z porucznikiem „Podkową”. Radzieccy partyzanci „Sitajły” również dzielnie walczyli i także ponieśli duże straty.

W tej sytuacji bez wyjścia sierżant „Jemioł” zarządził odwrót pozostałych przy życiu trzech partyzantów. Okrężną drogą dotarli do obozu. W obozie już zarządzono alarm, gdyż woźnice, którzy uciekli wcześniej, donieśli o starciu z upowcami.

Oddział natychmiast wyruszył do rejonu niedawnej walki. Upowcy nie czekali jednak na to spotkanie i wycofali się za Słucz.

Smutny był powrót z tej wyprawy. Na furmankach wieziono dziewięciu poległych polskich partyzantów i pięciu radzieckich. Ich zwłoki były w niesamowity, bestialski sposób zmasakrowane. Ukraińcy, mszcząc się na nieżyjących, ich ciała pokłuli bagnetami. Być może niektórzy byli ranni i zostali przez tych barbarzyńców dobici. Wszystkich poległych pochowano w Moczulance.

Tuż po tej tragicznej wyprawie po zboże, upowcy dużymi siłami zaatakowali polską samoobronę w Janówce, leżącej na lewym brzegu Słuczy. Samoobrona była tam dość dobrze zorganizowana i nieźle uzbrojona. Posiadała kilkudziesięciu uzbrojonych w broń palną, kilkudziesięciu w tak zwaną białą broń z kosami osadzonymi na sztorc, dzidami lub po prostu z widłami. Dzielnie broniła się ta placówka przez całe lato 1943 roku, ale tego napadu nie zdołała odeprzeć. Rozpaczliwie walczone przez kilka godzin, nie widząc jednak szans obrony, pod osłoną uzbrojonej załogi ludność opuściła osadę, a przeprawiwszy się przez Słucz na prawy jej brzeg znalazła schronienie w Starej Hucie. W czasie tej walki po stronie samoobrony zginęło dwadzieścia osób. Oddział zbrojny z Janówki ochotniczo został włączony do partyzanckiego oddziału „Bomby”.

Oddział „Bomby” chętnie współdziałał z radzieckimi partyzanckimi oddziałami: Szytowa, Naumowa, Andriejewa, „Sitajły” oraz Roberta Satanowskiego, działającymi na tamtym terenie, wykonując zadania taktyczne i operacyjne na tyłach wroga. Rozpoczęto działalność dywersyjną na li-

nie kolejowej Sarny – Klesów. Miały miejsce również mniejsze potyczki z Niemcami.

Tymczasem nastąpiła jesień i nieubłaganie nadchodziła zima. Zastanawiał się „Bomba”, jak przetrwać z oddziałem zimą. Nie chciał obciążać cywilnej ludności kwaterowaniem partyzantów, gdyż i tak cierpiała ogromną ciasnotę na skutek ciągłego napływu uciekinierów. Poza tym, niewskazane było pomieszkować we wsiach, ponieważ spowodowałoby to zagrożenie dla ich mieszkańców w przypadku wykrycia przez Niemców obecności partyzantów. „Bomba” postanowił, aby obóz zorganizować w lesie. Wykopano ziemianki na głębokość około jednego metra, obłożono je stożkowo drewnem i pokryto ziemią oraz zamaskowano gałęziami i liśćmi ze względu na możliwość nalotów. Pracami kierował inżynier Czesław Karol Landy, wydatnie pomagała miejscowa polska ludność. Pod koniec października 1943 roku powstało obozowisko liczące około trzydziestu ziemianek. Nazwano je Nowa Warszawa.

Do oddziału „Bomby”, który liczył już około siedmiuset ludzi, napływało coraz więcej ochotników. Niestety, wszystkich nie można było przyjąć z powodu braku broni.

Oddział utrzymywał łączność z polską placówką dowodzoną przez porucznika „Strzebie” vel „Staszek” (Zenon Błachowski), zlokalizowaną we wsi Rudnia Lwa, niedaleko Rokitna na wschód od Sarn.

Pod koniec pierwszej dekady listopada 1943 roku „Bomba” zarządził wymarsz oddziału do Rudni Lwa. Spodziewał się tam sprzyjających możliwości zaatakowania, wspólnie z porucznikiem „Strzebie”, niemieckiego garnizonu w Rokitnie, obsadzonego między innymi przez oddział pomocniczej policji składającej się z Polaków, a współpracujących z polską konspiracją. Nie znajdując warunków dla skutecznego zaatakowania Rokitna, po trzech dniach oddział powrócił do bazy w Starej Hucie. Okazało się niebawem, że powrót ten był szczęśliwym zrzędzeniem losu dla okolicznej ludności.

Otóż, w planach ukraińskich nacjonalistów było zorganizowanie „samostijnej Ukrainy” nie tylko na obszarze Polski, ale sięgającej aż po Kijów. Zakładali, że wycofają się wojska niemieckie z Kijowa, nie wkroczą jeszcze wojska radzieckie, a oni zdobędą Kijów. Nie mogło być nic bardziej nierealnego jak plan zdobycia i utrzymania Kijowa, mimo to z terenu Wołynia i Małopolski Wschodniej kierowali na wschód duże siły, którymi zamierzali zdobyć stolicę Ukrainy.

Jeden z takich oddziałów w sile dwóch batalionów w połowie listopada przekroczył byłą granicę polsko-radziecką w miejscowości Ujście i wszedł na tereny kontrolowane przez oddział kapitana „Bomby”, który właśnie powrócił z Rudni Lwa.

Patrole oddziału „Bomby” zauważyły maszerującą dużą kolumnę nierozpoznanego wojska, która przesuwała się przez Hłuszków w kierunku Moczulaneki w rejon kontrolowany przez polską i radziecką partyzantkę, więc było duże prawdopodobieństwo, że maszeruje jakiś radziecki oddział partyzancki.

W celu dokładnego rozpoznania, z polskiego obozu wysłano kilkunastoosobowy patrol pod dowództwem sierżanta „Jemioła”. Wykorzystując zarośla i las, patrol zbliżył się do maszerującej kolumny. Jednak z ukrycia nie mógł rozpoznać przynależności tego wojska. Ktoś z patrolu, w przekonaniu, że ma do czynienia z radzieckimi partyzantami, wyszedł z ukrycia i zbliżył się do kolumny, gdy nagle kilkanaście rąk sięgnęło po jego karabin. Teraz już nie było wątpliwości, kto to jest. Rozpoznano upowski oddział. Patrol oddał salwę do upowców i pod gradem kul zaczął się wycofywać. Strzelaninę tę usłyszano w polskim obozie, jak również w oddziale radzieckiej partyzantki „Sitajły” stacjonującym we wsi Mokre.

Oba oddziały, polski i radziecki, pośpiesznym marszem dotarły do Moczulaneki, gdzie na skraju lasu zajęły stanowiska z ostrzałem na łąkę, przez którą spodziewano się przemarszu kolumny. Wkrótce na łące pojawiła się nieprzyjacielska kolumna. Zagrały karabiny maszynowe „Sitajły” i polskie stanowiska ogniowe. Na łące skłębiła się masa ludzi niezdolna do jakiegokolwiek oporu. Ukraińcy rzucili się do brzoźowego zagajnika, gdzie – mimo strat – uporządkowali swoje szeregi i podjęli walkę, używając moździerzy.

Widząc, jak rozwinęła się potyczka, „Jemioł” postanowił swoim plutonem rozpoznawczym zaatakować upowców od tyłu. Wysłał gońca do „Bomby” z meldunkiem o swoim zamiarze. Gонец – młody ochoczy chłopak – na zdobytym koniu ruszył galopem. Nie ujechał nawet stu pięćdziesięciu metrów, gdy ugodzony kulą spadł z konia. Wówczas „Jemioł” ze swoimi ludźmi zaatakował Ukraińców. Atak może nie był zbyt silny, lecz w nieprzyjacielskich szeregach spowodował ogromne zamieszanie.

Ukraińcy byli przeświadczeni, że są okrążeni, gdyż równocześnie natarły plutony „Bomby” i oddział „Sitajły”. Podczas tego ataku zginął Kazimierz Zięta. Upowcy nie wytrzymali natarcia i rozpoczęli odwrót

w kierunku Słuczy, wykorzystując jako osłonę nasyp nieczynnej kolejki wąskotorowej. Spychano ich do rzeki Słucz, przez którą przeprawiali się, jak kto mógł, aby tylko jak najprędzej znaleźć się po przeciwnej stronie.

W boju tym straty polskie wyniosły: trzech zabitych, kilku rannych, podobnie radziecki oddział. Straty upowców: trzydziestu sześciu pozostawionych na polu walki, siedmiu wziętych do niewoli. Zdobyto dużo broni, w tym ciężkiej, wiele amunicji, tabory z żywnością i sprzętem wojskowym oraz konie wierzchowe.

Od jeńców wziętych do niewoli dowiedziano się o niedosłej akcji upowców na Kijów i że marsz kolumny upowskiej nie był przypadkowy.

Upowcy mieli zamiar – korzystając z okazji, że oddział „Bomby” opuścił teren, ale tylko czasowo, udając się do Rokitna – wymordować całą okoliczną ludność polską. Celowo zaszli od strony wschodniej, by zamknąć drogę ucieczki i zepchnąć ludzi na rzekę Słucz, która w tym miejscu okalała teren od zachodu i południa i była bardzo głęboka.

Tymczasem upowskie plany nie udały się. Sami wpadli w tę pułapkę. Prawdziwe okazało się powiedzenie: Kto pod kim dołki kopie...

Niezależnie od ustawicznych walk i utarczek z lipowskimi oddziałami, przy ciągłej trosce o powiększanie się liczebne oddziału i jego uzbrojenie, dokonywano również wypadów przeciwko Niemcom. W miejscowości Konstantynówka-Janówka koło Sarn zlikwidowano szefa SD powiatu sarneńskiego i dwunastu ludzi z jego ochrony. Zdobyto wówczas erkaem brauning, granaty i kilka karabinów z amunicją.

Niedługo po tym, pluton z oddziału porucznika „Strzemię” z Rudni Lwa, dowodzony przez plutonowego „Gustawa” (Tadeusz Kupfal), zorganizował zasadzkę w pobliżu wsi Ośnick na niemiecki patrol ochraniający linię kolejową Rokitno – Klesów. Z dziewięćoosobowego niemieckiego patrolu uratował się tylko jeden, któremu udało się zbiec. Zdobyto erkaem, dwa maszynowe pistolety, pięć karabinów, trzydzieści dwa granaty ręczne, amunicję, buty i mundury.

Do oddziału „Bomby”, 24 listopada 1943 roku w Starej Hucie dołączył oddział porucznika „Strzemię”. Przyniósł on, poza własnym uzbrojeniem, broń dla około stu ludzi, w tym: dwa karabiny maszynowe, trzy karabiny dziesięciostrzałowe, siedem pistoletów maszynowych, siedemdziesiąt osiem kabek i dwieście czterdzieści granatów ręcznych. Po przyłączeniu tego oddziału utworzono jednostkę bojową o strukturze organizacyjnej batalionu piechoty.

Jak wszystkie oddziały partyzanckie Armii Krajowej na Wołyniu, również ten „Bomby”, otrzymał rozkaz stawienia się na koncentrację w rejonie Kowla i Włodzimierza Wołyńskiego. Niełatwe było wykonanie tego rozkazu. Żeby dotrzeć w rejon koncentracji, oddział musiał pokonać paręset kilometrów złymi drogami leśnymi i polnymi, poprzez tereny całkowicie opanowane przez upowskie bandy. Musiał forsować wiele rzek i linii kolejowych strzeżonych pilnie przez niemieckie lub węgierskie wojsko.

Rozkaz jednak był rozkazem. Podjęto więc energiczne przygotowania do wymarszu. Jednocześnie „Bomba” przyśpieszał już wcześniej podjęte rozmowy w sprawie przejęcia i wyprowadzenia „do lasu” dwóch batalionów pomocniczej policji niemieckiej zorganizowanej z polskiej młodzieży. Były to bataliony: numer 202 – tzw. zielonych – liczący sześciuset pięćdziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych i „granatowych” liczący około siedmiuset pięćdziesięciu ludzi. Zgrupowane były w Kostopolu i Bereźnie wraz z dwustoma esesmanami i oddziałem czterystu własowców.

Polska młodzież znalazła się w tych batalionach nie kierując się motywami politycznymi, lecz z powodu rozpaczliwej walki o własne życie i swoich najbliższych, swoich rodzin. Polacy od początku okupacji do tej podłej pracy się nie brali. Ale teraz nie było wyjścia. Kiedy ukraińscy nacjonałiści opanowani żądzą niszczenia i zabijania zatracili ludzkie oblicze i zaczęli mordować, wyżywać w pień polską ludność, ta zwracała się do władz niemieckich z błagalną prośbą o pomoc. Władze niemieckie odpowiadały: „Wszystkie nasze wojska są na froncie. Jedyne, co możemy dla was zrobić, to dać wam broń. Brońcie się sami. Ale broń damy pod warunkiem, że wstąpicie do policji”. Poszła więc część młodzieży do tej policji z myślą, aby przejąć w swoje ręce broń, która wcześniej czy później z tymi młodymi chłopcami i tak trafi do partyzanckich oddziałów. I będzie wykorzystana przeciwko jej dawcom. Na razie tę broń trzeba było wycelować do upowskich zbirów, morderców rodaków. W pomocniczej policji celowo znalazła się także część ludzi z konspiracji Armii Krajowej.

Ustalono termin wyprowadzania tych batalionów na 24 grudnia 1943 roku w wigilię Bożego Narodzenia.

Jednak odgórne rozkazy ponaglały wymarsz oddziału „Bomby” na koncentrację. Mimo daleko posuniętych przygotowań, wyprowadzenia oddziałów policji nie dało się przyśpieszyć. „Bomba”, uważając, że to bardzo ważna sprawa, zastanawiał się nad przedłużeniem terminu wymarszu w rejon Kowla. Wypadki potoczyły się inaczej i wyłączyły „Bombę” z gry.

O zmierzchu 8 grudnia 1943 roku oddział „Bomby” wyruszył w daleki rajd pod Kowel i Włodzimierz Wołyński. Omijając większe zgrupowania upowskie dotarł w rejon Sarn, zbliżając się do linii kolejowej Sarny – Równe.

Na skrzyżowaniu drogi z torem kolejowym zwiad konny, idący w straży przedniej, nagle został ostrzelany. Wywiązała się krótka walka. Z powodu zbliżającego się świtu, „Bomba” zarządził odwrót. Oddział zawrócił w kierunku Rudni Lwa, gdzie rozlokował się w kilkunastu chłopskich zagrodach.

Tymczasem, jak się okazało, marsz oddziału śledzili upowcy i późnym wieczorem, 13 grudnia, zaatakowali oddział w Rudni Lwa. Przeciwnik atakował dosyć śmiało, dysponując dużą siłą ognia. „Bomba” natychmiast podzielił oddział na dwie grupy. Jedną dowodził on sam, a drugą „Strzemię”.

„Bomba” zajął obronę na skrzydle, wchodząc w ogniowy kontakt z nacierającymi banderowcami. „Strzemię” nie spotkawszy na swojej linii natarcia nieprzyjaciela, zaś słysząc ostrą strzelaninę na pozycji bronionej przez grupę „Bomby”, raptownym zwrotem zaatakował śpieszących z odsieczą banderowców. Zachwiało to lipowskim natarciem, po czym upowcy zaczęli się wycofywać, pośpiesznie opuszczając pole walki.

W walce został ciężko ranny plutonowy „Gustaw”. Ukraińcy zamordowali kilka cywilnych osób, które ukryły się w pobliskim lesie. Następnego dnia na pobojowisku naliczono dwudziestu czterech zabitych banderowców. Rannych zdążyli zabrać.

Kapitan „Bomba” nie przywiązywał większej wagi do nieudanej próby przejścia torów kolejowych linii Sarny – Równe, jak też do walki stoczonej z upowcami w Rudni Lwa. Decydując się bowiem maszerować z oddziałem w rejon Kowla, przewidywał niejedno takie spotkanie z Niemcami lub Ukraińcami. Teraz jednak, gdy wymarsz opóźnił się o kilkanaście dni i zbliżał się ustalony termin 24 grudnia, kapitan powrócił do swojej koncepcji wyprowadzenia policji i przyłączenia jej do swojego oddziału.

Nie na próżno myśl ta prześladowała „Bombę”. Była to gra warta świeczki. Dwa bataliony wyszkolonego, dobrze uzbrojonego wojska coś znaczyły. Szczególnie uzbrojenie tych oddziałów było nie do pogardzenia, wśród którego były dwa czołgi firmy Renault oraz dwa działa kaliber 76 mm z odpowiednim zapasem amunicji. Po przyjęciu tych batalionów, łącznie z oddziałem „Bomby”, tworzyłyby dobrze uzbrojony pułk wojska.

Po ponownym sprawdzeniu wszelkich kontaktów i uzgodnień, „Bomba” uznał to przedsięwzięcie za realne. Zdecydował się więc zawrócić z trasy marszu, by czasowo osadzić oddział w Starej Hucie i dokończyć dzieło przechwycenia od Niemców kilkuset uzbrojonych ludzi.

Realizując konsekwentnie swój zamysł, wyprowadził oddział z Rudni Lwa, kierując go do Starej Huty.

Po drodze, w miejscowości Peresieka, oddział zatrzymał się na odpoczynek. Tutaj „Bomba” otrzymał wiadomość, że dowódca radzieckiego oddziału partyzanckiego, działającego w tamtym rejonie, generał Naumow, chce się z nim zobaczyć. Zapraszał go do swojego sztabu w wiosce Zawłoczce czy Bronisławka. Nie było w tym nic dziwnego, bowiem wzajemne odwiedziny dowódców polskich i radzieckich oddziałów partyzanckich często miały miejsce.

W popołudniowych godzinach 22 grudnia „Bomba” – zabrawszy z sobą porucznika „Strzemię” i księdza kapelana „Oboźnika” oraz ochronę, konnych zwiadowców z wachmistrzom Jankowskim – wyruszył konno do sztabu generała Naumowa. Powitano ich gościnnie, zapraszając na poczęstunek do swoich kwater w wiejskich chałupach. Oddzielnie przyjmowano kapitana „Bombę”, oddzielnie porucznika „Strzemię” z kapelanem „Oboźnikiem” i oddzielnie pozostałych żołnierzy.

I niespodziewanie podczas poczęstunku kapitan został aresztowany. Zarzucono mu, że jest „przedstawicielem obcej agentury”. Radziecki oddział natychmiast wyruszył na wschód. Po drodze „Bomba” zobaczył, że porucznika „Strzemię” i księdza „Oboźnika” spotkał taki sam los.

Ten pośpieszny marsz trwał kilka godzin, po czym zarządzono odpoczynek przy rozpalonych ogniskach. Tu poinformowano zatrzymanych, że będą odesłani do Moskwy. Istotnie, dotarto do lotniska i samolotem wywieziono najpierw do Kijowa, później do Moskwy. Osadzono ich w więzieniu. Kapitan „Bomba” był sądzony i skazany, ponadto zarzucono mu wymordowanie grupy radzieckich partyzantów w Hupkowie¹. „Bomba” Kochański powrócił do kraju w 1956 roku.

Pozostałych wcielano do ludowego Wojska Polskiego i powrócili do kraju dużo wcześniej.

¹ Sprawa została wyjaśniona w artykule Stanisława Wrońskiego *Monolog partyzantów* („Polityka” nr 26/539 z 1 lipca 1967). Autor podaje, że mordu dokonali ukraińscy nacjonaliści.

Aresztowanie „Bomby” wydawało się wszystkim zaskakujące i dziwne, bowiem jego oddział współdziałał z operującymi na Zasluczu i wcześniej radzieckimi oddziałami partyzanckimi. Przecież właśnie w oddziale „Bomby” znalazł wypoczynek i gościnność powracający z karpackiego rajdu zdziesiątkowany i wyczerpany oddział generała Kowpaka. Kapitan zaopatrzył wówczas oddział w żywność, a generała obdarował bryczką i parą pięknych koni.

„Bomba” ze swoją grupą w oznaczonym przez siebie czasie nie wrócił. Zaczęto przypuszczać, że stało się coś niedobrego. Naradzano się gorączkowo. Wieść, że „Bomba” nie wrócił, rozniosła się wśród wojska. Nastąpiło ogromne zamieszanie. Wojsko nie wiedziało co robić. Część żołnierzy opuściła oddział, szczególnie miejscowi. Inni, niespokojni o losy oddziału, dopytywali się o dalsze decyzje.

W tym ogólnym rozgardiaszu, wieczorem 22 grudnia 1943 roku, podporucznik „Słucki” (Felix Szczepaniak) zarządził zbiórkę oddziału i oświadczył, że obejmuje dowództwo i ma zamiar zrealizować pomysł „Bomby”, a więc maszerować w rejon Kowla. Oświadczył także, że żołnierze, którzy nie czują się na siłach podjąć dalszych trudów, mogą pozostać w Starej Hucie i wzmocnić tamtejszą samoobronę.

Około południa z kilkuset osób pozostało w oddziale około stu osiemdziesięciu. „Słucki” zorganizował kolumnę marszową i ruszył w kierunku Sarn. W Starej Hucie pozostawiono także rannych i chorych.

W następnym dniu oddział pod dowództwem „Słuckiego” dotarł do miejscowości Janówka pod Sarnami. Było to w przeddzień Bożego Narodzenia. Smutna była Wigilia i święta. Żołnierze przeżywali utratę swego dowódcy. Nie bardzo też wiedzieli, jaka będzie ich najbliższa przyszłość. W świąteczne dni przynębionych żołnierzy odwiedziło niespodziewanie wielu znajomych i krewnych z Huty Stepańskiej, Siedlisk, Wyrki, Ugły, Wydymeru, Perespy, Sumi, Małyńska, którzy znaleźli przed ukraińską rzezią schronienie w Sarnach. Były radość i łzy. Odwiedzający i odwiedzeni cieszyli się, że spotkali swoich synów, braci, kuzynów, ale także smucili się, że wśród odwiedzonych nie było kapitana „Bomby”, zwanego także wujkiem, lubianego i szanowanego dowódcy, i innych żołnierzy, którzy nie powrócili.

Był jeszcze świąteczny wieczór, gdy oddział wyruszył w trudny, ciężki i wielokilometrowy marsz do Przebraża. W Janówce pozostawiono trzynastu chorych i rannych, którymi miała zaopiekować się ludność z Sarn. Około północy oddział dotarł do rzeki Horyń. Na rzece był most

obsadzony i chroniony przez upowców. Po przeciwnej stronie rozciągała się duża, może kilometr długa, ukraińska wieś Horodziec. Wprawdzie Horyń był zamarznięty, ale nie wiadomo było, czy lód był na tyle mocny, żeby się nie załamał pod ciężarem wozów taborowych i działek przeciwpancernych. Wydawało się więc mniejszym ryzykiem użyć fortelu i zdobyć most i wieś.

Kiedy z zachowaniem wszelkiej ostrożności przygotowywano się do ataku, na most wjechało dwoje sań. Jechały z Horodźca w kierunku polskiego oddziału. Gdy się znalazły w odpowiedniej odległości, ze strony polskiej w języku ukraińskim zapytano głośno o hasło, na które trzeba było znać odzew. Oczywiście nie znano ani hasła, ani odzewu. Chodziło przede wszystkim o moment dezorientacji Ukraińców, aby w tym momencie nagle ich zaatakować i obezwładnić. W mgnieniu oka, drużyny „Kreta” (Stanisław Bronowicki) i „Rzeźniaka” osaczyły i obezwładniły banderowców. Było ich dziewięciu. Zaraz też od pojmanych dowiedziano się hasła i odzewu. Banderowcy zostali tak zaskoczeni, że nie było chwili na obronę. Jeden zdążył wystrzelić z pistoletu, lekko raniąc plutonowego „Zagłobę” (Antoni Kwaśniewski). Te dwie drużyny na zdobytych saniach skierowały się na most i wieś. Znając już hasło, bez wystrzału zlikwidowały dwóch wartowników, po czym cały oddział ruszył naprzód, przechodząc jak huragan przez wieś Horodziec. „Zagłobowski fortel” powiódł się. Może coś tam przeszło z Sienkiewiczowskiego Zagłoby na „Zagłobę” Kwaśniewskiego. Ledwie minięto most, od stojącego na skraju wsi dworku posypały się gęste strzały, przykuwając polskich partyzantów do zaśnieżonej ziemi. Szybko jednak przygotowano działko i moździerz. Dwa pociski z działka posłane na dworek uciszyły strzelaninę, a kilka pocisków moździerzowych spowodowało popłoch we wsi, gdzie zaczęło palić się kilka budynków. Wówczas oddział ruszył galopem do przodu i dotarł do skrzyżowania dróg za wsią. Tam zatrzymano się na chwilę. Wieś płonęła w mroku grudniowej nocy.

Wiadomości uzyskane od jeńców były niepokojące. Dowiedziano się, że na trasie marszu oddziału stacjonowały liczne, silne placówki upowskie.

W chwilę później dostrzeżono długi szereg sań zdążających w kierunku Horodźca. Była to ukraińska odsiecz. Kolumna sań bez żadnego ubezpieczenia pędziła na oślep, a gdy się zbliżyła, zasypano ją gęstym ogniem. Skutek był zaskakujący. Powstało wielkie kłębowisko ludzi, koni i sań rażonych silnym polskim ogniem. Nie oglądano skutków masakry. Nie zbierano nawet cennej broni, lecz natychmiast ruszono w dalszą drogę.

Na chutorach, między miejscowościami Werbcza a Butejki, oddział natknął się na Ukraińców, którzy szybko umknęli. Tu w chłopskich zagrodach trafiono na upowskie magazyny. Były tam duże zapasy żywności, różnego rodzaju odzież, obuwie, pierzyny, pościel i inne różne rzeczy. W stajniach i stodołach zgromadzono dziesiątki bydła, koni, owiec, trzody chlewnej. Widocznie był tu banderowski punkt zaopatrzeniowy zorganizowany z dobytku zagrabionego Polakom.

Tu wymieniono zmęczone taborowe konie. Zabrano też wiele żywności i nie zwlekając, ruszono w dalszą niebezpieczną drogę.

Świtał już dzień, gdy oddział dotarł do Wyrki. Z goryczą i rozpaczą ujrzeli partyzanci, których wielu stąd pochodziło, zniszczenia dokonane podczas i po lipcowym napadzie. Około godziny dziesiątej oddział znów wyruszył w drogę. Najpierw posuwał się starym kolejowym nasypem przez Ostrówki, przeciął drogę z Siedliska do Huty Stepańskiej, podążając na Wilcze i Borsuki. W rejonie Borsuk zwiad konny wziął do niewoli kilku banderowców i zdobył sześć sań z zaprzęgiem. Na te sianie załadowano tych, którzy nie wytrzymywali trudów morderczego rajdu.

Pokonując leśne bezdroża, klucząc polnymi drogami oddział omijał większe ukraińskie skupiska ludzi. W napięciu omijano centra nacjonalizmu ukraińskiego wsie Chołniewicze i Harajmówkę, zapuszczając się w przestrzenne lasy Radziwiłła, koło miejscowości Łopateń. Tu mieściła się niegdyś letnia rezydencja Radziwiłłów i nieduża polska osada. Teraz pozostały tylko zgliszcza. W lasach tych było już bezpiecznie. Z Burczyjowa w Radziwiłłowskich Lasach do spalonej żydowsko-polskiej wsi Zofijówka, leżącej około dziesięciu kilometrów od Przebraża, marsz odbywał się w dzień przy grudniowej pięknej, słonecznej pogodzie i niedużym, może dziesięciostopniowym mrozie.

Kilka kilometrów przed Przebrażem, w opuszczonym – jak większość polskich kolonii na Wołyniu – Józefinie, na skraju lasu oddział zatrzymał się. Wysłano do samoobrony Przebraża patrol, aby przebrażanie nie wzięli oddziału „Bomby” za nieprzyjacielski i nie przywitani ogniem. Łącznikami byli: „Lump” (Leon Lewicki), „Student” (Zbigniew Bielawski) i „Adiutant” oraz woźnica. Tych dwóch ostatnich nazwiska nieznane.

Na spotkanie wyjechał komendant samoobrony, porucznik „Hary” (Henryk Cybulski) w asyście Alberta Wasilewskiego i Władysława Koksanowicza oraz wspomnianych łączników.

W Przebrażu przybyłych przyjęto serdecznie i życzliwie. Zakwaterowano w budynku szkolnym w kolonii Zagajnik, wchodzącej w skład systemu obronnego samoobrony Przebraże.

Tu oddział „Bomby” przebywał około trzech tygodni, przygotowując się do dalszego marszu. Zasłużenie odpoczywając, jednocześnie brał udział w paru organizowanych przez samoobronę Przebraża wyprawach po żywność oraz do Ołyki po polską ludność, która była tam zagrożona. Oddział wywarł w Przebrażu jak najlepsze wrażenie. Był to oddział bojowy, zdyscyplinowany, zahartowany w walce i nieustraszony.

W ostatni dzień roku poranek był trochę z przymrozkiem, ładny i słoneczny. Był to jeszcze tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci rok.

Zaraz z rana, tak bez potrzeby wstąpiłem do sztabu nazywanego zwykle kancelarią komendanta. Tu nie tylko był mózg i serce samoobrony, ale i „ośrodek informacji”. Zawsze coś nowego można było się dowiedzieć, np. coś z radia Londyn. Tam też dowiedziałem się, że późną nocą po trudnym, niebezpiecznym, wycieńczającym marszu, aż zza rzeki Słucz, przybył okaleczony oddział, pozbawiony swojego dowódcy, kapitana „Bomby”, który podążał na koncentrację w zachodniej części Wołunia. I że oddział ten doprowadził podporucznik „Słucki”, oficer rezerwy, a jaki zdecydowany i dzielny. Zresztą, podczas kampanii wrześniowej w 1939 roku wielu oficerów rezerwy, niejednokrotnie nauczycieli z cywila, okazało męstwo, bohaterstwo, patriotyzm oraz zdolności dowodzenia.

Mówiono także, iż w oddziale jest wielu żołnierzy z Huty Stepańskiej. Pomyślałem, jeżeli żyje starszy sierżant „Boston” (Zygmunt Żołędziewski), to na pewno jest w tym oddziale. Znałem go wcześniej. Przeżyliśmy napad banderowców na kolonię Taraż, gdzie niewiele brakowało, a podzielilibyśmy los dwudziestu czterech zamordowanych mieszkańców tej polskiej kolonii.

Na samą myśl, że mogę spotkać „Bostona”, czym prędzej pognałem do kolonii Zagajnik. Bez trudu odnalazłem go żywego i zdrowego. Trochę może zmęczonego. Dowodził plutonem ciężkich karabinów maszynowych. Już wtedy zdecydowałem, że zaciągnę się do oddziału „Bomby”, mimo iż oddział z samoobrony z Przebraża, do którego miałem dołączyć, również miał wyruszyć na koncentrację. Dotąd w konspiracji i samoobronie spełniałem różne role, w szczególności zaangażowany byłem w wywiadzie, a także byłem jednym ze współorganizatorów operacji wyprowadzenia pomocniczej policji rekrutującej się z Polaków.

Stało się inaczej. Za parę dni z własnym żołnierskim ekwipunkiem znalazłem się u „Bomby” z czternastoma Polakami kompletnie uzbrojonymi, wojskowo wyszkolonymi, służącymi dotąd w policji w Kiwercach, którzy opuścili jej szeregi, zasilając oddział „Bomby”. Warto powiedzieć, że policja z Kiwerc, około stu paru mężczyzn, tuż przed wymarszem „Bomby” z Przebraża opuściła koszary i swoich niemieckich przełożonych, zamknawszy ich uprzednio w piwnicy, nie czyniąc im większej krzywdy. Skryli się w samoobronie w Przebrażu z zamiarem dołączenia do oddziału, który stąd miał wyruszyć na koncentrację. Jednak z różnych względów, przede wszystkim zaś z uwagi na bezpieczeństwo zgrupowanej w samoobronie wielotysięcznej ludności polskiej, dowództwo nie zdecydowało się na wymarsz na koncentrację przynajmniej częścią sił samoobrony. Wkrótce wymarsz stał się niemożliwy z powodu bardzo szybkiego pojawienia się w tym rejonie oddziałów Armii Czerwonej.

Odtąd na długo zostałem żołnierzem cekaemów w plutonie „Bostona”, jego podwładnym i jego zastępcą. Część ludzi, których zwerbowałem, przydzielono również do plutonu ciężkich karabinów maszynowych. Byli to wspaniali, dzielni chłopcy i żołnierze. Zresztą cały pluton tworzył harmonijny, koleżeński, świadomie zdyscyplinowany zespół odważnych, bojowych i dzielnych ludzi. Tym też jako pododdział wyróżniał się spośród innych.

WYMARSZ Z PRZEBRAŻA

Był styczniowy, słoneczny, bezmroźny dzień, kiedy w oddziale „Bomby” trwały ostatnie przygotowania do wymarszu z gościnnego Przebraża w rejon koncentracji polskich oddziałów partyzanckich.

Od samego rana 22 stycznia w budynku szkolnym w kolonii Zagajnik wrzało jak w przysłowiowym ulu. Jedni zajęci byli toaletą osobistą, inni pakowaniem plecaków. Inni znów ładowali na wozy taborowe zapasy żywności, amunicji, materiały wybuchowe i inny sprzęt potrzebny w partyzanckich działaniach.

Kucharze także nie próżnowali. Krzatali się energiczniej i szybciej niż zwykle, przygotowując wcześniejszą obiadokolację i „żelazne porcje” na drogę. A to podkładając drewna pod kuchnię, to znów poruszając rusztem paleniska od czasu do czasu coś sobie mruzczyli pod nosem. Czy nucili jakieś melodie, czy też przeklinali, mniejsza o to, nikt nie zwracał na to uwagi. Wiadomo było, że kolegom nie złorzeczyli. Jedno było pewne, że spełniali swój obowiązek koleżeński i żołnierski z całym zrozumieniem. A że praca ich nie była lekka, to świadczyły o tym ich czerwone, potem ociekające twarze wycierane zamasyście rękawem kucharskiego kitla. Ci nasi kucharze to nie byli profesjonaliści, po prostu znali się nieźle na sprawach kulinarnych i umieli smacznie gotować. Umieli także, jeśli wymagała tego sytuacja, dobrze dzierżyć w swych muskularnych rękach karabin lub tylce ciężkiego karabinu maszynowego i jakże skutecznie kosić nieprzyjaciela ogniem tej broni. Tymi wspaniałymi kucharzami i cekaemi-stami w plutonie byli: kapral „Grom” (Stefan Tubicz) i strzelec „Góral” (Bronisław Karpowicz).

W przedwymarszowych przygotowaniach kręcili się bardziej niż zwykle nasi zawsze ruchliwi zwiadowcy z konnego zwiadu. Oni coś tam jeszcze mieli do załatwienia, a wśród nich jak zwykle wodził rej „Podkova”.

Najbardziej jednak, można powiedzieć precyzyjnie, przygotowywał do wymarszu swój pododdział ciężkich karabinów maszynowych starszy sierżant „Boston”. Boston do 1939 roku służył w Wojsku Polskim. Uczestnik wrześniowej kampanii w stopniu podoficerskim. Trafił do niewoli niemieckiej, był jeńcem stalagu w Neubrandenburgu, skąd udało mu się uciec. Wrócił w rodzinne strony na Wołyń, brał czynny udział w ruchu oporu. Był wzorem żołnierza i dowódcy. Człowiek spokojny, zrównoważony o stalowych nerwach, trochę flegmatycznego usposobienia. Nigdy nie denerwował się, zawsze ze spokojem pełnił swoje obowiązki.

Artylerzyści nasi, jak inni, bez reszty byli zajęci armatami. Były to dwa działka przeciwpancerne, kaliber czterdziestopięciomilimetrowy, które przed wymarszem, nie wiem po co, czyścili i pucowali jakby na defiladę. Widocznie do nich przywarło powiedzonko „Bostona”, które było znane i popularne w całym oddziale: „No chłopcy, dbajcie o broń, a czyściecie dokładnie, pamiętajcie, że czysta broń nigdy was nie zawiedzie, a niezawodna broń w naszym partyzanckim żywocie to jak chleb powszedni, bez którego się nie obejdiesz”.

We wczesnopołudniowych godzinach przygotowania do wymarszu dobiegały końca. Zjedzono gorący, treściwy i pożywny posiłek, który przygotowali nasi niezawodni kucharze. Zaczerwienione słońce coraz bardziej chyliło się ku zachodowi, co zapowiadało mróz. Na Wołyniu w styczniu i lutym mrozy dawały się często we znaki.

Niemalże równo z zachodem słońca wyruszyliśmy z Przebraża, gdzie przez kilkanaście dni gościł oddział, w rejon koncentracji, którym miały być okolice górnego biegu rzeki Stochód oraz kompleks bagienno-leśny między Kowlem, Włodzimierzem Wołyńskim a Bugiem.

Przez ten geograficznie określony rejon koncentracji przebiegała dość ważna sieć komunikacyjna wschód – zachód.

Linie kolejowe: Szepietówka – Zdołbunów – Równe – Kowel. Szosy: Równe – Dubno do Łucka, z Łucka do Kowla, z Łucka do Włodzimierza Wołyńskiego. Te obiekty i magistrale komunikacyjne były jeszcze przed koncentracją przedmiotem dywersyjnych uderzeń naszych oddziałów partyzanckich. Rejon ten w większości był pokryty lasami: ostrowsko-sławuckie, poleskie, ostrogskie, kostopolskie obejmowały kompleksy leśne na północ i wschód od Kiwerca, Kowla i Włodzimierza.

Krok po kroku przesuwaliśmy się do przodu, coraz bardziej zbliżyliśmy się do celu. W każdej chwili mogło nas spotkać wiele przykrych niespodzianek. Mijaliśmy liczne zakręty i skrzyżowania polnych dróg.

Po około dwugodzinnym marszu dotarliśmy do wsi Czólnica. Zatrzymaliśmy się na kilkuminutowy odpoczynek. Chyba po to tylko, aby wypalić papierosa, bo tyle ten odpoczynek trwał, po czym ruszyliśmy dalej. Posuwaliśmy się w rejonie niebezpiecznym, naszpikowanym ukraińskimi oddziałami UPA.

Była księżycowa, pogodna i mroźna noc. Kilkustopniowy mróz nie był dokuczliwy. Nie było najmniejszego nawet wiatru ani wilgoci w powietrzu, śnieg skrzypiał pod nogami i kołami wozów. Księżyc był naszym sprzymierzeńcem, tym bardziej że szliśmy w terenie zagrożonym. Wokół panowała cisza, którą od czasu do czasu zakłócało odległe szczekanie psów. Mijaliśmy po drodze opustoszałe lub spalone polskie wsie: Oleszkowice, Stanisławówkę. Nad ranem dotarliśmy do kolonii Wachówka, także opuszczonej przez zamieszkującą ją polską ludność, która w obawie przed rzezią ukraińską schroniła się w którejś miejscowości z samoobroną lub w niedużym miasteczku Rożyszczce. Tu zatrzymaliśmy się na całodzienny odpoczynek. Woleliśmy nie kontynuować marszu w dzień. Po pierwsze dlatego, że nie chcieliśmy być zauważeni przez niemieckie zwiadowcze samoloty, po drugie, nie bardzo chcieliśmy ujawniać przed Ukraińcami nie tak znów wielkiej naszej siły, przynajmniej do czasu sforsowania Styru.

Pod osłoną nocy czekała nas przeprawa przez Styr. Przeprawę wybrano na prawym brzegu, mniej więcej na wysokości miejscowości Wiszanki, a na lewym Czebienie.

Styr należy do rzek dość głębokich i kapryśnych. Na szczęście o tej porze roku był zamarznięty, chociaż według rozpoznania przeprowadzonego w ciągu dnia pokrywa lodu nie była grubsza niż dwanaście, osiemnaście centymetrów, a więc nie taka znów bezpieczna.

Tuż po zachodzie słońca ruszyliśmy w kierunku przeprawy. Od naszego postoju do rzeki trzeba było pokonać odległość około czterech–pięciu kilometrów. Mniej więcej po godzinie stanęliśmy nad brzegiem rzeki. Przeprawę po jednej i drugiej stronie rzeki ubezpieczono. Rozpoczęło się forsowanie, które odbywało się dość sprawnie, acz powoli, a to z uwagi na niezbyt grubą pokrywę lodu. Każdy wóz taborowy przeprawiano oddzielnie. Najbardziej baliśmy się o przeprawę armatek. Przy większym

obciążeniu tafla lodu ugięła się lekko i falowała, dając znać trzaskami, że większego obciążenia lód nie zdierży.

O północy szczęśliwie zakończyło się forsowanie Styru. Pogodna księżycowa noc i tym razem nam dopisywała i sprzyjała.

W czasie dwóch godzin od sforsowania rzeki, dotarliśmy do kolonii Helenówka, a przez następną godzinę do miejscowości Słobodarka.

Nad ranem dotarliśmy do jakiegoś chutoru leżącego między miejscowościami Słobodarka a Pożarki. Znaleźliśmy się w niedalekim sąsiedztwie miejscowości i stacji kolejowej Perespa oraz toru kolejowego i szosy łączącej Brześć – Kowel – Kiwerce – Łuck – Równe i dalej na wschód ku starej granicy Polski. Drogi te leżały na osi naszego marszu i stanowiły niebezpieczne przeszkody, o wiele niebezpieczniejsze niż forsowanie Styru, nawet po niezbyt grubym lodzie. Przejście przez tory kolejowe było w owym czasie bardzo trudnym przedsięwzięciem.

Niemcy wyrąbali las z obydwu stron torów na przestrzeni stu pięćdziesięciu – dwustu metrów. W niektórych miejscach urządzali zamaskowane pułapki, a gdzieś minowali drogi wiodące do torów. Wzdłuż linii kolejowych stacjonowały na wszystkich stacjach i większych osiedlach oddziały niemieckich lub węgierskich wojsk. Pobudowane były umocnienia i bunkry w takich odległościach, by przestrzeń między nimi mogła być przestreliwana i patrolowana.

W ten sposób każdy metr od toru kolejowego do skraju lasu można było objąć krzyżowym ogniem broni maszynowej. Poza tym, na stacjach ustawiano silne reflektory, włączane w wypadkach zagrożenia. Takie niemieckie lub węgierskie placówki najeżone były bunkrami i obsadzone załogami w sile piętnastu–dwudziestu pięciu ludzi. A na stacjach kolejowych lub w większych miejscowościach położonych wzdłuż torów kolejowych stacjonowały oddziały w sile kompanii piechoty, a niejednokrotnie wzmocnione paroma, wprawdzie nie najnowocześniejszymi – czołgami, lecz wystarczająco groźnymi dla partyzantów.

Jeszcze bardziej komplikowało naszą przeprawę przez linię kolejową to, że nasza grupa była duża, mieliśmy kilkanaście wozów taborowych, dwa działka i z taką kolumną nie mogliśmy szybko przeskoczyć przez strzeżoną i niebezpieczną przeszkodę.

Wprawdzie wzajemne stosunki między polskimi oddziałami partyzanckimi a Węgrami jakoś samorzutnie układały się na zasadach wzajemnej neutralności, coś w rodzaju „nie rusz mnie, ja ciebie nie będę ruszać”,

w praktyce jednak zdarzało się różnie. Wtedy obustronnie naruszano nie-pisaną zasadę neutralności, w wyniku czego zawsze poszkodowane były obie strony. Nic na to poradzić nie było można, to był skutek twardych praw wojny. Z przeczności jednak woleliśmy ominąć tę niepisaną konwencję neutralności i uniknąć niekoniecznych w naszej sytuacji spotkań, nawet z „bratankami” Węgrami.

Wybrano miejsce przeprawy przez szosę i magistralę kolejową Kowel – Łuck – Kiwerce w odległości około pięciu kilometrów od stacji kolejowej Perespa w kierunku południowo-zachodnim. Miejsce i rejon przeprawy został dokładnie spenetrowany i rozpoznany przez zwiad.

Równolegle z prowadzonym rozpoznaniem i wyszukaniem w miarę bezpiecznego miejsca forsowania linii kolejowej wysłano patrol minerski, aby rozpoznał i zaminował tor kolejowy.

Po pierwsze, miało to stanowić swego rodzaju zawór bezpieczeństwa na wypadek, gdyby na stacji Perespa zauważono naszą przeprawę, zabezpieczający ewentualną interwencję pociągu pancernego, który – według przeprowadzonego rozpoznania – od czasu do czasu patrolował ten odcinek magistrali. Po drugie, uszkodzenie toru na kilkanaście czy choćby kilka godzin na tak ważnej dla frontu magistrali uzasadniało decyzję. Po trzecie, aspekt psychologiczny: niszczyć wszystko, co jest nieprzyjacielskie, nękać i nie pozwalać okupantowi spokojnie spać.

Z nastaniem mroku wyruszyliśmy w kierunku przygotowanej i ubezpieczonej przeprawy. Dotarliśmy do szosy i linii kolejowej. Przeszkodę sforsowaliśmy niezauważeni. I dalej szybkim marszem posuwaliśmy się w kierunku południowo-zachodnim, niebawem docierając do miejscowości Kozin. Omijając ją polnymi drogami, maszerowaliśmy w kierunku miejscowości Tychotyń, zostawiając po lewej stronie wieś Lubcze. Chcieliśmy, utrzymując mordercze tempo marszu, jak najprędzej i jak najdalej oderwać się od niemiecko-węgierskiego garnizonu w Perespie. Nie byłoby celowe, aby przed osiągnięciem rejonu koncentracji uwikłać się w otwarte i niezamierzone walki. Tym bardziej że oddział był wyczerpany samotnym, ciężkim, okołotrzystukilometrowym rajdem z rejonu Starej Huty znad Słuczy i Horynia, w terenie opanowanym i naszpikowanym uzbrojonymi upowskimi oddziałami, z którymi toczył po drodze walki.

Rannych i pierwszych chorych na tyfus plamisty zostawiliśmy w samoobronie w Przebrażu pod dobrą opieką medyczną i ochroną gwarantującą bezpieczeństwo.

Forsowny, wyczerpujący marsz wysuszał piechurom gardła i wyciskał na czoło krople potu, chociaż noc była nieco mroźna. Z pysków koni ciągnących załadowane po brzegi wozy taborowe buchały kłęby pary, a ich spocona sierść zwijała się i układała w fakturę karakułowego futra. Tempa marszu nie zwalniano. Byliśmy mniej więcej na wysokości wsi Lubcze, gdy za nami nastąpił błysk i eksplozja. To nasi minerzy zrobili Niemcom prezent, wysadzili tor kolejowy.

Powoli mrok nocy zaczynał ustępować promykcom wschodzącego słońca, a my nie zwalnialiśmy tempa marszu. Odpoczynki były rzadko i krótkie. Tak krótkie, że nie zdążyliśmy wypalić papierosa.

Już było po wschodzie styczniowego słońca, które w tym dniu było bardzo czerwone. Poranek był mroźny, bezwietrzny i suchy. Chciało się pić. W manierce nie zostało ani kropli wody. Oddział wreszcie znalazł się teoretycznie we względnie bezpiecznym miejscu, zatrzymując się na zasłużony odpoczynek w chutorze między Tykotyniem a Ożdżarami.

Przez tę styczniową noc odskoczyliśmy od poprzedniego miejsca postoju około trzydziestu kilometrów. To wcale nie mała, jak na spieszony oddział.

Mijał czwarty dzień ciągłego marszu i jak do tej pory bez walki i niepowodzeń, chociaż posuwaliśmy się w terenie kontrolowanym przez upowców. Jedyne zwiad konny wczoraj w rejonie Słobodarki i Janówki natknął się na nieduży ukraiński oddziałek, który po krótkiej wymianie strzałów w ogromnym pośpiechu wycofał się, bojąc się zetknąć z naszą główną siłą, tym bardziej że fama niesła, iż przesuwa się w kierunku zachodnim nie stukilkudziesięciosobowy oddział, lecz kilkutyśięczny z własną kawalerią i artylerią.

Istotnie, posiadaliśmy dwa przeciwpancerne działka czterdziestopięciomilimetrowe, które niewątpliwie robiły duże wrażenie, szczególnie na przypadkowo obserwujących maszerujący oddział. Fama rozniosła się, a dwa działka urosły do dziesięciu albo i więcej. Mieliśmy też ze trzydziestu kawalerzystów z konnego zwiadu, którzy byli tak aktywni, że wszędzie było ich pełno. Zagony ich jak szalone pędziły całe dnie i noce w różne strony, prowadząc rozpoznanie. Wszędzie można było widzieć ruchliwych, wszędobylskich kawalerzystów. To też nic dziwnego, że i kawaleria także urastała do którejś potęgi.

To dobrze, że taka plotka szła przed nami i za nami. Dla „gospodarujących” w tym rejonie ukraińskich oddziałów nasza siła, a stąd postrach,

urastały do tego stopnia, iż mieszkańcy ukraińskich wiosek współpracujący z upowcami pospiesznie opuszczali je.

Niemcom w ciągu dnia nie pokazywaliśmy się za bardzo. Ale widocznie do nich także doszły już informacje o „wielkiej partyzanckiej armii”, ponieważ coraz częściej na niebie ukazywały się niemieckie samoloty zwiadowcze.

Tym razem nie czekaliśmy do wieczora, by pod osłoną nocy wyruszyć dalej. Po kilkugodzinnym odpoczynku, zjedzeniu posiłku i nakarmieniu koni, wyruszyliśmy w rejon Oźdżar, w kierunku miejscowości Jesionówka i rzeki Stochód, by ją sforsować i osiągnąć rejon Sołotwin i Majdan na lewym brzegu Stochodu. Z Oźdżar do Jesionówki posuwaliśmy się polnymi i nie najlepszymi drogami, często na przełaj, po lodzie zamrożonych bagien, rozlewisk i strumyków. Teren był z rzadka pokryty drzewami, raczej karłowatymi, i gęsto krzakami. Przez cały dzień nie widzieliśmy żadnego patrolującego niemieckiego samolotu. Może dlatego, że dzień był pochmurny, niski pułap i nie najlepsza widoczność. Nasz zwiad znów miał szczęście spotkać po drodze jakiś upowski konny patrol, który umknął mu z drogi. Nie doszło nawet do wymiany strzałów.

Wciąż maszerowaliśmy. Czuliśmy w nogach ten parodniowy marsz. Osiągnęliśmy wreszcie rzekę Stochód i przekroczyliśmy ją bez żadnych przeszkód, jednocześnie przekraczając granicę powiatów łuckiego i kowalskiego i wkroczyliśmy na terytorium tego ostatniego.

Stochód bierze początek w powiecie horochowskim koło Twerdynia na Wołyniu, przybierając najpierw kierunek północno-wschodni, a dalej płynie na północ, aby znaleźć tam swoje ujście w poleskiej Prypeci. W większości przepływa nizinami, podmokłymi terenami, w jesieni i na wiosnę tworząc ogromne rozlewiska, które z trudem mogłaby forsować piechota. O żadnych zaś kolumnach taborowych nie byłoby mowy. Teraz jak okiem sięgnąć zamrożone rozlewiska nie stwarzają żadnej trudności z ich forsowaniem. Szliśmy pół godziny, nie zauważając właściwego koryta rzeki. Po paru godzinach marszu, dotarliśmy do kolonii Dąbrowa Stara, leżącej już w terenie zalesionym, i ze względu na nieprzyjacielskie lotnictwo – bardziej bezpiecznym.

Resztę tego dnia i noc odpoczywaliśmy w Dąbrowie Starej. Nazajutrz rano wyruszyliśmy, już bez zbytniego pośpiechu, w kierunku kolonii Majdan. Po dotarciu do niej, znaleźliśmy się w zasadzie w rejonie koncentracji i zatrzymaliśmy się na kilka dni.

Przez minione pięć dni byliśmy w ciągłym, trudnym i jakże niebezpiecznym marszu. Posuwaliśmy się polnymi drogami, nieraz gościńcami, ostępami leśnymi, po lodzie zamrożonych bagien, mokradeł, strumyków i rzek. Maszerowaliśmy zakolami, aby ominąć niebezpieczne i zagrożone rejony. A te dodatkowe kilometry wchodziły w nasze nogi.

Po drodze napotykaliliśmy dużo osiedli ukraińskich i polskich. Ukraińskie, niektóre ze względu na bezpieczeństwo, omijaliśmy, obawiając się ze strony Ukraińców bądź Niemców niespodzianek natury wojennej.

Polskie osiedla z reguły były całkowicie lub częściowo spalone. Widniały tylko sterczące półrozwalone kominy, ruiny opuszczonych domostw, z których od czasu do czasu wyskoczył zdziczały kot lub pies. Widniały fragmenty płotów i parkanów, spalone kikuty drzew, które kiedyś rosły obok domostw, osłaniając od wichrów, a w lecie dając ochłodę i cień dla mieszkańców. Gdzieś tam samotnie stał żuraw przy studni, a w studniach zdarzało się – gdy chcieliśmy zaczerpnąć wody, aby się napić i напоić konie – natrafiać na ciała pomordowanych Polaków. Często w rumowiskach i zgliszczach osiedli, które już tylko widniały na mapie, stały samotnie krzyże nad mogiłami pomordowanych.

To wszystko było dziełem fanatycznych ukraińskich nacjonalistów budujących *samostijnu Ukrainu bez Lachow* (samodzielna Ukraina bez Polaków). Ci „rycerze” spod znaku trójzęba i swastyki stali się narzędziem w rękach niemieckich, a hitleryzm stanowił istotną przyczynę wszystkich rzezi, morderstw, cierpień i strat, jakie poniosła ludność polska na Wołyniu. Wszędzie po drodze spotykaliśmy ślady tych zbrodni, ślady straszliwej wojny.

DOTARCIE DO REJONU KONCENTRACJI

Majdan, nieduża kolonia zamieszkała przez Polaków, licząca zaledwie kilkanaście zagród. Mieszkańcy tej kolonii nie uciekli, ani nie zostali wymordowani przez upowców, gdyż leżała w rejonie działania oddziałów polskiej partyzantki. W Majdanie stacjonował stale oddział porucznika „Jurka”, który ochraniał mieszkańców kolonii Majdan i innych przed napadami i rzezią upowców. Ten niewielki ośrodek oporu leżał na terenie powiatu kowelskiego, w terenie zalesionym, dziewięć–dwanaście kilometrów od magistrali kolejowej i szosy łączącej Kowel – Kiwerce – Łuck oraz od stacji kolejowej Hołoby.

Podczas naszego parodniowego postoju w kolonii Majdan, organizowana była przez miejscowe oddziały polskiej partyzantki i samoobrony wyprawa bojowa na stację Hołoby, której celem było zdobycie zasobnych w broń i amunicję niemieckich magazynów. W wyprawie tej wzięliśmy udział. Właściwie dziwna by była taka kurtuazja. A więc zarządzono, że mamy przygotować się do operacji bojowej na stację Hołoby. Widziałem ją w innych okolicznościach w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Ciekaw byłem zobaczyć ją teraz. Nie wiedziałem jeszcze, że w niespełna dwa miesiące, zrządzeniem losu, jeszcze raz będę gościł w Hołobach, gdzie udało mi się zbiec z jenieckiego transportu. Specjalnych przygotowań do tej wyprawy nie czyniliśmy, gdyż byliśmy w marszu. Wchodzenie do akcji z marszu wymaga mniejszej procedury organizacyjnej i przygotowawczej. Wyruszyliśmy wczesnym wieczorem, aby bez pośpiechu nad ranem oddział mógł osiągnąć jako odwód pozycje wyjściowe. Chociaż był to styczeń, noc nie była mroźna, lecz pochmurna. Mieliśmy do pokonania odległość dziesięciu, może jedenastu kilometrów. Najpierw szliśmy leśnymi i polnymi drogami, wreszcie dotarliśmy do traktu, osiągając wyznaczone nam pozycje odwodowe między miejscowością Domiejenów a stacją kolejową Hołoby. Zalegliśmy tam w przydrożnych rowach w odległości może

dwóch kilometry od stacji, oczekując na dalsze rozkazy. Czekaliśmy parę godzin, wreszcie zarządzono powrót. Do uderzenia na stację i magazyny nie doszło z bliżej nieznanych mi powodów. Oddziały uczestniczące w tej wyprawie wycofały się bez strzału.

W jednym z dni postoju w Majdanie omal nie doszło do tragicznego wypadku. Jeden z chłopaków zabrał się do czyszczenia cekaemu. Przed tym nie rozbroił i dokładnie nie sprawdził, czy nie ma wprowadzonego do komory naboju pocisku. Nacisnął na spust i nastąpił strzał, który niefortunnie trafił będącą w oborze krowę, raniąc ją. Dobrze, że się skończyło na zranieniu krowy, ale ofiarą karygodnego gapiostwa mógł paść człowiek, a to byłoby tragiczne. Sprawca został ukarany przez dowódcę, a koledzy jeszcze długo podśmiewali się z tego „pechowca”. Później nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć o podobnym przypadku.

Tu też zachorowało kilku żołnierzy, objawy – bardzo wysoka temperatura ciała, silny ból głowy oraz majaczenie. To na pewno tyfus. Pozostawiliśmy ich kilku, tych których pamiętam to sierżant „Figiel” (Jan Włoszczyński) i starszy sierżant „Jemioł”. Pozostali w Majdanie pod opieką naszych sanitariuszek „Zielonej” (Helena Gutkowska) i Stefki Roskowińskiej oraz miejscowych Polaków. Po dojściu do zdrowia, na którymś nowym miejscu postoju wszyscy do nas dołączyli.

Upływały wciąż jeszcze styczniowe dni, gdy partyzancki oddział „Bomby” po dotychczasowych marszowych trudach, odsapnąwszy parę dni w kolonii Majdan, wyruszył dalej w głąb rejonu koncentracji, przesu- wając się o trzydzieści kilka kilometrów na południowy zachód w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego.

Opuszczałem Majdan nieco z żalem, gdyż pozostawało tam czarujące, filigranowe, skromne dziewczę. Naprawdę miła i sympatyczna znajomość. Bez żenady przyznaję, że trochę smutno mi było odchodzić od tego czarującego dziewczęcia. Ale cóż było robić... żołnierskie losy odrywają i gnają gdzieś w nieznaną dal i przyszłość.

I znów po drodze mijaliśmy zamieszkałe i opuszczone wsie i osady. Te opuszczone są całkowicie lub częściowo spalone. Widać, że tędy także przechodziła straszliwa wojna, sfaszycowane ukraińskie hordy rezunów pozostawiły po sobie zgliszcza, popioły i mogiły, jak je kiedyś pozostawiały dzikie tatarskie hordy. Przeszliśmy między innymi przez miejscowości: Budy, Jeziorany, Suszy Baba, wreszcie dotarliśmy do wsi Nyry, leżącej niedaleko Kupiczowa, można by powiedzieć partyzanckiej stolicy republiki.

W Jezioranach zatrzymaliśmy się na parogodzinny odpoczynek. Tu stacjonował oddział porucznika „Jastrzębia” (Władysław Czermiński), który na ten krótki czas opróżnił parę kwater, a przede wszystkim punkt sanitarny. Członków oddziału „Jastrzębia” obowiązywał zakaz odwiedzania nas, a nawet zbliżania się do nas. Nieśliśmy z sobą przecież tyfus, który przez kilka jeszcze tygodni szalał w oddziale.

Zostaliśmy zakwaterowani w Nyrach, a jednocześnie odizolowani od innych oddziałów. Panująca epidemia tyfusu ograniczyła zdolność bojową oddziału. Toteż nieprzypadkowo wyznaczono nam empe w bliskim sąsiedztwie silnej bazy samoobrony w Kupiczowie, żeby w jakimś sensie ochronić nas od kłopotów natury wojennej.

Nyry, wieś niezamieszkała przez tubylców. Leżała dwa lub trzy kilometry na wschód od Kupiczowa. Wszystkie domostwa opuszczone, parę spalonych, gdzieniegdzie sterczały tylko kikuty kominów i opalonych drzew lub osamotniony studzienny żuraw. Wieś zamieszkiwali częściowo Polacy, a częściowo Ukraińcy. Polacy zostali wymordowani, a zagrody ich spalono. Niewielu udało się ująć z życiem. Uratowani mieszkają w Kupiczowie. Ukraińscy mieszkańcy tej wsi opuścili ją z chwilą, gdy zostały przepędzone nacjonalistyczne oddziały UPA, a kontrolę nad tym rejonem przejęły oddziały polskiej partyzantki.

Zagrody, które pozostały we wsi, a jest ich kilkanaście, były położone po obu stronach polnej drogi na przestrzeni bodajże dwóch kilometrów. Zagrody oddalone jedna od drugiej o paręset metrów. Niektóre domostwa były nowe, duże, schludne. Niektóre stare, małe, z małymi oknami, przeważnie jednoizbowe, słomiane strzechy, na zewnątrz pomalowane kredą lub wapnem na biało lub niebiesko, w zależności czy w domu tym jest panna na wydaniu. W chatach stał ogromny piec, w którym gotowało się strawę, wypiekało chleb i ogrzewał chatę. W czeluściach takiego pieca mógłby swobodnie zmieścić się i przespać człowiek. Na wierzchu pieca było miejsce, na którym mogły spać trzy lub cztery osoby. Zbudowany był z gliny i częściowo z cegły. W izbie dookoła ustawiono ławy, a u góry pod sufitem zawieszono ikony. Niektóre z nich przybrane były ręcznikami zrobionymi z wybielanego lnianego płótna, ozdobionymi ręcznie misternie wykonanym haftem w przeróżne wzory z ludowymi lub sakralnymi motywami. Nierzadko po wypraniu służyły nam one jako ręczniki.

Rozkwaterowaliśmy się w tych domostwach drużynami lub plutonami, w zależności, jak duża była zagroda. Pluton ciężkich karabinów ma-

szynowych zakwaterowano w niezbyt dużym, lecz ładnym i schludnym domostwie. Nie było tu żadnego sprzętu, mebli ani łóżek. Pierwszą noc przespaliśmy na podłodze pościelonej słomą. Nazajutrz naprędce zrobiliśmy prowizoryczne prycze, które miały zastąpić nam łóżka. Zresztą o łóżkach, pościeli, rozbieraniu się do spania dawno zapomnieliśmy. Spaliśmy na prowizorycznych barłogach, w ubraniu, przykrywaliśmy się swymi płaszczami lub kożuchami. W innych plutonach było to samo. Warunki nie do pozazdroszczenia. Najgorsze było to, że cały oddział był zawoszony. Jakże w takich warunkach ochronić się od wszy i tyfusu. Dlatego z dnia na dzień rozprzestrzeniała się epidemia tyfusu, z którą walka była trudna, tym bardziej że swego oddziałowego lekarza ani żadnych leków nie mieliśmy.

Były jedynie trzy dzielne sanitariuszki: Nela, „Lodzia” i Jadzia (L. Gradowicz), oraz bardzo skromne zapasy lekarstw: jodyna, aspiryna, piramidon, rivanol, proszki od bólu głowy. Tym dysponowaliśmy. Już w czasie ciężkiego marszu do rejonu koncentracji mieliśmy kilku chorych, dla których szpitalem czy izbą chorych były wozy taborowe. Teraz mamy ich już kilkunastu. Liczba chorych na tyfus zwiększała się.

Któregoś dnia zaalarmowani zostaliśmy odgłosami niedalekiej ostrej strzelaniny. Natychmiast wyruszyły na rozpoznanie i z ewentualną pomocą dwa strzeleckie plutony i kilku konnych zwiadowców.

Okazało się, że wzmocniony patrol z oddziału „Trzaska”, pod dowództwem porucznika „Zagłoby” natknął się pod Nowym Dworem na silny oddział upowski i został przez niego przygnieciony. Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie odsiecz „Bombików”, przy pomocy których ukraiński oddział zmuszono do wycofania się.

Prócz tego zabezpieczały nas stacjonujące w niedalekim Lityniu partyzanckie oddziały „Siwego”, „Sokoła” (Michał Fiałka) i „Jastrzębia”, wciąż jeszcze oczyszczające świniarzyńskie lasy z upowskich band.

Jedna po drugiej padały upowskie bazy, takie jak: Świniarzyn, Gnojno, Czernijów. A zatem, jak na razie niebezpieczeństwo napadu upowców nie groziło naszemu wyczerpanemu i zdziesiątkowanemu epidemią oddziałowi. Mimo to, zawsze byliśmy w gotowości bojowej z tą częścią żołnierzy, której nie dotknął jeszcze tyfus. Zawsze wystawiano ubezpieczenie, stale patrolowano rejon wsi.

Blisko położony Kupiczów, raczej szpital w Kupiczowie, nie rozwiązywał problemu walki z epidemią. Po pierwsze, nie można było lokować nowych „tyfuśniaków” w szpitalu, żeby nie rozprzestrzeniać epidemii. Po

drugie, z bezustannie prowadzonych walk napływ rannych był tak duży, że ciągle powiększono szpital, szukając nowych pomieszczeń.

Sąsiedztwo to zapewniało natomiast dobrą opiekę medyczno-sanitarną wykwalifikowanych pracowników służby zdrowia i może nieco większe możliwości zaopatrywania się w leki, aczkolwiek szpital również odczuwał poważny ich brak.

W zaistniałej sytuacji, w dwa dni po przybyciu do Nyr, przydzielono do naszego oddziału doświadczonego lekarza medycyny porucznika „Gryfa” (Grzegorz Fedorowski) i sanitariuszkę „Danę” (Janina Włodarska). Oni, wspólnie z naszymi sanitariuszkami, przystąpili do organizowania improwizowanego szpitala, ściślej – izby chorych.

W tym celu przygotowano dwa obok siebie stojące domostwa, chłopcy z plutonów ściągnęli gdzieś ze wsi parę łóżek, parę zaś sklecono z desek. Siostra „Dana” przywiozła z Kupiczowa trochę pościeli i bielizny osobistej. Umyto i ostrzyżono naszych chłopców, przebrano w czystą bieliznę i położono ich w izbie chorych. Wprawdzie nie wszystkim położono w czystą pościel, ale przynajmniej na czystej i niezawsoniej słomie. Następnie „Gryf” z podległym mu personelem przeszedł się po wszystkich kwaterach. Przebadał wszystkich partyzantów, a tych, którzy skarżyli się na ból głowy i podniesioną temperaturę, natychmiast kierował do izby chorych. W ten sposób rozpoczęła się walka z tyfusem.

W każdym plutonie, w każdej drużynie zaczęliśmy tępić wszy, bo przecież one są przede wszystkim roznośicielami tyfusu. Tępiiliśmy je, jak kto mógł i jak pozwalały na to możliwości. Bieliznę osobistą gotowaliśmy w garnkach lub wiadrach. Wrzucaliśmy także „garderobę” do rozgrzanych pieców i w nich ją prażyliśmy albo wyrzucaliśmy naszą wierzchnią odzież na kilka godzin na mróz, szczególnie dotyczyło to kożuchów, których przecież nie można było prażyć w piecu, ani gotować lub prać. Ale zawsze jest jakieś wyjście. Ktoś poradził, żeby nakrywać zawsonymi kożuchami spocone konie. Miał to być niezawodny środek. Próbowaliśmy wszystkich środków i sposobów; wszy zaczynały powoli znikać. Mimo to epidemia szerzyła się w dalszym ciągu. Coraz to któryś z chłopców dostawał wysokiej temperatury i zabierano go do izby chorych. Rotacja w izbie chorych była duża.

Z powodu ograniczonej liczby miejsc, tych żołnierzy, którzy powłóczyli jeszcze nogami, ale jako tako mogli się na nich utrzymać, choć wychudzonych i wymizerowanych, zabierano z izby chorych na rekonwalescencję do plutonów.

Wreszcie po kilkunastu dniach tej batalii epidemię udało się opanować. Uznano to za duży sukces „Gryfa” i jego personelu, sanitariuszek „Dany”, Neli, Łodzi i Jadzi.

Mimo wszystko śmierć zabrała nam paru naszych partyzantów: „Kacasia” (Stanisław Janicki), Mirka Miśkiewicza, dobrych żołnierzy, wspinających kolegów.

Minęły już te okropne styczniowe dni. Dni ciężkich, trudnych i niebezpiecznych marszów, zmagañ z epidemią i walki ze śmiercią,

Nastał mroźny i śnieżny luty, taki jak w ludowym wołyńskiego przysłowiu: pyta luty, czy masz dobre buty. I rzeczywiście, przyszły siarczyste mrozy i duże opady śniegu. Puszysty, biały śnieg pokrywał coraz grubszym całunem drzewa i ostępy leśne, pola i zagrody. W promieniach zimowego słońca lub w świetle księżyca skrzył się, aż oczy bolały patrzeć. To wszystko zapowiadało jeszcze tęgą zimę. Chyba popyta jeszcze nas luty, czy mamy dobre buty. Buty mieliśmy jeszcze dobre, a i mrozu nie baliśmy się. Czyż straszniejszy może być siarczysty mróz, śnieg, tęga zima od strasznej epidemii tyfusu. Mamy wprawdzie jeszcze kilkunastu chorych i zapewne będą jeszcze pojedyncze przypadki zachorowań, ale to już nie szalejąca epidemia. Żołnierze, którzy przeszli tyfus, wracają powoli do zdrowia. Ci, którzy nie chorowali, przez te kilkanaście dni pobytu w Nyrach już odpoczęli po przeżyciach i trudach przemarszu. Doprowadzili siebie trochę do porządku, a i oddział zaczął nabierać względnej gotowości bojowej i nie musiał przebywać już pod opiekuńczymi skrzydłami silnej bazy samoobrony w Kupiczowie. I oto nadszedł rozkaz wymarszu nad rzekę Turie, w rejon lasów świniarzyńskich, aby oczyszczony z upowców teren zabezpieczyć przed upowcami i Niemcami.

PARTYZANCKA STOLICA

Kupiczów to wielka osada licząca paręset zabudowań, z dość dobrze zorganizowaną bazą samoobrony. Mieszkali tu przeważnie Czesi, którzy przed stu laty osiedlili się na Wołyniu. Polaków i Ukraińców było niewielu w Kupiczowie w wyniku morderstw polskiej ludności przez Ukraińców. To byli ci, którzy niemalże cudem uniknęli śmierci z rąk sfanatyzowanych hord ukraińskich, nacjonalistów „rezunów” i znaleźli schronienie u swoich bądź u Czechów lub w domach opuszczonych przez Ukraińców, którzy poszli z upowcami. Ale kilkoro Ukraińców zostało w Kupiczowie, którzy nie ulegli nacjonalistycznemu szaleństwu, jakie ogarnęło ich pobratymców. Otrzymali oni od swoich za to, że nie solidaryzowali się z ideologią i hasłami ukraińskiego nacjonalizmu, wyroki śmierci. Lecz tym nie przejmowali się zbyt, spokojnie sobie żyli wśród Polaków i Czechów, pod opieką polskich partyzantów. Stosunki narodowościowe w Kupiczowie były na wskroś internacjonalistyczne. Nie było żadnych zadrażnień lub nieporozumień. Polacy rozmawiali po polsku, Czesi po czesku, Ukraińcy po ukraińsku. Wszyscy się doskonale rozumieli. Zresztą na Wołyniu taki konglomerat językowy istniał od wieków.

Były też trzy świątynie. Przy placu położonym pośrodku osady stała zabytkowa modrzewiowa cerkiewka, a opodal punkt obserwacyjny na wieży triangulacyjnej, z którego widać całą okolicę. Przy głównej ulicy znajdował się nowoczesny kościół ewangelicki ze strzelistą wieżą. Część zamieszkujących Czechów to byli ewangelicy. Na skraju osady, okolony sztachetami, stał murowany nieduży kościół katolicki.

Na horyzoncie widniał ogromny świniarzyński leśny masyw. Na punkcie obserwacyjnym od świtu do zmroku stał partyzant z lornetką, czuwając nad bezpieczeństwem Kupiczowa, a nad nim powiewała biało-czerwona flaga.

Pod koniec 1943 roku oddziały partyzanckie „Jastrzębia” i „Sokoła” toczyły z UPA ciężkie boje w rejonie Kupiczowa, jak też o Kupiczów. Po jego zdobyciu utrzymywano w nim partyzancką placówkę. Następnie zorganizowano samoobronę. Po odejściu z Kupiczowa oddziałów „Jastrzębia” i „Sokoła”, które przeszły do dalszych operacji oczyszczających rejon z upowców, tamtejszą samoobroną dowodził porucznik „Wilczur” (Skomorowski). „Wilczur” był oficerem rezerwy, z zawodu nauczycielem. Przed wojną w Kupiczowie był kierownikiem szkoły. Teraz dowodził dobrze samoobroną, która ochraniała Polaków, Czechów, a nawet Ukraińców, którzy pozostali u niego. Kupiczów stał się w tym rejonie jak gdyby partyzancką stolicą. Lecz nie tylko był „stolicą”, ale przede wszystkim bazą zaopatrzeniową partyzanckiego kraju. Tu produkowało się wszystko. Twarde i miękkie skóry na obuwie, siodła, uprzęże i kozuchy. Były tu warsztaty krawieckie, szewskie, kowalskie, kołodziejskie. Przędzono tu nici i robiono wełniane swetry, skarpety, rękawice. Wyrabiano mydło z sody kaustycznej, łoju lub innych odpadów tłuszczu zwierzęcego. Nie było to wprawdzie mydło firm Palmolive lub Yardley, ale do prania nadawało się znakomicie, lepsze, jak na wół z gliną, niemieckie, przydzielane na kartki. W rusznikarni naprawiało się broń. Z buraków cukrowych wazono syrop, który częściowo zastępował cukier. Pędzili także bimber oraz wyrabiali doskonale wędliny. Słowem, baza zaopatrzeniowa marzenie.

Ta baza kwatermistrzowska została zorganizowana przez Gromadę – kowelskie oddziały partyzanckie. Dowodził nią z powodzeniem kapitan „Hruby” (Jan Józwiak).

Mimo to trudne było tu życie Polaków – uciekinierów. Niektórym uciekającym przed upowcami udało się zabrać z sobą trochę zapasów żywności i dobytku. Część z nich pracowała w opuszczonych, ukraińskich gospodarstwach lub u miejscowych. Trochę zboża, ziemniaków, paszy dla bydła, trzody i drobiu zebrano z okolicznych pól i gospodarstw opuszczonych wsi ukraińskich, a znajdujących się w zasięgu działania polskiej partyzantki.

NOWE MIEJSCE POSTOJU

Z samoobrony w Kupiczowie i naszej partyzanckiej bazy zaopatrzeniowej mieli przysłać nam kilkanaście sań, gdyż własnego taboru nie starczyło, aby przewieźć sprzęt, chorych i rekonwalescentów, którzy ze względu na swoje jeszcze wątłe zdrowie mogliby nie pokonać trudów przemarszu.

Przekwaterowujemy się do miejscowości Rzewuszki, leżącej nad rzekę Turia.

Z samego rana 17 lutego wyruszyła kolumna marszem ubezpieczonym. Chociaż teren był opanowany przez nasze oddziały, to trzymaliśmy się wojskowej zasady. Wyszło ubezpieczenie przednie, kolumna furmanek z chorymi, sprzętem i rekonwalescentami, na końcu ubezpieczenie tylne. Konie szły wolno, podrygując cebulastymi zadami, spokojnie ciągnęły sanki i wozy po skrzypiącym i skrzącym się w promieniach słońca śniegu. Rzeńskie mroźne powietrze szczypało w policzki, a kłęby pary z oddechów końskich mieszały się z kaszkowatą mgiełką. Posuwaliśmy się w terenie, który jeszcze niedawno był opanowany przez UPA. Przechodziliśmy przez Świniarzyn, który do niedawna był twierdzą ukraińskiego nacjonalizmu, teraz przez nikogo niezamieszkały, z wyjątkiem oddziału „Trzaska”.

Weszliśmy w lasy świniarzyńskie. Stary piękny las. Wiekowe dęby, sosny i świerki stały nieruchomo, obsypane śniegiem, jakby przyglądały się kroczącej majestatycznie kolumnie.

Skończył się las, weszliśmy na otwarty teren, jak okiem sięgnąć śniegiem pokryta równina. Szliśmy już cały dzień. Zbliżamy się do Rzewuszek. Wieś nie największa, ale i nie mała, liczyła od czterdziestu do pięćdziesięciu zagród. Leżała równolegle do rzeki Turii w odległości kilometra od jej brzegów. Odległość tę dzielą łąki, teraz pokryte grubą warstwą śniegu. Na tych łąkach stały bliźniaczo podobne wyższe i niższe stożki, również pokryte grubą warstwą śniegu. Te figury okazały się stogami sia-

na, którym żywią się teraz bezpańskie stada krów i owiec. Widok piękny. Pejzażysta miałby gotowy temat.

Tereny po drugiej stronie rzeki nie były przez nasze oddziały całkowicie kontrolowane. Między łąkami a opłotkami wsi stały trzy okazałe bunkry, czwarty przy cmentarzu. Zbudowali je upowcy w czasie, kiedy stacjonowali w tej wsi. Przez wieś biegła wiejska ulica, po obu jej stronach zagrody opuszczone przez ukraińskich nacjonalistów. W oborach i stodołach stada kur wypasionych bezpańskim zbożem. Bezpańskie chodziły także krowy, owce i świnie. W stodołach i komorach pełno zboża. W skrzyniach i beczkach groch, fasola, kasza, mąka. W piwnicach kiszzone ogórki, kapusta, ziemniaki, marchew, buraki. Na strychach całe sznury tytoniu w liściach, trafiła się też zawieszona na krokwi wędzona szynka lub polędwica. Jednym słowem, baza zaopatrzeniowa jak się patrzy. Takiej właśnie trzeba było dla naszych chudziaków, rekonwalescentów, którzy stanowili przecież przeszło pięćdziesiąt procent stanu osobowego oddziału.

W Rzewuszkach rozlokowaliśmy się jak w poprzednich Nyrach, w opuszczonych domostwach, plutonami lub drużynami.

Pluton ciężkich karabinów maszynowych zajął spory budynek szkolny. Kwatera składała się z trzech izb mieszkalnych oraz kuchni, komory, korytarza. Jedna, największa izba, miała może siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, dwie pozostałe – małe. W dużej izbie o kształcie prostokąta po jednej stronie zrobiono naprędce ze znalezionych gdzieś desek prycze do spania, na których mogło wygodnie zmieścić się dwudziestu pięciu ludzi. Po drugiej, równoległej stronie ustawiono stojaki na broń, wyznaczono miejsce na cekaemy, a trochę dalej wieszaki na ubrania. Mniej więcej pośrodku izby, bliżej szczytowej ściany, ławy do siedzenia i stoły, na których spożywano posiłki, a także czyszczono broń.

Tak wyglądała nowa kwatera. W pozostałych dwóch małych izbach, o czym bym zapomniał, rozlokowali się – w jednej starszy sierżant „Opór” i sierżant „Wiatr”, w drugiej ja z „Bostonem”, w której na jednej ze ścian był zawieszony fotos młodej o regularnych, bardzo ładnych rysach, pięknej kobiety, a na podłodze widniała ogromna plama wsiąkniętej już w drewno, wyschniętej krwi. Tu ukraińscy zwyrodnialcy zamordowali tę kobietę spoglądającą teraz na pokój, w którym mieszkała i miała przecież jakiś swój dobytek, swoje gospodarstwo, swoje zacisze domowe i tu zapewne było jej dobrze. Była w tej szkole nauczycielką, uczyła swych morderców

abecadła, czytania i pisania, kultury i miłości bliźniego, ale była Polką i za to ją zamordowano.

W całej kwaterze panował wzorowy porządek. Nie wszyscy wprowadzili mieli łóżka i pościel. Niektórzy mieli czystą świeżą słomą napchane sienniki.

Ci, którzy nie mieli sienników, nie udało im się wygospodarować, po prostu spali na słomie. Nie mieliśmy w naszej kwaterze łazienki ani umywalni, była za to w podwórku głęboka studnia i duże koryto do pojenia zwierząt domowych. Przy tej studni codziennie rano myliśmy się do połowy zimną, lodowatą wodą. Nieraz przy takim porannym myciu urządzaliśmy sobie coś w rodzaju „zawodów wytrzymałościowych” – kto wytrzyma więcej wylanych na jego plecy wiader tej lodowatej wody. Nie było to rozsądne, ale nikt z nas nie miał później kataru i nie przeziębiał się.

W najbliższym sąsiedztwie rozlokowały się działony „artylerii”, pluton granatników oraz sztab oddziału.

Plutony broni towarzyszącej nieprzypadkowo umiejscowiono w pobliżu sztabu, bowiem w razie nieprzyjacielskiego napadu natychmiast trzeba było mieć do dyspozycji środki ogniowe, jakimi są cekaemy, granatniki, działka.

Mieliśmy też w naszym plutonie cekaemów wspomnianych już mistrzów kuchni „Groma” i „Górała”. Obiady zazwyczaj składały się z dwóch dań. Zupa zawsze na mięsie, drugie danie – mięso wieprzowe, wołowe, baranina lub drób przyrządzane w różnych postaciach i smakach. Śniadania i kolacje także smaczne i treściwe.

Na warunki koszarowe, a w szczególności aprowizacyjne, nie narzekaliśmy, wręcz przeciwnie, uważaliśmy, że są one, zważywszy okoliczności, powiedziałbym luksusowe. Mieliśmy przecież na miejscu bogatą bazę zaopatrzeniową pozostawioną przez upowców.

Pozostały bezpańskie stada bydła i owiec, które żywiły się sianem i zbożem ze stogów stojących przy zagrodach i na łące. Przychodziły do wodopoju w naszej wsi. Pośrodku wsi był zamrznięty staw, w którym nasi chłopcy codziennie robili przeręble, aby wałęsające się zwierzęta mogły ugasić pragnienie.

Te zasoby stwarzały nam doskonałą bazę zaopatrzeniową w mięso, a nawet mleko. Toteż mogliśmy sobie pozwolić na dobre odżywianie, póki to było możliwe, a dobre żywienie konieczne było dla naszych ozdrowieńców, wycieńczonych ciężką chorobą.

Z powodu dużej liczby rekonwalescentów, w dalszym ciągu mieliśmy ograniczoną gotowość bojową, a co za tym idzie trochę więcej czasu niż inne oddziały wciąż walczące przede wszystkim z upowcami w obronie cywilnej ludności polskiej i o poszerzenie bazy naszej republiki. Aby czas ten jak najwłaściwiej wykorzystać, opracowaliśmy naprędce z „Bostonem” program szkolenia wojskowego dla plutonu w zakresie teoretycznym i ćwiczeń w polu. Kiedy część zdrowych żołnierzy nie brała udziału w akcji bojowej, codziennie po śniadaniu, chociaż były tęgawe mrozy i leżała gruba warstwa śniegu nieułatwiająca ćwiczeń w polu, przez dwie godziny prowadziłem z chłopakami zajęcia. Natomiast teorię wykladał rekonwalescentom „Boston”, który także do nich należał.

Wychodziliśmy z założenia, że jeśli pozwalają możliwości i czas, to należy się szkolić, gdyż dobrze wyszkolony żołnierz to już część powodzenia w walce.

UPOWSKIE SĄSIEDZTWO

Walki z Ukraińcami w dalszym ciągu nie ustawały. Wprawdzie oddziały UPA przegonione przez naszą dywizję i radziecką partyzantkę odeszły częściowo na południe, gdzieś w rejon Horochowa, to jednak niektóre zostały w dużych wsiach ukraińskich, położonych wzdłuż szosy Włodzimierz Wołyński – Łuck.

W najbliższym sąsiedztwie znajdowały się gniazda upowskie, powstały warowne twierdze: około dwudziestu kilometrów na wschód od nas – Ośmigowicze, około dwudziestu kilometrów na południe – Oździutycze oraz około dwudziestu pięciu kilometrów na południowy-wschód – Kisielin. Szczególnie Kisielin już od dawna znany był jako siedlisko ukraińskiego, szowinistycznego nacjonalizmu.

Tam też bandy *rezunów* 11 lipca 1943 roku, w niedzielę podczas nabożeństwa, napadły na katolicki kościół, dokonując straszliwej rzezi na bezbronnej, polskiej ludności. Banda nie oszczędziła nikogo, mordując dzieci, starców, kobiety – zginęło kilkadziesiąt osób. W tym dniu dokonano podobnych napadów na katolickie świątynie podczas nabożeństw w Porycku, Krymnie, Świeciowie. Następnego dnia spłonęły polskie wsie: Rudnia, Weronczyn, Warszawka, Adamówka, Aleksandrówka. Tam również wymordowano bezbronych i niewinnych ludzi, tylko dlatego, że byli Polakami.

Z powodu takiego sąsiedztwa, natychmiast po przybyciu do Rzewuszek, w nocy z 19 na 20 lutego, złożono nam „wizytę”. Zaalarmowały nas strzały z broni maszynowej. Ostrzeliwano naszą wieś zza Turii. Słychać też było strzelaninę z kierunku Wołczaka i Dominopola, gdzie stacjonował łucki oddział. Zajęliśmy pozycje obronne w poupowskich umocnieniach i też daliśmy znać, że jesteśmy i czuwamy. Zakończyło się na krótkiej wymianie strzałów. Alarm odwołano.

Z uwagi na to, że nie łączyły nas dobrosąsiedzkie stosunki z upowskimi bazami, zmuszeni byliśmy do podwójnej czujności. Zajmowa-

na przez nas wieś obstawiona była wartami i placówkami oraz wciąż krążącymi patrolami. Niektóre placówki lub posterunki mieściły się w poupowskich bunkrach, a niektóre w szczerym polu. Najbardziej uciążliwe było patrolowanie polowej linii telefonicznej łączącej nasz oddział ze sztabem dywizji w Ossie. Linię tę bezustannie na swoim odcinku patrolowaliśmy. W dzień i w nocy, na dokuczliwym mrozie, po pas w śniegu. Najgorsze jednak były zamiecie śnieżne, które powodowały, że w nocy widoczność była słaba, prawie żadna. Nie jeden raz tej zimy w śnieżną zawieję na dwudziestokilkustopniowym mrozie, brnąc po pas w śniegu patrolowałem tę linię. Służbę wartowniczą lub patrolową pełniliśmy bardzo często, gdyż była to sytuacja wyjątkowa, z uwagi na niepełne, z powodu tyfusu i rekonwalescencji, stany osobowe. Lepiej było, jak wypadła służba rontu, przez cały czas było się w ruchu. Nie marzło się tak szybko, czas szybciej schodził, a i spać się nie chciało. A już najlepsza była służba w naszym szpitalu, był tam posterunek wewnętrzny. Czas służby w szpitalu biegł jak strzała, bo przy chorych pełniły dyżury nasze sanitariuszki, naprawdę ładne i miłe dziewczyny. Im się nieraz także nudziło. U dziewczyn na rozgrzewkę można było wypić herbatę z mięty, rzadziej prawdziwą. Tam można było przyjemnie porozmawiać, zapominając o ciężkim, zawsze i wszędzie najeżonym niebezpieczeństwach, niepewnym jutrze. Tym bardziej że przez cały okres postojów w Rzewuszkach nasi sąsiedzi spod znaku *tryzuba* nie dawali nam spokoju; co jakiś czas ukraińskie patrole podchodziły i ostrzeliwały naszą bazę.

Tu trzeba powiedzieć, że nasz oddział, pomimo niepełnej jeszcze gotowości bojowej, był oddziałem buforowym i niejako spełniał rolę strzegącego granicy, gdyż granica leżąca po drugiej stronie rzeki Turii nie była całkowicie kontrolowana przez nasze oddziały. Z tego powodu mieliśmy sporo niepokoju i kłopotów natury wojennej. Nękające nas strzały upowskie powtarzały się dość często. Sypialiśmy czujnie jak zając pod miedzą, przygotowani w każdej chwili do odparcia ataku. Nasze piesze i konne patrole nieustannie kontrolowały rejon własnych baz. Wychodziły codziennie, zapuszczając się na teren upowski. Szperały w okolicy i pobliskich lasach. Zawsze byliśmy czujni i nie spotykały nas większe niespodzianki. Częste nocne ostrzały naszej bazy pochodziły z drugiego brzegu rzeki Turii. Stało tam parę opuszczonych zagród. Widocznie zagrody te stanowiły dobrą przystań dla upowskich patroli,

które w porze nocnej zatrzymywały się tam na krótko i ostrzeliwując nękały nas. W dzień teren po drugiej stronie rzeki był kontrolowany przez nas.

Jak dotąd, poza krótką wymianą strzałów, upowcy nie odważyli się nas atakować. Może dlatego, że zawsze czuwaliśmy i natychmiast reago-
waliśmy, posyłając śmiertelne kule.

ALARM NIE PO RAZ PIERWSZY

Którejś nocy miałem służbę, byłem dowódcę rontu. Byli ze mną „Szynka” (Władysław Chorążyczewski) i „Orzeł” (Tadeusz Czebie- niak). Była piękna zimowa noc. Dzięki księżycowi w pełni było widno jak w dzień, niebo upstrzone milionami gwiazd. Od czasu do czasu któraś z tych gwiazd mrugnęła, jakby przed czymś lub przed kimś ostrze- gała. Tęgi mróz szczypał w policzki i chwilami zapierał oddech. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod butami. Nie śpiesząc się, szliśmy wsłuchując się w nocną ciszę, której nie zakłócało nawet szczekanie psów. Spraw- dzaliśmy czujność naszych wartowników, posterunki, czujki, placówki w bunkrach i w otwartym polu.

Naraz tę ciszę przerwały serie karabinów maszynowych zza Turii. Natychmiast nasze bunkry odpowiedziały seriami kaemów. Jednak upo- wski ogień nasilał się. U nas alarm! Ze wszystkich chałup, wyrwani ze snu, wypadali żołnierze dopinając pasy, poprawiając ryszunek, ładując broń. Jedni podążali na wyznaczone już wcześniej, na wypadek alarmów, stanowiska i zajmowali je, inni zbierali się na placu alarmowym. Porucz- nik „Słucki” wydał rozkazy. Pociski świdrowały powietrze, przelatując nad naszymi głowami, a co któryś był świetlny, ciągnący za sobą błękitną smugę światła. Ogień nie ustawał. Słyszał się pojedyncze strzały i serie z broni maszynowej od strony wsi Wołczak, gdzie stacjonował jeden z na- szych oddziałów – Krwawa Łuna.

Porucznik „Słucki” wysłał w kierunku zagrożenia dwa patrole piesze i patrol zwiadu konnego. Sztabu dywizji w Ossie na razie nie powiada- miał, jeszcze nie było potrzeby. Jeden patrol pod dowództwem dzielnego dowódcy plutonu „Jemioła” wyszedł na rozpoznanie. On sobie poradzi ze wszystkim.

„Boston” – jak zwykle opanowany i spokojny – rozkazał swoim ce- kaemistom zając stanowiska bojowe. Sam zaś ze swoim „klarnetem” pod

pachą (tak nazywaliśmy lotniczy karabin maszynowy swego czasu wymontowany ze strąconego niemieckiego samolotu) i amunicją, w towarzystwie mającego może siedemnaście lat chłopaka, strzelca „Jastrzębia”, wdrapali się po przeciwpożarowej drabinie na dach jednej z chałup. Stąd mieli dobry widok i w razie potrzeby doskonały ostrzał.

Jak zwykle w wojsku, w czasie alarmu każdy żołnierz wie, co do niego należy i co ma robić. Nasza służba medyczno-sanitarna zaczęła powoli ubierać chorych. Woźnice przygotowali wozy taborowe i zaprzęgli konie na wypadek ewakuacji chorych. Tymczasem nasze patrole wyszły głęboko na przedpole i znalazły się po drugiej stronie rzeki, gdzie stało owych parę zagród. Nastąpiła ostra, lecz krótka i chaotyczna wymiana ognia. I jakby nożem uciął, wszystko ucichło. Zapanował spokój na całej linii. Po niedługim czasie alarm odwołano, ale rozbierać się na razie nie wolno, obowiązywało ostre pogotowie.

Jak się okazało, w tym nadrzecznym chutorze podeszli w mrokach nocy i usadowili się upowcy, planując napad na naszą bazę. Prowadzili stamtąd gwałtowny ostrzał, dopóki ich solidnie nie przycisnęliśmy, po czym szybko się wycofali.

Ten nocny epizod zadecydował o wydaniu wyroku na unicestwienie nadrzecznego chutoru. Nazajutrz starszy wachmistrz „Czarny”, dowódca konnego zwiadu, otrzymał rozkaz spalenia tych zagród. Wziął z sobą paru swoich chłopców i w krótkim czasie buchnęły kłęby dymu i ogromne, czerwone-błękitne jężory ognia. Tak złożyliśmy Bogu w ofierze to upowskie gniazdo.

Niedługo mieliśmy spokój. Rzadziej wprawdzie i z dalszej odległości, ale upowcy podchodzili i ostrzeliwali nasze placówki. Kiedyś ostrzelali nasz konny patrol, zabijając tylko konia pod jeźdźcem, a kiedyś znów lekko ranili jednego chłopaka.

Tych dość częstych i nieproszonych gości, którzy zakłócali nam spokój i sen, mieliśmy z upowskiej bazy w Ośmigowiczach, leżącej około dwudziestu kilometrów od nas. Prócz niej, w niedalekim sąsiedztwie były jeszcze dwie upowskie bazy: w Oździutyczach i Kisielinie, z którymi trzeba było się jak najprędzej rozprawić. Wcześniej czy później do tego dojdzie, na razie jednak nasze oddziały były zajęte poważniejszymi sprawami – Niemcami.

Co kilka dni, niemalże regularnie, była jakaś operacja przeciwniemiecka lub przeciwukraińska.

Z tych też względów z naszego oddziału, choć nie całkiem jeszcze wydolnego, część stanu osobowego angażowano do operacji bojowych, a część, jak to się mawia, zostawała na gospodarstwie. Trzeba przecież ochraniać przed lipowskimi napadami nasz dom, nasz obóz. Upowcy chętnie powróciliby do swojej bazy w Rzewuszkach, ale na razie niechaj jeszcze poczekają. Ta część żołnierzy, która pozostawała w obozie, a nie miała służby wartowniczej lub patrolowej w wolnym czasie zajmowała się, czym mogła. Znaleźli się krawcy i szewcy. Reperowali buty i ubrania. Szyli ze starych wojskowych mundurów lub płaszczy czapki polówki, tak zwane konfederatki. Wycinali z blachy orzełki lub odlewali je z jakiegoś stopu. Wzajemnie odwiedzali się w pododdziałach, gdzie czas spędzano na pogawędkach. Różne to były rozmowy. Przeważnie takie typowo polskie, wojenne rozmowy, w których, przewijało się wszystko: śmierć, bohaterstwo, cierpienia, zawody i pretensje, niepewność, żal. Nie narzekali na swój los. Przeciwnie, śmiali się pełnym głosem. Grano w karty, warcaby, szachy i inne gry. Niektórzy chętnie składali wizyty naszym dziewczynom, a przecież było ich kilka, podkochiwali się troszeczkę, nieraz nawet z wzajemnością. Zresztą czemu się dziwić. Czy to ważne, że wojna, że partyzantka, że strzelają. Wojna wojną, a życie narzuca swoje prawa, rodzi miłość, rozstania, rozczarowania. A młodość, tak jak wojna, ma swoje prawa.

Poeta Lucjan Szenwald o młodości mówił tak: „Kiedy się ma dziewiętnaście lat – i nic poza tym – to jest się z wichurą za pan brat, a ząb – za ząb z śmiejącym światem”.

Kiedyś odwiedziłem Bolka Pytnera i Władka Skoneckiego, kolegów z łuckiego oddziału partyzanckiego Krwawa Łuna, stacjonującego wówczas we wsi Wołczak. Kilometr, może półtora, od Rzewuszek. Znałem ich wcześniej. A do oddziału także miałem sentyment z moich poprzednich kontaktów z jesieni 1943 roku. Parokrotnie kontaktowałem się z ówczesnym dowódcą Krwawej Łuny porucznikiem „Drzazgą” (Jan Rerutko) – wspaniałym człowiekiem, oficerem i dowódcą. Niestety zginął ze swoim sztabem, kiedy wracał do obozu z uroczystości rocznicy Rewolucji Październikowej w listopadzie 1943 roku, na którą był zaproszony do radzieckiego oddziału partyzanckiego, stacjonującego w rejonie Przebraża. Okoliczności śmierci dotąd są niewyjaśnione. Innym razem Bolek i Władek odwiedzili mnie w Rzewuszkach. Chłopcy z plutonu cekaemów „Byś” i „Dyś” (bracia Chorążeczewscy), „Batory” (Jan Urban), „Wołyniec” (Lipiński), strzelec „Jastrząb” (B. Ozierzyc), „Róg” (Cz. Krupiński), „Orzeł”,

„Oko” (Karpicki), podczas patrolowania okolicy gdzieś zdobyli patefon i kilka starych i zdartych jak cholera płyt. Były to same tanga: *Ramona*, *Ta ostatnia niedziela*, *Titina ach Titina*, *Skrwawione serce* i kilka innych. „Batory”, największy spec w obsłudze tego gruchota, w wolnych chwilach urządzał w plutonie koncerty rzewnych i romantycznych melodii, które bardziej przypominały rznącą piłę lub piłowanie pilnikiem niż dźwięki muzyki. Ale innej nie było. Zwabiała z innych plutonów wdzięcznych słuchaczy, którym „Batory” chętnie urządzał koncerty. Najbardziej wdzięcznym i najaktywniejszym słuchaczem owych koncertów był nasz gołąb, który trafił do nas okaleczony, prawdopodobnie przez jastrzębia. Nazwaliśmy go Sidor (imię ukraińskie). Przyjęliśmy go i wyleczyliśmy, a za to Sidor ogromnie się do nas przywiązał. Nie wiem tylko, kto i dlaczego go tym imieniem nazywał. Być może dlatego, że poprzednio jego panem był jakiś Ukraińiec. Jak tylko „Batory” zaczynał uruchamiać patefon, to Sidor już spoglądał, jakby podpatrywał, raz jednym okiem, przechylając główkę w jedną stronę, to drugim przechylając główkę w drugą stronę. Jakby nadstawiał ucha i nasłuchiwał. A jak już patefon zaczął odtwarzać te skrzeczące płyty, to gołąb zaraz stroszył pióra na szyi. Zaczynał tańczyć i gruchać gru...uuu, gru...uuu, obracając się raz w lewo, to znów w prawo, od czasu do czasu podnosząc jedną lub drugą nóżkę. Swoim tańcem sprawiał nam wiele uciechy. Polubiliśmy go bardzo, a on zapewne wyczuwał to instynktownie. Wcale od nas nie uciekał, chociaż lufcik w oknie był zawsze otwarty. Jeżeli nieraz wyleciał, to na krótko i zaraz wracał na swoją półkę. Istotnie, był to gołąb nadzwyczaj inteligentny. Niemalże rozumiał ludzką mowę. Był to samiec, okazalszej budowy od innych. Miał piękne lśniące szaro-niebieskie upierzenie. Od nasady szyi do bardzo zgrabnej główki miał coraz to ciemniejsze pióra, wpadające w czerń. Na końcu skrzydeł miał dwa czarne wąskie pasma biegnące z góry do dołu. Upierzenie ogona, jak i szyi, ku końcowi było zupełnie czarne. Sidor nie bał się nas. Jak go się zawołało, „Sidor, chodź”, wystawiając jednocześnie rękę, to zaraz przylatywał i siadał na niej. A na słowa „Sidor, tańcz” – wystarczyło zagwizdać lub zaśpiewać jakąś melodię – gołąb zaczynał, oczywiście po swojemu, tańczyć. I tak bawiliśmy się tym poczciwym gołębiem.

Sidor któregoś dnia z samego rana wyleciał przez lufcik i nie było go przez cały dzień. Do tej pory wylatywał na bardzo krótko i zaraz wracał. Myśleliśmy, że padł ofiarą jastrzębia. Wieczorem Sidor zjawił się, lecz nie

sam. Przeprowadził sobie współtowarzyszkę życia, która jednak nijak nie chciała wejść przez lufcik do naszej izby. Po ciężkich tarapatach i długich przekonywaniach, udało się namówić Sidorowi swoją partnerkę na wejście na półkę, na której mieszkał, a którą specjalnie dla niego zrobiliśmy. Gołębica była jednak bardziej dzika i nie tak inteligentna jak Sidor.

Pewnego dnia przed oknem naszej kwatery stał „Szynka”. Wydawał się jakiś zadumany i zapatrzoney gdzieś w dalekie pokryte białym śniegiem rozległe pola.

Okazało się, że zauważył lisa. Zwyczajnego rudego lisa, biegnącego drobniutkim truchcikiem w kierunku naszej zagrody, obok której był duży kurnik, a w nim sporo drobiu.

Nagłym ruchem podniósł rękę z otwartą dłonią z wyprostowanym trzecim palcem, a resztę zaciśniętą, przy czym palcem środkowym stuknął o kciuk, dobywając ciche klaśnięcie. Tak samo nagle zrobił szybki zwrot do tyłu. Złapał ze stojaka swojego mauzera kabeka i zaczął kląć: „Czekaj ty, skurczysynie, bandyto, złodzieju, zaraz ja ci pokażę kurki”. Szybkim ruchem otworzył okno. A lis jakby pozował do fotografii. Zatrzymał się na chwilę, stanął, rozejrzał się i ruszył wolniejszym jeszcze truchcikiem. Padł strzał. Lis podskoczył, wywinął salto i padł ugodzony śmiertelnie. Tak się skończyła lisia wycieczka do cudzego kurnika.

W plutonie cekaemów panowała zawsze atmosfera koleżeńskości, przyjaźni i solidarności. Było wesoło i rodzinnie. Zawdzięczać to należy całej, zgranej załodze, a przede wszystkim „Bostonowi”. Wesołość, humor i żart nie opuszczały nas. No i cóż z tego, że była wojna, że byliśmy w partyzantce niepewni dnia jutrzejszego. Rozłączeni z domami, rodzinami i bliskimi.

No i cóż, że ginęliśmy? Może dlatego mieliśmy w umartwieniu pobożnie czekać, co nam zgotuje los? Braliśmy życie takim, jakim w konkretnej chwili ono było. Chcieliśmy walczyć, a nie umartwiać się. Walczyliśmy i chcieliśmy zwyciężać. Taki był nasz cel, osiemnasto-, dwudziestoletnich chłopaków. Toteż w naszym plutonie panował zawsze dobry nastrój, tym bardziej że potrafiliśmy taki nastrój sami stworzyć.

Było w plutonie paru chłopców obdarzonych dobrymi głosami i zdolnościami śpiewaczymi, przede wszystkim „Szynka” i Heniek Szubert, którzy dawali swoje recitale. Heniek miał repertuar poważny i trzeba powiedzieć wykonywał go dobrze. „Szynka” natomiast najczęściej śpiewał stare szlagiery, frywolne piosenki, nawet sprośne, także melodie rzewne

i romantyczne. Z tego romantycznego repertuaru najbardziej do serca przypadła mi piosenka opiewająca piękno i czar Polesia.

Do tej pory nigdy Polesia, ani jego urzekającego czaru, nie widziałem. Romantyczne słowa piosenki i melodia jak przewodnik prowadziły mnie na Polesie, w romantyczne dzikie knieje, rozległe bagna i moczary. W poleskie mroczne noce, dnie i mgliste ranki.

Ta piosenka zrodziła u mnie wielką ochotę i pragnienie zobaczenia po wojnie tej urzekającej i czarującej krainy, jej piękna i tajemnic.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że niebawem będę na Polesiu, lecz w jakże różnych okolicznościach niż w moich marzeniach. Dane mi było podziwiać uroki i piękno Polesia, jego dzikie knieje i moczary. Widziałem je w czasie, gdy przyszło już ciepło, a wiosna wystrzeliła z ziemi soczystą zielenią i barwnym kwieciem. W czasie, kiedy wody rozlewisk zaczęły opadać, wsiąkać w torfowiska, pola i ługi. Rozmiękła ziemia ogrzewana wiosennym słońcem zieleniła się tysiącem bagien i rozlewisk upstrzonych milionami złocistych kaczeńców, żółtych i białych lilii wodnych, zielonymi bagiennymi trawami, łożami, odurzającym zapachem kwitnącej czeremchy i bezkresnym otaczającym puszczańskim lasem. Trawa pachniała świeżością, las żywicą i miodem. Czasami w górze przeleciał klucz żurawi, a w przybrzeżnych oczeretach i szuwarach buszowało dzikie ptactwo, skąd się niosło pienie, ćwierkanie i klekot milionów puszczańskich ptaków. Wieczorami dobiegało echo porykiwań jeleni i szczełających lisów przy głośnym koncercie rechoczących żab, którego nie potrafiły nawet zakłócić brodzące po rozlewiskach długonogie boćki. Poranne i wieczorne mgły i opary pachniały bagienną wodą, torfem, mułem i rybami.

Pełne były rzeczki, kanały, jeziora i rozlewiska sandaczy, leszczy, szczupaków, okoni, miętusów i piskorzy żyjących tu masowo w mulistych, płytkich wodach. Poranne zorze barwiły zielone kobierce łąk porośnięte trawami i przeróżnym kwieciem. Czasami wiatr miękko śpiewał w przybrzeżnych trzcinach i łożach, niosąc od wód lekki powiew chłodu, zapach młodego tataraku i sitowia. A w porannym słońcu osiadłe na fioletowych łożach krople rosy błyszcząły jak diamenty. Czasami przeogromne chmury dokuczliwie bzykających i kąsających komarów przesłaniały czar i uroki Polesia.

Widziałem też prosty, poleski lud, biedne tamtejsze siola, nieduże poletki, ńędzne żyta, owsy, gryki, prosa, drobne jak orzechy włoskie ziem-

niaki. Pejzaż Polesia – chatki, jak baśniowe, na kurzej nodze stojące samotnie na wysepkach wśród mokradeł, jednoizbowe, często jeszcze kurne.

W chatynkach były prycze do spania i duży piec ulepiony z gliny, służący do warzenia strawy, wypieku chleba, oświetlenia chałupy w długie jesienno-zimowe wieczory, palącym się w jego czeluściach łuczycem. Często domownicy także chętnie sypiali na piecu. W piecach tych suszyło się grzyby, jagody, wiązanki nawleczonych na patyki jak na rożeń ryb. Susz ten, w okresie zimy, stanowił główny artykuł żywnościowy i handlowy. Sprzedawali susz, a kupowali sól, trochę cukru jak na lekarstwo, zapalki i jakieś drobiazgi domowe. W dębowych beczkach (co podobno dodaje smaku i mocy) gromadzili brzozowy sok przyprawiony smorodyną, korą dębu i czymś tam jeszcze. Pili go dla ochłody w porze letniej, szczególnie podczas żniw. Ale nie tylko: często popijali nim ziemniaki gotowane w łupinach lub suchy chleb. Nie udało mi się zapamiętać nazwy uroczyska nad jeziorem Świtaż, gdzie poczęstowano mnie wspinałym, chłodnym, musującym jak szampan sokiem. Do dziś natomiast pamiętam ten doskonały, orzeźwiający, musujący aż w nosie kręciło, napój z brzozowego soku. Poleszycy byli na ogół samowystarczalni. Nosili zgrzebne ubranie, koszule, spodnie, siermięgi, na nogach łapcie plecione z łyka łoży, wierzby lub lipy. Nie skarżyli się, że jest im źle – mówili, że bywało głodno, brakowało mąki, kaszy, soli. Ale jednocześnie, z wręcz rozbijającą wyrozumiałością dla ich biedy, tłumaczyli, że nie tylko oni tak żyli.

NIEOCZEKIWANI GOŚCIE

Nasz postój w Rzewuszkach był urozmaicony. Zawsze coś się działo. Któregoś dnia zaalarmował konny łącznik z łuckiego oddziału Krwawa Łuna, stacjonującego w Wołczaku i Dominopolu, że do mostu w Dominopolu na rzece Turii podszedł węgierski oddział wojskowy liczący około stu piechurów i kilkanaście wozów taborowych i proszą, aby ich przepuścić bez walki przez kontrolowany przez nas rejon, do Turzyska, a więc przez Rzewuszki. Mieli rozkaz przepatrolowania, czy w terenie nie było partyzantów. Wprawdzie istniały między oddziałami polskimi a węgierskimi niepisane, samorzutnie ułożone stosunki „neutralności”, ale kto wie, co w trawie piszczy. Zresztą różnie bywało z tą neutralnością. Może podstęp, może prowokacja.

Dowództwo z Ossy wyraziło zgodę na przepuszczenie Węgrów przez nasz teren, lecz bez broni i pilotowane przez nasze oddziały.

W południe, akurat w porze obiadowej, czekaliśmy na przybycie Węgrów. Niektórym drużynom polecono dyskretnie zajęcie pozycji uniemożliwiających ewentualne zaskoczenie nas. Zbliżała się już węgierska kolumna. Wjechała do Rzewuszek. Na przedzie wóz taborowy powożony przez Węgra, załadowany bronią, eskortowany przez chłopców z Dominopola. Paręset metrów za wozem szli Węgrzy bez broni. Jedyne idący na przedzie dwaj oficerowie i szef kompanii mieli broń boczną, pistolety. Za kolumną węgierską znów szło kilkunastu uzbrojonych naszych chłopców. W Rzewuszkach zarządzono postój.

Oficerów i szefa kompanii porucznik „Słucki” zaprosił do siebie na kwaterę. Resztę żołnierzy rozproszono po chałupach, gdzie poczęstowano ich obiadem, gdyż była to pora obiadowa. Mieliśmy pod dostatkiem kielbas, boczku, słoniny. Tym ich także częstowaliśmy. Węgrzy z kolei zostawili nam zapasy swoich papierosów, tytoniu, a niektórzy częstowali nas rumem ze swoich manierek. Początkowo Węgrzy byli onieśmieleni,

ale naszą serdeczność powoli rozwiązała im języki. Niektórzy mówili po niemiecku, niektórzy po słowacku lub czesku i tak kalecząc mowę porozumiewaliśmy się z nimi. Mówili, że są z 55 Pułku Honwedów, że nie mają zamiaru bić się z Polakami i narzekali na podłą żołnierską dolę.

Po paru godzinach pożegnaliśmy „naszych” gości. Kolumna węgierska pomaszzerowała z zachowaniem takiego samego porządku, eskortowana przez nasz oddział do granic naszego partyzanckiego kraju.

Dzięki takim samorzutnie układającym się stosunkom neutralności, nasze oddziały także były przepuszczane przez tor kolejowy łączący Włodzimierz z Kowlem, a ochraniały przez Węgrów. Tor ten przecinał ugrupowanie naszej partyzanckiej dywizji. Węgierskie oddziały stacjonowały we wszystkich większych osiedlach wzdłuż tej linii, przepuszczając nasze patrole i oddziały. A wyglądało to tak, że po zbliżeniu się naszego oddziału do strzeżonego przez Węgrów toru kolejowego, w pewnej bezpiecznej odległości oddział zatrzymywał się. Jeden lub dwóch parlamentariuszy wysuwało się do przodu, a na podniesionym karabinie lub tyczce umieszczano polski proporczyk i machano nim w obie strony. Wówczas Węgrzy wychodzili z bunkra lub z bunkrów bez broni i czapek, co oznaczało pokojowe zamiary.

Po takiej ceremonii, oddział posuwał się w stronę toru z zachowaniem warunków bezpieczeństwa. Nieraz po przekroczeniu w ten sposób toru kolejowego i po oddaleniu się z kilometr, półtora Węgrzy demonstracyjnie wszczynali kilkuminutową strzelaninę. Jeśli się natomiast zdarzyło, że Niemcy dokonywali inspekcji węgierskich placówek, to już wcześniej dostawaliśmy nieszkodliwy ogień ostrzegawczy z odpowiedniej odległości.

WALKI O ROZSZERZENIE TERYTORIUM BAZY OPERACYJNEJ

Nasze partyzanckie oddziały zgrupowane między Bugiem od zachodu, rzeką Stochodem od wschodu, od północy linią kolejową Chełm – Bug – Kiwerca i od południa Bug – Włodzimierz Wołyński – Torczyn, nieprzerwanie toczyły walki z Niemcami i ukraińskimi nacjonalistami z UPA o powiększenie terytorium baz operacyjnych. W rejonie koncentracji naszych oddziałów zlikwidowano już wszystkie mniejsze upowskie bazy: w Świnarzynie, Słominie, Zadybach, Czerniejowie i inne. Pozostały jeszcze upowskie gniazda w Kisilinie, Ośmigowiczach, Oździutyczach. Były one uparcie bronione przez Ukraińców, a dozbrajane i wspomagane przez Niemców.

Istnienie ukraińskich baz Niemcy bardzo doceniali, bowiem były one ich sojusznikiem w zwalczaniu cywilnej polskiej ludności oraz radzieckiego i polskiego ruchu partyzanckiego na Wołyniu. Nam utrudniały przeciwniemieckie działania na magistrale drogowej, szosy: Kowel – Włodzimierz Wołyński, Włodzimierz – Łuck i linie kolejowe: Kowel – Kiwerca, Kowel – Włodziraierz Wołyński.

Szczególnie te ukraińskie bazy przydawały się Niemcom w obliczu zbliżającego się frontu, którego wojska od zimowej ofensywy wojsk radzieckich z końca 1943 roku i przekroczenia Dniepru wbiły się ogromnym klinem i w szybkim tempie wdzierały się coraz bardziej na zachód. Już 4 stycznia 1944 roku Armia Radziecka przekroczyła dawną polsko-radziecką granicę w rejonie Olewsk – Rokitno. W kilka dni później zajęła Sarny, a 2 lutego Łuck.

Zatem front znalazł się w odległości niewiele ponad sto kilometrów od rejonu naszego przeciwniemieckiego i przeciwupowskiego działania.

Nasze partyzanckie oddziały zgrupowane w rejonie koncentracji bezpośrednio zagrażały niemieckim garnizonom we Włodzimierzu Wo-

łyńskim i Kowlu, jak również na szosie Włodzimierz – Uściług – Hrubieszów. Toteż Niemcy zaniepokojeni tym stanem rzeczy ponawiali akcję za akcją przeciw naszym oddziałom, wysyłając dobrze uzbrojone bataliony niemieckiej i ukraińskiej policji, żandarmerii, a także bataliony piechoty Wehrmachtu lub sojusznicze węgierskie wojsko wspierane czołgami. Nie udawało im się jednak nas zaskoczyć.

Niemcy wiedzieli o istnieniu polskiej partyzantki w tym rejonie, ale również, że mamy pełne ręce roboty z Ukraińcami. Teraz, po wielu stoczonych z nami walkach, zaczęli zdawać sobie sprawę, że dopuścili do zgrupowania sił, które niełatwo dadzą się rozgromić i wyprzeć.

Oto epizod zwycięskiej i nie ostatniej podczas wojny szarży ułańskiej, który zasługuje na wspomnienie.

Niemcy wprowadzili do walki dwa bataliony piechoty, wsparte kilkoma czołgami. Doszło do walki pod Wirowem. Równocześnie z miejscowości Piatydyńie rozpoczęło się natarcie pomocnicze węgierskiego batalionu piechoty, mające na celu oskrzydlenie naszych oddziałów. Dowódca zgrupowania polskiej partyzantki kapitan „Garda” (Jan Rzaniak) podciągnął dla wsparcia oddział podporucznika „Lecha” i oddział porucznika „Bogorii” (Sylwester Brokowski), a będącemu w jego dyspozycji szwadronowi 19 Pułku Ułanów AK pod dowództwem podporucznika „Jarosława” (Longin Dąbak-Dębicki), dał rozkaz uderzenia na głębokie skrzydło nieprzyjaciela po spieszeniu na podstawie wyjściowej. Podporucznik „Jarosław” zdecydował się jednak na szarżę, mając przy sobie doświadczonych starych ułanów chorążego „Samsona”, starszego wachmistrza „Rysia” (Dominik Demczuk). Błyskawiczne natarcie zaskoczyło nieprzyjaciela, powodując popłoch oraz ucieczką jego piechoty. W takiej sytuacji czołgi utraciły łączność z piechotą i zaczęły się wycofywać.

A więc manewr ani Niemcom, ani Węgrom się nie udał. Po tej walce wśród kawalerzystów zapanowała ogromna radość. Z dumą opowiadali, jak błyskawicznym natarciem zaskoczyli Niemców, rozbili, a później ścigali ich w lesie. Ułani ponieśli straty w liczbie czterech rannych, w tym ich dowódca podporucznik „Jarosław”.

Rozpoczęte przez dywizję w styczniu i lutym walki z Niemcami coraz bardziej się nasilały i już ich nie zaprzestano.

Równolegle z toczonymi przez zgrupowanie partyzanckie Osnowa pod dowództwem kapitana „Gardy” walkami z Niemcami, zgrupowanie Gromada, pod dowództwem majora „Kowala” (Jan Szatowski), oraz od-

działy dyspozycyjne walczyły o poszerzenie bazy operacyjnej i oczyszczenie terenu z oddziałów upowskich. Szczególnie niepokoiły nas wspomniane już upowskie ośrodki oporu w Ośmigowiczach, Oździutyczach i Kisielinie.

Dowódca dywizji zdecydował się uderzyć na te bazy oddziałami partyzanckimi „Jastrzębia”, „Siwego”, „Bomby” i Krwawej Łuny, wchodzącymi w skład zgrupowania dyspozycyjnego, oraz oddziałem „Trzaska” stacjonującym w sąsiedztwie Ośmigowicz, w Świniarzynie.

W pierwszej kolejności miał nastąpić wypad na bazę UPA w Ośmigowiczach.

UDERZENIE NA OŚMIGOWICZE

Od samego rana 16 lutego rozpoczęły się przygotowania w oddziale, jak też w plutonie ciężkich karabinów maszynowych. Dzień był ładny, pogodny, lecz mroźny, ale to nie stanowiło przeszkody.

Czyszczono i sprawdzano cekaemy i broń osobistą, także amunicję, gdyż nieraz nieduża nawet rdza na łusce amunicji może spowodować w najbardziej nieoczekiwanej chwili zacięcie się cekaemu. Tego woleliśmy uniknąć. Sprawdzano i uzupełniano taśmy amunicyjne. Woźnice przygotowywali sanie do przewiezienia sprzętu bojowego, amunicji i żołnierzy. Wrzucili trochę siana i słomy w drabiny sań, aby zbyt szybko nie marzły żołnierzom nogi na dwudziestoparostopniowym mrozie, zanim dotrą do pozycji wyjściowej. Kucharze krzątali się przy swoich garach i patelniach.

Każdy był zajęty swoimi sprawami i wiedział, co ma robić, nie uważało się specjalnego podniecenia i zdenerwowania. Wydawałoby się, że takie przygotowania przed dużą akcją bojową nie najlepiej nastrajają.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że niektórzy z nas, tryskający zdrowiem i humorem, mogli już nie wrócić z żywymi. Ale to nie psuło nam humoru ani dobrego nastroju. Przywykliśmy do śmierci jak do tegorocznych mrozów.

Chłopcy dowcipkowali, któryś żartował, któryś pogwizdywał lub nucił swoją ulubioną melodię. To znów słyhać było strofę jakiejś frywolnej piosenki. Inni znów zaciągali się dymkiem z grubachnego, z samosiejki skręconego w starej gazecie papierosa.

Największymi żartownisiami w plutonie byli „Szynka” i Danek Zieliński. „Szynka” czyszcząc swego mausera poklepywał go po lufie lub kolbie, przemawiając do niego: „Tak cię czyszczę, tak cię pielęgnuję, tak dbam o ciebie, że twoja rodzona matka tak o ciebie by nie dbała... Ale jak ty mnie skurczybyku zawiedziesz, to roztrzaskam cię na bulbowskim łbie”. Ukraińskich nacjonalistów nazywano również bulbowcami. Całą litaniją epitetów napędzał swojemu kabekowi stracha.

Jednym słowem, chłopcy z plutonu cekaemów przed tą, jak i innymi „bobioszkami”, byli zawsze w dobrym nastroju. Dobry nastrój polepszyła jeszcze wcześniejsza i smaczniejsza niż zwykle kolacja. Zaraz po jej zjedzeniu, pododdziały podążyły na plac alarmowy, miejsce zbiórki. Prawie cały oddział, z wyjątkiem chorych i służby wartowniczej, wyruszał na wyprawę.

Z nastaniem zmroku wyjechało z Rzewuszek dwadzieścia parę sań, po pięciu, sześciu żołnierzy na każdym, aby przed świtem znaleźć się na pozycjach wyjściowych do natarcia na upowską bazę w Ośmigowiczach, leżącą od nas na wschód w odległości około dwudziestu kilometrów.

Upowcy z tej bazy często napadali na nasze oddziały. Często też podchodzili pod Rzewuszki, nękając nas ogniem z broni ręcznej i maszynowej.

Maszerowaliśmy nocą. Noc pogodna, spokojna, gwiazdzista. Mróz szczypał w policzki. Sanki sunęły po skrzypiącym śniegu. Coraz bardziej zagłębialiśmy się w las. W mroku nocy dziwacznie majaczyły konary drzew grubo przysypane śniegiem. Od czasu do czasu parsknął któryś koń lub zerwał się spłoszony, śpiący na drzewie ptak, odlatując w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca. Siedzieliśmy w drabiniastych sankach po uszy w sianie lub słomie. Niektórzy drzemali, przywykły do chłodu i mrozu. Niektórzy dla rozgrzewki wyskakiwali z sań, biegli trucheikiem, trzymając się drabiny lub kłonicy, a nogi po kolana zapadały się w suchy i zmrożony śnieg. Jeszcze inni, z zachowaniem ostrożności i przyzwyczajenia, chowali w rękawach tłącego się papierosa i szeptem o czymś rozmawiali.

Przebywając już kilka godzin na mrozie, zacząłem odczuwać dotkliwy ból kolana. Kilka dni temu dostałem zapalenia stawu kolanowego, co objawiło się piekielnym bólem. Przy najmniejszym zgięciu kolana, wydawało mi się, że ktoś nasypał tam piasku i jakby ten piasek dostawał się w najmniejsze szczeliny stawu i tarł jak ściernym papierem. Leków na tego rodzaju schorzenia, niestety, nie mieliśmy, ktoś doradził, aby na blaszę prażyć piasek, następnie wsypując go do małego woreczka przykładając taki rozżarzony do kolana. Trochę pomogło, więc wybrałem się na wyprawę. Niedobrze, mówię do chłopaków, zdaje się, że z pozycji wyjściowej będziecie nieśli nie tylko cekaemy, ale i mnie.

Wlekliśmy się krok za krokiem przez całą noc. Nad ranem osiągnęliśmy pozycje wyjściowe do natarcia. Znaleźliśmy się na lizjerze lasu. Przed nami nieduże wzniesienie terenu pokryte nieskazitelnie białym ca-

łunem. Na szczycie tego wzniesienia stał wiatrak. Poza tym, jak okiem sięgnąć ani jednego drzewa, ani jednego krzaka. Na lewo na linii horyzontu widniał cmentarz i parę odosobnionych zagród. A na prawo, półłukiem zamykał linię horyzontu las, krzaki i kilkanaście stogów siana na niżej położonych łąkach. Wieś leżała za wzgórzem, może półtora kilometra w linii prostej. Część wojska, idąc gęsiego, posuwała się w wyznaczonym kierunku, formując lewe skrzydło, zachodząc wieś od północnego zachodu. Z nimi poszedł „Boston” z częścią swego pododdziału. Druga część plutonów strzeleckich, a z nimi ja z resztą chłopaków z pododdziałem ceckaemów, szliśmy jak tamci gęsiego, aż do widniejących na horyzoncie stogów, gdzie wzniesienie schodziło w dół ku łąkom. Stamtąd mieliśmy rozwinąć tyralierę i nacierać na wieś od strony zachodnio-północnej. Nasze tabory, paru konnych łączników i punkt sanitarny zostały na razie na skraju niedużego lasu.

Brnęliśmy na przełaj po pas w śniegu. Moje kolano coraz dotkliwiej dawało znać o sobie. Z bólu zaciskałem zęby i brnąłem w tym głębokim śniegu. Byłem spocony i cały mokry, jak przysłowiowa mysz. Szliśmy jeszcze gęsiego z boczem niedużego wzniesienia, gdy usłyszeliśmy komendę: formować tyralierę. Prawe skrzydło rozwijało się w tyralierę i weszło na ośnieżone, lekko wznoszące się pole. Przed nami wspomniany wiatrak, podobno za nim wieś, która miała być celem natarcia. Gdzieś przed nami słychać ostrą strzelaninę. Tam zapewne walczą oddziały „Jastrzębia” i „Siwego”. Nagle na naszym lewym skrzydle także rozgorzała walka. Chyba nasi zostali zaskoczeni. Jeszcze tyraliera prawego skrzydła posuwa się do przodu coraz bardziej zaginając skrzydło w lewo. Byłem może około dwustu metrów przed wiatrakiem, gdy nagle dosięgnął nas ogień z broni maszynowej właśnie z wiatraka. Padliśmy na chwilę na śnieg. Zatrąkotały i zadudniły serie naszych karabinów maszynowych. Ostrzeliwaliśmy przede wszystkim stanowiska ogniowe w wiatraku. Mieliśmy już jednego rannego, dostał w nogę. Jak spod ziemi zjawiała się „Lodzka” i natychmiast zabrała go na tyły.

Ogień nieprzyjacielski wzmógł się, ale i nasz nie słabł. Dobrze, że wiatrak nie był murowany, a z tego drewnianego pudła wcześniej czy później upowców wykurzymy.

Ostra wymiana ognia przedłużała się. Tyraliera nasza podrywała się i znów padała w śnieg. Padł następny ciężko ranny żołnierz, dostał w brzuch serię kul dum-dum. Miał strasznie poszarpany brzuch, wnetrżno-

ści mu wychodziły. Jęczał i wzywał pomocy lub wołał „dobijcie manie”, „nie zostawiajcie mnie tutaj”. Zobaczyliśmy czołgające się dwie sylwetki – to Mela i Jadzia – nasze sanitariuszki. Czołgały się do ranego, nie było mowy nawet o podniesieniu głowy, tak celnie strzelali do nas upowcy z wiatraka. Mieli nas jak na dłoni, w dodatku stanowiliśmy świetny cel na tle białego śniegu. Mimo to wciąż, aczkolwiek w żółwym tempie, nacieraaliśmy. Żołnierze pojedynczo podrywali się i skok do przodu i ostrzeliwują, to znów czołgają się i znów skok.

My z cekaemami mieliśmy wyjątkowo dużo roboty, ostrzeliwaliśmy to piekielne pudło i wspieraliśmy nacierających. Ciekawe, jak długo jeszcze będą tam siedzieć, przecież zrobiliśmy z niego sito.

Nela i Jadzia były już przy ranym. Nie miały noszy, zresztą w takim ostrzale nic po noszach, przewróciły ranego na plecy na rozpostartą plandekę i powolutku, czołgając się, ciągnęły płachtę.

Ogień z wiatraka wyraźnie zaczął słabnąć, wreszcie zamilkł. Byliśmy już na wzgórzu i widzieliśmy, jak upowcy w panice wycofywali się z wiatraka. Było ich może z piętnastu. W popłochu wpadli na nasz pluton, który wysunął się do przodu, odcinając im drogę. Dostali się w dwa ognie. Zmiotliśmy ich co najmniej połowę, reszta – szukając ratunku – rozpiezchła się na wszystkie strony, między innymi wpadając na naszych strzelców, którzy z kabeków lub peemów strzelali do nich jak do kaczek. Z pewnością niewielu ich uszło z życiem.

Na lewym skrzydle wciąż gdzieś w głębi wrzała zjadła walka. Można się było zorientować, że tam natarcie utknęło w miejscu. Słychać wybuchy granatników, jazgot i dudnienie broni maszynowej.

Nasz najdalej wysunięty pluton dostał się także pod ogień i wycofywał się powoli, gdyż zauważono gęsto ustawione nieprzyjacielskie stanowiska ogniowe, a za nimi jeszcze jedną linię stanowisk broniących wieś.

Dobrze, że nasi nie dali się zaskoczyć i nie wpadli w tę pułapkę. Gonic przybiegł z rozkazem, abyśmy powoli pod osłoną ognia odchodzili w kierunku cmentarza i chutorów, gdzie toczyła się walka na naszym lewym skrzydle. Usłyszałem wyraźnie nasz szybkostrzelny lotniczy kaem. Kaem ujadał z zagrody leżącej na zboczu wzgórza. Stała tu mizerna chałupina i jeszcze mizerniejszy chlew czy stodoła, w obejściu parę karłowatych owocowych drzew. Zobaczyłem „Bostona”. Oparł kaem na rosochatej karłowatej wiśni i z pozycji stojącej prowadzi ogień. Dopadliśmy do tej zagrody, zajęliśmy stanowisko i włączyliśmy się dodatkowo z maksimem,

który zadudnił charakterystycznie, wyrzucając całe roje bzykających śmiercionośnych kul.

Nagle zobaczyłem jak wokół „Bostona” od upowskich kul pryskał śnieg. Z gwizdem i sykiem kule świdrowały powietrze, z przeraźliwym miauczeniem odbijały się rykoszetem. Wymacali „Bostona”. Krzyknąłem: Zygmun, padnij do cholery, bo cię zabiją!... Może bym jeszcze coś krzyzczał, ale zobaczyłem padającego, jakby ściętego z nóg „Bostona”. Znów krzyknąłem: „Chłopcy! «Boston» zabity!” i odruchowo poczołgałem się do niego. Zobaczyłem, że „Boston” leżąc w śniegu, ustawił kaem, wycełował i wystrzelił. Zapytałem go, czy nic mu się nie stało. Czy nie jest ranny? „Nie” – odpowiedział. – „Wszystko w porządku”. I, jak gdyby nigdy nic, ze stoickim spokojem strzelał dalej.

Widać było, że kontratakująca upowska tyraliera zaczynała się wycofywać na boki. Ale i my również otrzymaliśmy rozkaz wycofania się do lasu, skąd przyszliśmy.

Dotarliśmy do naszych taborów. Ułożyliśmy rannych na sanie. W naszym oddziale było ich trzech, dwóch ciężko rannych. Jeden miał postrzał brzucha, drugi był ranny w głowę i niedługo umarł. Żołnierze usadowili się na pozostałych sankach i ruszyliśmy do naszej bazy.

Dowiedzieliśmy się, iż z powodu zbliżającego się frontu upowcy dużo swoich oddziałów przerzucili bardziej na południe. W Ośmigowiczach zaś pozostawiono duże zgrupowanie tzw. bulbowców, na które natknęliśmy się, dysponujące dużymi siłami. Wprawdzie zepchnęliśmy ich, ale pełnego sukcesu nie odnieśliśmy, tym bardziej że ponieśliśmy duże straty. W naszych oddziałach biorących udział w natarciu zginęło kilku żołnierzy i kilku zostało rannych. W oddziale „Jastrzębia” – pięciu zabitych, ośmiu rannych, w oddziale „Siwego” – trzech zabitych, dwóch rannych, w oddziale „Bomby” – trzech rannych, jeden zmarł od ran.

Wszystkich ciężko rannych ewakuowano do szpitala w Kupiczowie. Poległych odwieziono na cmentarz w Zasmykach i pochowano z wojskowymi honorami.

Po tej ciężkiej wyprawie stała się dziwna rzecz z moim zapaleniem stanu kolanowego. Kolano przestało boleć i już nigdy więcej się nie odezwało.

Gdy pod Ośmigowiczami toczyła się walka, polnymi drogami i leśnymi duktami, samotnym rajdem zdążył aż spod Ostroga do Ossy oddział partyzancki porucznika „Gzysa” (Franciszek Pukacki) – zawodo-

wego oficera. Po klęsce wrześniowej znalazł się na Węgrzech, później przez Jugosławię i Francję dostał się do Anglii. W Szkocji otrzymał wyszkolenie dywersyjne, a w marcu 1942 roku został przerzucony do okupowanej Polski. Zrzucono go z samolotu w okolicy Wyszkowa. Władze konspiracyjne zleciły mu zadanie dywersyjne w Wachlarzu. W połowie 1943 roku organizował oddział partyzancki w dalekiej Sławucie, leżącej na skraju Kresów Wschodnich przedwrześniowej Polski. Przybyły do Ossy oddział „Gzymśa” powitano serdecznie i gościnnie. Zakwaterowani zostali w opuszczonej prawosławnej plebanii tuż obok cerkwi, w sąsiedztwie sztabu dywizji.

Niebawem dowiedziałem się, że ze skoncentrowanych partyzanckich oddziałów zgrupowanych w rejonie Kowla powstała partyzancka dywizja, która zgodnie z przedwojenną wołyńską tradycją otrzymała nazwę 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej (dalej: 27 Dywizja lub 27 WDP AK). Jej dowódcą został niedawno przybyły z Warszawy major dyplomowany „Oliwa” (Jan Wojciech Kiwerski). Mielśmy też być sformowani w pułki, również o przedwojennej numeracji stacjonujących na Wołyniu pułków. Oddziały „Sokoła”, „Jastrzębia” i „Korda” miały stanowić bataliony 50 Pułku Piechoty pod dowództwem majora „Kowala”. Oddziały „Bomby” i „Gzymśa” – to batalion 45 Pułku Piechoty pod dowództwem majora „Pogroma”. Oddziały „Trzaska”, „Siwego”, „Bogorii” – to batalion 23 Pułku Piechoty z dowódcą kapitanem „Gardą”. Oddział Krwawa Łuna – to batalion 24 Pułku Piechoty. Chodziło o podkreślenie ciągłości armii przedwrześniowej i jej obecności na kresowych ziemiach. Tak zaczęła się realizacja planu „Burza” na Wołyniu. Rozwój wydarzeń nie spełnił nadziei Komendy Głównej Armii Krajowej, pozwolił natomiast polskim partyzantom na Wołyniu wnieść istotny wkład w walkę z faszyzmem i nacjonalistycznymi bandami UPA we współdziałaniu z radziecką partyzantką, następnie zaś z regularnymi oddziałami Armii Radzieckiej.

Siły 27 Dywizji składały się z dziewięciu batalionów piechoty, dwóch szwadronów kawalerii, kompanii łączności i szpitala polowego. W batalionach było od dwustu osiemdziesięciu do sześciuset bagnetów. Kadra oficerska liczyła ponad stu ludzi. Oficerowie pełniący funkcje dowódcze wyższego szczebla byli oficerami zawodowymi o dużym stażu konspiracyjnym, pozostali to przeważnie podporucznicy i porucznicy rezerwy i paru awansowanych podoficerów. Kadre podoficerską stanowili podoficerowie zawodowi i rezerwy oraz awansowani młodzi partyzanci.

Dywizja uzbrojona była w broń pozostałą z walk wrześniowych, w broń sowiecką pozostałą z wojny sowiecko-niemieckiej z 1941 roku, zdobytą na Niemcach, ich sojusznikach Węgrach i innych. Także w broń zdobytą na Ukraińcach oraz niewiele ze zrzutów. Była to przede wszystkim broń strzelecka: kabeki, erkaemy, cekaemy, maszynowe pistolety, pistolety, granaty, rusznice przeciwpancerne, moździerz i granatniki. W dywizji było także parę przeciwpancernych działek.

Umundurowanie dywizji było bardzo niejednolite. Powszechna była czapka rogatywka – konfederatka lub furażerka z orzełkiem. Większość miała mundury polskie i przerobione niemieckie, ubrania cywilne lub mundur i cywilne spodnie i na odwrót, spodnie wojskowe i cywilna marynarka, poza tym cyklistówki, maciejówki, hełmy niemieckie i radzieckie.

W parę dni po przybyciu oddziału „Gzysa” do Ossy, dowódca dywizji „Oliwa” powołał go na dowódcę I Batalionu 45 Pułku Piechoty. Jedną kompanię strzelecką stanowił jego oddział, dwie pozostałe strzelecki oddział „Bomby”, stacjonujący w Rzewuszkach. Poza tym, w skład batalionu weszły: pluton cekaemów, dwa działony działek przeciwpancernych oraz pluton granatników, także z oddziału „Bomby”. Zaraz też pojawił się w Rzewuszkach „Gzys”, aby zobaczyć i przejąć swoje nowe wojsko. Zarządzono zbiórkę oddziału, gdzie przedstawiono go jako dowódcę naszego batalionu. Potem ze „Słuckim” i szefem oddziału „Oporem” obchodzili wszystkie kwatery, w których stacjonowało wojsko.

UDERZENIE NA OŹDZIUTCZE

Zbliżał się koniec lutego. Siarczyste mrozy trzymały w dalszym ciągu. Upowcy coraz rzadziej niepokoiili nas w nocy. Nasze bojowe operacje przeciwko nim oraz zbliżanie się frontu ostudziło trochę ich gorące temperamenty.

W ramach prowadzonych operacji bojowych przeciwko upowcom o poszerzenie bazy operacyjnej i oczyszczenia przed frontem terenu z upowskich oddziałów, dowództwo dywizji podjęło decyzję uderzenia na następną silną upowską bazę w Oździutyczach.

W tym roku luty liczył dwadzieścia dziewięć dni. Tak się ułożyło, że po raz drugi w czasie tej wojny luty był o dzień dłuższy, a więc jakby o te dwa dni przedłużała się wojna. Pozornie nie ma to żadnego znaczenia, ale ilu zginie ludzi w ciągu tych dodatkowych dni.

Właśnie na 29 lutego wyznaczono uderzenie na Oździutcze. Mieliśmy uderzyć trzema batalionami: „Olgierda”, „Gzymśa” i „Trzaska”, rozbić upowską bazę, a potem przerzucić oddział przez wrogi teren do Zaturca, aby wzmocnić istniejącą tam samoobronę Polaków. Bataliony „Gzymśa” i „Olgierda” miały uderzyć od czoła, a batalion „Trzaska” wesprzeć natarcie na skrzydła.

Znów, jak kilka dni temu, krzątania i przygotowywanie się pododdziałów do uderzenia. Znów w plutonie czyszczenie, sprawdzanie, oliwienie cekaemów, bo przecież mają być niezawodne. Dobrze, że mróz zelżał i jest nieduże ocieplenie.

Wsiedliśmy do wymoszczonych sianem i słomą sań i przed zmierzchem wyruszyliśmy z Rzewuszek, przez Wołczak do Dominpola, gdzie oczekiwał nas batalion „Olgierda”.

Batalion „Trzaska” poszedł innymi drogami. Miał obejść Oździutcze z innej strony, aby uderzyć ze skrzydła w ustalonym czasie jednocześnie z nami.

Przed świtem wyszliśmy z lasu. Tuż za lasem rozpościerała się duża ukraińska wioska Leżachów. Z jednej z pierwszych chałup ostrzelano nas. Od razu pogalopowało tam kilku jeźdźców. Z daleka zobaczyli umykających upowców. Puścili za nimi parę serii z erkaemu i wrócili do kolumny. Niebawem dotarliśmy do niedużego lasu i znaleźliśmy się na pozycjach wyjściowych do natarcia. Dowódcy coraz to spoglądali na zegarki. Naraz padł głuchy strzał i rakieta wzbija się w górę, zataczając łuk, i jaskrawym światłem oświetlając przedpole. Za chwilę rozprysła się jak mydlana bańka i gdzieś znikła. To znak do natarcia. Padały komendy. Rozwinęliśmy się szerokim łukiem i natarliśmy. Ale ledwie ruszyliśmy, zagrały upowskie karabiny maszynowe. Widocznie upowcy wcześniej nas rozpoznali i wysunęli się na przedpole, nie dając się zaskoczyć. Nasza tyraliera zaległa. Zagrały karabiny, którym wtórowała broń ręczna i granatniki. Słychać było wybuchy min naszych lekkich moździerzy – granatników. Wymiana ognia przedłużała się w nieskończoność. Nacierał sąsiad z lewej – batalion „Olgierda”. Plutony z batalionu „Gzymśa” także poderwały się do natarcia. Wspierał nas pluton cekaemów. Słyszałem charakterystyczne odgłosy serii szybkostrzelnego kaemu lotniczego, a po sposobie prowadzenia ognia poznałem, że strzelał „Boston”. Pomyślałem, jeżeli wyręczał któregoś z chłopaków, to na tym odcinku nie jest wesoło.

Obserwowałem przez lornetkę i szukałem „bulbowski” gniazd cekaemów i erkaemów, aby je zlokalizować, a potem zasłać ogniem broni maszynowej, a może i granatników. Nietrudno było je znaleźć. Łuniacy parli do przodu jak huragan, chociaż padali już ranni i zabici. „Bulbowcy” zmieniali stanowiska i cofali się. Celownicemu „Batoremu” podałem kierunek wspierania i celownik, szczególnie trzeba pomóc plutonom Krwawej Łuny, które dopadły już zasieków i przedzierały się przez nie. Na całej linii natarcie. Wyraźnie spychaliśmy nieprzyjaciela do wsi.

I oto przed nami oderwały się od śniegu dwie postacie z kaemem i uciekały w kierunku swoich. Upowcom albo zabrakło amunicji, albo nie wytrzymali nerwowo. Nie sądzone im było uciec. Celna seria cekaemu położyła ich na miejscu.

Nasz huraganowy ogień był celny i skuteczny, upowski nieco zmalął. Pluton strzelecki z baonu „Olgierda” przedarł się przez zasieki, dopadł do stojących na skraju wsi zagród i podpalił je. Buchnęły w górę płomienie i kłęby dymu. Ale znów ze zdwojoną siłą zatrajkotały i zadudniły upowskie karabiny maszynowe. Upowska baza zaciekle się broniła. Murowany, pię-

trowy młyn, stojący pośrodku wsi stał się centralnym punktem oporu. Ich broń maszynowa, szczególnie cekaemy ustawione na piętrach młyna, trafiły celnie. Jaka szkoda, że nie mieliśmy ciężkich moździerzy lub jednej osiemdziesiątki piątki, wtedy szybko byśmy ich wykurzyli z tego gniazda os. Nasze granatniki niewiele przydają się na upowskie umocnienia.

Ogień „bulbowskiej” obrony nie załamał naszego natarcia. Wciąż posuwaliśmy się do przodu, lecz nie tak brawurowo. Wśród jazgotu i dudnienia broni ręcznej i maszynowej, wybuchu granatników mieszały się odgłosy rozkazów, nawoływania i jęki rannych.

Wtem usłyszeliśmy warkot samolotów, zrazu w oddali, ale szybko przybliżający się. Czyżby niemiecka pomoc dla Ukraińców? Nagle jakby spod ziemi wyskoczyły i leciały, przeraźliwie wyjąc, jakby świat się walił, trzy niemieckie stukasy i zaatakowały. Ostrzeliwały z broni pokładowej i zrzucały bomby na nacierających.

Rozległy się ogłuszające wybuchy, posypały się grudy zmarzniętej ziemi ze śniegiem, zagwizdały odłamki. Zdaje się, że i upowcom od tej „pomocy” trochę się dostanie. Chwila przerwy. Samoloty nazwane przez nas sztukasami zatoczyły wielki łuk i znów strzelały długimi seriami z lotniczych kaemów, znów wybuchały bomby. Wreszcie, jak nagle się pojawiły, tak nagle wzbiły się w górę, szybując w kierunku, z którego nadleciały i zniknęły na horyzoncie. Czy na długo?

Ukraińcy, widać zachęceni pomocą, ostrzelali na nas bardziej zmasowanym i zorganizowanym ogniem, ale do kontrnatarcia nie doszło.

Dowodzący akcją major „Pogrom” słusznie w tej sytuacji rozkazał przerwać natarcie, w obawie przed następnymi nalotami niemieckiego lotnictwa. Skąd mogliśmy wiedzieć, czy za chwilę nie nadlecą następne eskadry stukasów?

Plutony i kompanie wycofały się pod osłoną ognia. Pluton, który wdarł się do wsi, poniósł duże straty. Koledzy chcieli wynieść z pola walce poległego podczas natarcia żołnierza. Parokrotnie próbowali do niego dotrzeć, lecz upowcy nie pozwolili, zawzięcie ostrzeliwując każdego, kto próbował się do niego zbliżyć. Straty poniesione przez nas były duże: dwudziestu sześciu rannych i czterech zabitych.

Za próbę rozbicia lipowskiej bazy w Oździutyczach, Niemcy wyciągnęły dalsze konsekwencje. Następnego dnia o świcie niemieckie lotnictwo zbombardowało samoobronę i naszą dywizyjną, kwatermistrzowską bazę oraz szpital w Kupiczowie, powodując straty w wojsku i wśród ludności cywilnej.

PIERWSZE ODZNACZENIA

Nadszedł marzec, pierwszy miesiąc wiosny, której z niecierpliwością oczekiwaliśmy. A my jeszcze byliśmy w Rzewuszkach, chociaż mówiło się, że powinniśmy niebawem zmienić dotychczasowe miejsce postoju. Zima dała nam się we znaki. Była sroga, mroźna i śnieżna. Pierwsze dni marca nie były ani ciepłe, ani znów tak bardzo wiosenne. Co prawda duże mrozy ustąpiły. Z dnia na dzień było coraz cieplej. Śnieg, choć bardzo powoli, topniał. Dni coraz dłuższe, słońce coraz wyżej, dłużej i intensywniej przygrzewało. Zaczynało być raźniej i weselej na duszy. Gołąb Sidor ze swoją „żoną” także to czuli. Coraz dłużej spacerowali, a Sidor swojej współtowarzyszce życia okazywał więcej troskliwości i wyrozumiałości. Był bardziej opiekuńczy i zalotny.

Wraz z nadchodzącą wiosną coraz bardziej przybliżał się front. A więc to, o czym do tej pory tylko się mówiło, wkrótce stanie się rzeczywistością – będziemy musieli przed frontem przesunąć się na zachód, podobno za rzekę Turię w kierunku zachodnim, w rejon między Włodzimierzem Wołyńskim a Lubomlem. Tymczasem w Rzewuszkach dobrze nam się powodziło.

W niedzielę 5 marca będzie u nas w Rzewuszkach, jakby to powiedzieć, garnizonowa uroczystość. Będą wręczane przez dowódcę dywizji niektórym żołnierzom z oddziału „Bomby” odznaczenia wojskowe; pierwsze odznaczenia w naszej partyzanckiej dywizji. Z tej też okazji ma być odprawiona msza polowa.

Od rana, 4 marca, przygotowywaliśmy w jednej ze stodół ołtarz polowy, przy którym ksiądz kapelan będzie celebrował mszę świętą. Potrzeba dwóch ministrantów. Jednym z nich pewnie będzie Kazik Burzyński z plutonu cekaemów, podobno kiedyś w Hucie Stepańskiej służył do mszy, drugim ja. Miałem tremę. Dawno już nie służyłem do mszy, ale pocieszali mnie chłopcy, Kazik, a sam także pomyślałem, że przecież jakoś to będzie.

Na tej uroczystości miał być dowódca dywizji i inni oficerowie sztabu dywizji. Już dwa dni wcześniej szef oddziału „Opór” zlecił „Bostonowi”, aby kazał przygotować najlepszy parokonny zaprzęg, którym będzie przewieziony z Ossy na tę uroczystość dowódca dywizji i osoby towarzyszące. Istotnie, mieliśmy w cekaemach piękną, okazałą klacz i wałacha, parę gniadych. Zdobyliśmy tę parę swego czasu na „bulbowcach” pod Ołyką. Być może pochodziły one ze stajni księcia Radziwiłła, który w Ołyce posiadał przecież swoją ordynację. Od dwóch dni woźnica szorował, czyścił, pucował szuwaksem i jakąś pastą uprząż. Czyścił sprzączki, ozdobne blaszki na uprząży i janczary, od największych do najmniejszych dzwonczków, popiołem drzewnym. Zanurzał najpierw szmatkę w wodzie, następnie w popiele. Dawało to wspaniałe efekty. Wypolerowane w ten sposób blaszki błyszcząły jak szczerze złoto. Pomagali mu po koleżeńsku inni żołnierze z plutonu, którym zależało, żeby cekaemiści wypadli znów najlepiej.

Nadeszła niedziela. O ósmej rano cały batalion, z wyjątkiem pełniących służbę wartowniczą lub patrolową, stawiał się pododdziałami w zwartym szyku na niedużym placu przed stodołą, w której ksiądz kapelan w komży i połowym ornacie celebrował mszę. Z moją ministranturą wyszło całkiem dobrze. Kto chciał z żołnierzy, mógł przystąpić do spowiedzi wielkanocnej, ponieważ był czas wielkiego postu. Następnie kapelan wygłosił dla żołnierzy kazanie, w którym między innymi mówił, aby umacniać swoją wiarę w religii, wiarę w Chrystusa, który przecież za nas cierpiał i umarł. Mówił o znaczeniu dni postu, ale nie nawoływał do poszczenia, gdyż byliśmy w sytuacji wyjątkowej i dlatego będziemy rozgrzeszeni. W kazaniu kapelan szczególnie nawoływał do przestrzegania dyscypliny wojskowej i bezwzględnego posłuszeństwa w wykonywaniu rozkazów przełożonych.

Po skończonej mszy, batalion na komendę ustawiono najpierw w dwuszeregu, następnie w kształcie podkowy. Odczytano nazwiska, raczej pseudonimy odznaczonych, po czym padła komenda „do wręczenia odznaczeń wystąp”. Aktu wręczenia odznaczeń osobiście dokonał dowódca dywizji.

Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami odznaczono podporucznika „Śluckiego”, za to że w wyjątkowo złożonych i trudnych okolicznościach, gdy oddział pozbawiony został swego dowódcy ze sztabem, doprowadził go z najdalej wysuniętego na wschód zakątka Wołynia, w ciężkim, nie-

bezpiecznym i samotnym rajdzie przebijając się przez całkowicie kontrolowany teren upowski pod Kowel w rejon koncentracji dywizji. Srebrne Krzyże Zasługi z Mieczami otrzymali: starszy sierżant „Boston”, starszy wachmistrz „Czarny”, plutonowy „Miglans”. Ci odznaczeniami wyróżnieni zostali za dzielność i żołnierską postawę podczas dramatycznego paręsetkilometrowego rajdu oddziału zza rzeki Słucz do Przebraża.

Poza częścią oficjalną, przygotowano w kwaterach działonów żołnierski obiad i skromny poczęstunek dla odznaczonych i gości z dowództwa dywizji i macierzystego batalionu. Znalazło się też kilka butelek bimbru. Wypito kilka toastów w rodzinnej nieskrępowanej atmosferze. Śpiewano żołnierskie, patriotyczne i ludowe piosenki. Muzykę mieliśmy z patefonu wypożyczonego z cekaemów. Grał też na skrzypcach Bagiński z działonu przeciwpancernego różne skoczne i wesołe melodie. Tańczono z naszymi dziewczynami, którym przewodziła kapral „Drwal” (Helena Sawicka), dowódca drużyny strzeleckiej. Nie bacząc na wielki post, było trochę śpiewu, trochę muzyki, trochę tańców, aby rozerwać się i rozweselić ciężki partyzancki żywot. Dobrze, że uroczystości i zabawy nie zakłócili nam „bulbowcy”, którzy dość często przypominali sobie o naszym istnieniu i nam o ich istnieniu. Na wszelki wypadek placówki, posterunki, patrole zostały podwojone. Lepiej być ostrożnym i czujnym.

Jak się okazało, pułkownik „Oliwa” nie tylko był dobrym organizatorem i dowódcą, ale wspaniałym człowiekiem umiejącym się bawić, nie krępując nikogo swoim sposobem bycia, dowcipnym i z dużym poczuciem humoru. Do dziś pamiętam fragmenty śpiewanej przez niego frywolnej ludowej piosenki o rydzu. Jak to wysłana przez mamę do lasu po rydza Jadzia, znalazła rydza, spod którego ledwie wylazła. Później przyśpiewka *Oj rydzu, rydzu mój, jaki jest słodki korzeń twój*”.

Po paru beztrasko i wesoło spędzonych godzinach, nieoficjalna zabawowa część uroczystości zakończyła się. Dowódców wzywały jeszcze inne sprawy i obowiązki. Pożegnali nas i wyjechali do sztabu do Ossy. Para gniadych ruszyła, a spod kopyt fruwały grudy śniegu przy akompaniamencie janczarów zawieszonych na końskich szyjach. Za odjeżdżającymi gośćmi podążała zbrojna eskorta. Jeszcze przez dłuższą chwilę było ich widać w pogodną, jasną noc, aż wreszcie zniknęli na horyzoncie.

UDERZENIE NA HOŁOBY

Jeszcze w końcu lutego tak zwana poczta pantoflowa donosiła, że, być może, niedługo szykuje się większy wypad na Niemców. Ale gdzie, co, kiedy?... nikt, z wyjątkiem dowództwa, nie wiedział. Nic dziwnego, tajemnica wojskowa. W końcu dowództwo dywizji podjęło decyzję uderzenia na niemiecki garnizon i stację kolejową w Hołobach. Hołoby leżały na niewralgicznej dla frontu magistrali kolejowej łączącej Kowel, Kiwerce, Równe i biegnącej dalej na wschód. Poza tym, nęciły nas zasobne w broń, amunicję i umundurowanie niemieckie magazyny. Uderzenie wyznaczono na 9 marca. Do akcji wyznaczono bataliony: „Jastrzębia”, „Olgierda”, „Siwego” i „Trzaska”, kompanię porucznika „Jurka” – stacjonującą stale w Dąbrowie, niedaleko Hołób oraz część batalionu „Gzymśa”.

W nocy z 8 na 9 marca nasze oddziały podeszły pod Hołoby, aby o świcie rozpocząć natarcie. Całością dowodził major „Kowal”, który podzielił nas na dwie grupy: jedną nacierającą na stację kolejową, drugą na osiedle. Grupa nacierająca na osiedle bez większych trudów wdarła się na jego teren, wyrzucając z niego Niemców. Zdobyto bunkry i inne umocnienia, zadając zaskoczonym Niemcom duże straty. Na polu bitwy zostało około trzydziestu Niemców. Zdobyto też trochę broni, amunicji i innego sprzętu. Natomiast grupa nacierająca na stację kolejową napotkała na silną obronę. Niemcy bronili się zaciekłe. Mimo to, udało się zdobyć jeden z magazynów położonych przy stacji, który – ku naszemu rozczarowaniu – okazał się pusty. Nie było w tym nic dziwnego, skoro front był tuż, tuż, około trzydziestu kilometrów.

W trakcie dalej prowadzonego natarcia, o niemieckiej przewadze zdecydowało użycie pociągu pancernego. W takiej sytuacji major „Kowal” zarządził wycofanie oddziałów z walki i oderwanie się od nieprzyjaciela.

Hołoby znajdowały się jednak w naszych rękach przeszło dwie godziny.

Wycofywaliśmy się w kierunku Dąbrowy. Niemcy zaś zachęceni chwilowym powodzeniem, rozpoczęli pościg, który skutecznie zatrzymaliśmy pod miejscowością Ulita. Walki trwały przez cały dzień do późnych godzin wieczornych. Niemców zmusiliśmy do wycofania się, ale sami nie przeszliśmy do kontrnatarcia.

Operacja wprawdzie nie przyniosła spodziewanego sukcesu w postaci zdobycia stacji kolejowej i zasobnych w broń i amunicję magazynów, to niewątpliwie wyrządziła Niemcom dużo krzywdy, przerwała na kilka godzin komunikację kolejową na tej ważnej linii, a co również ważne miała znaczenie psychologiczne dla partyzanckiego żołnierza: mniej wyszkolonego, gorzej uzbrojonego, ale wierzącego coraz bardziej w swoje możliwości i to, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Nasi chłopcy przekonywali się coraz bardziej, że niezwyciężona armia niemiecka jest do pokonania – tego nam było potrzeba. Nie wszystkie bitwy muszą być uwieńczone pełnym sukcesem militarnym. W partyzanckiej wojnie powinniśmy wroga ciągle niepokoić, nękać, szarpać gdzie się da i jak się da, nie dawać spokoju, łamać jego butę. Niszczyć jego siły żywe i sprzęt. Wróg na tyłach w partyzanckiej wojnie ponosił wcale nie małe straty w ludziach i wszelkim sprzęcie. Polscy i radzieccy partyzanci na Wołyniu i w całym okupowanym kraju spowodowali, że tysiące ton uzbrojenia i sprzętu wylatywało w powietrze.

Pociągi, wagony, lokomotywy jakże często tworzyły rumowiska złomu przy torach kolejowych. Ani placówki, ani umocnienia wzdłuż magistrali kolejowych, żadne zarządzenia *gauleiterów* nie mogły przywrócić porządku na szlakach komunikacyjnych.

PRZYBYCIE KOMPANII WARSZAWSKIEJ

W tym czasie, kiedy nasze bataliony walczyły z Niemcami w Hołobach i pod Ulitą, z Warszawy na Wołyń przedzierał się nieduży partyzancki oddział liczący około stu ludzi. Była to Kompania Warszawska dowodzona przez porucznika „Piotra” (Piotr Zołociński). A oto jak opowiadali o przedzierananiu się na Wołyń jego uczestnicy:

Kiedy podpułkownik „Oliwa”, po przybyciu na Wołyń, zaczął formować z luźno rozrzuconych w terenie oddziałów partyzanckich wołyńską dywizję partyzancką, chciał mieć u siebie grupę swych dawnych podkomendnych z warszawskich oddziałów dywersyjnych, przeważnie młodych oficerów oraz podchorążych i saperów. Nie bez trudności zgodzono się na przetrzenie tej grupy. W styczniu jednak zapadła decyzja, że grupa bojowa porucznika „Piotra” zostanie uzupełniona plutonem Jerzyków (z oddziału porucznika Jerzego Strzałkowskiego, rozbitego przez Niemców w rejonie Cegłowa-Mienia w powiecie Mińsk Mazowiecki) i kilku „spalonymi” – około stu ludzi – zostanie przetrzona na Wołyń.

Na temat przetrzutu oddziału snuto najprzeróżniejsze domysły, a najbardziej fantastyczny – żeby ludzi i sprzęt przewieźć transportem kolejowym w beczkach. Zdecydowano wreszcie, że zostaną przetrzuci samochodami jako grupa robocza Organization Todt, przeznaczona przed zbliżającym się frontem do robót fortyfikacyjnych na Bugu. Oddział dysponował trzema samochodami ciężarowymi, w tym jednym starym wysłużonym foldem, uczestnikiem akcji na bank w połowie 1943 roku, kiedy to w Warszawie przy ulicy Senatorskiej zabrano Niemcom grubą gotówkę. Termin przetrzutu ustalono na 24 lutego.

Ustalono, że kilku chłopców mówiących dobrze po niemiecku, ubranych w wehrmachtowskie mundury, będzie stanowić eskortę i będą jechać jednym samochodem, zaś dwoma pozostałymi reszta oddziału. Wyznaczono punkty załadowcze przy placu Trzech Krzyży w Warszawie oraz w rejonie

Wiązowny, dokąd pluton Jerzyków z porucznikiem „Zającem” (Zygmunt Górka-Grabowski) i „Dzirytem” miał dojść marszem z rejonu Józefowa. „Eskorta” miała wyruszyć z Zacisza (Warszawa Targówek).

Kiedy grupa „Niemców” udała się na Zacisze, dowódca oddziału „Piotr”, jakby coś przeczuwając, zdecydował przetrzeć dla pewności trasę. Do przeprowadzenia tego rozpoznania wyznaczył porucznika „Białego” zwanego także „Kajtkiem” (Klaudiusz Stysło). Było już ciemno, gdy „Biały” samochodem wyruszył do Józefowa na miejsce zbiórki. Nagle szosę oświetliły reflektory z kilku zamaskowanych niemieckich samochodów. Kilkudziesięciu żandarmów wybiegło na szosę. Zatrzymali samochód i „Białego”. Auto było puste, rozczarowani kazali jechać dalej.

Nie o ten samochód im chodziło. „Biały” nacisnął na gaz i okrężną drogą wracał na Zacisze. W Wawrze na przejeździe kolejowym natknął się przypadkowo na „Sławka”, który wyładowanym samochodem jechał na zbiórkę do Józefowa. Na szczęście zdążył go w porę ostrzec. Wymarsz odłożono. Jak się później okazało, nie dochowano tajemnicy i wymarsz plutonu z Józefowa został Niemcom zasygnalizowany, w związku z tym przygotowali oni zasadzkę na szosie. Z powodu niemieckiej oblawy w rejonie Józefowa, porucznik „Zajac” wyszedł z kwater i wycofał się w kierunku Siedlec, tracąc przy tym na kilka dni łączność z dowództwem oddziału, którą nawiązano niebawem przez gońców.

Porucznik „Piotr” ustalił następny termin wymarszu na 2 marca. Trasę wyznaczono przez Mińsk, w kierunku Siedlec. Miejsce spotkania z plutonem Jerzyków jednaście kilometrów za Siedlcami. Nieco wcześniej porucznik „Czarny” (Marek Szymański), jeden z najstarszych partyzantów, który już w październiku 1939 roku jako młody podporucznik saperów „Sęp”, walczył w oddziale majora „Hubala” (Henryk Dobrzański), pojechał z rozkazami do „Zająca”.

Nadszedł dzień wymarszu. Było już zupełnie ciemno, gdy duże, załadowane po sam wierzch, ciężarówki wyjechały przez Wawer i Starą Miłosną na siedlecką szosę. Na stosach bagażu siedzieli chłopaki z bronią pochowaną między tobołami. „Eskorta” jechała ze wszystkimi dystynkcjami Wehrmachtu i karabinami na wierzchu, jak przystało na eskortę. W szoferce pierwszego samochodu był „Piotr”, w drugiej „Biały”. Tym razem bez przeszkód dojechali do Siedlec. Tu jeden mocno już wysłużony samochód, nazwany kitajcem, prowadzony przez kierowcę „Milę”, odmówił posłu-

szeństwa i stanął niedaleko jakichś magazynów wojskowych, przy których Niemcy ładowali swoje wozy. Chwila pełna napięcia. „Piotr” zarządził pogotowie bojowe. Samochód, jakby wyczuł niebezpieczeństwo, ruszył sapiąc, prychając. Z trudem dojechał na umówiony jedenasty kilometr. Znow nastąpiła trzydniowa przerwa. Oddział połączył się z czekającym plutonem „Zająca” i przeszedł na kwatery w pobliskiej wsi. Ludność serdecznie przyjęła jeszcze tych kilkudziesięciu świeżo przybyłych partyzantów. Przemarznąci do szpiku kości, zmordowani i głodni znaleźli gorącą strawę i nocleg.

Rozładowane samochody odjechały do Siedlec do akowskiej bazy remontowej.

„Piotr” podczas tego postoju, na jednej ze zbiórek oddziału, przemówił do żołnierzy. Powiedział, żeby się zastanowili. Kto nie czuje się na siłach, może wracać do domu, dostanie na drogę dokumenty i pieniądze. Ale ci, którzy zostaną, muszą wiedzieć, że za niesubordynację, za próbę dezercji, za porzucenie broni – kula w łeb! Nikt nie odszedł.

Po trzech dniach samochody wróciły z remontu. Tego jeszcze dnia wieczorem, na leśnej polanie załadowano wozy i ruszono w dalszą drogę. Dowódca oddziału zamierzał ominąć Lublin od wschodu przez Łączną, skąd można było wyskoczyć na szosę Chełm – Włodawa, omijając również Chełm. Pogoda była straszna, piekielna zawieja i śnieżycyca. Samochody co chwila grzęzły w śnieżnych zaspach. Po parogodzinnym zmaganiu się z wiatrem i śniegiem, w jednym samochodzie złamały się resory. Nie było możliwości przeładowania ludzi i bagażu na i tak przeciążone dwie pozostałe ciężarówki. Nic innego nie można było zrobić, jak wycofać ciężarówkę do Lublina do remontu. Oczywiście jechać musiały wszystkie trzy, gdyż postój dwóch załadowanych samochodów na szosie mógłby zwrócić uwagę Niemców. Rozładowano wszystkie samochody, a ładunek ułożono w przydrożnym rowie wypełnionym śniegiem; szalejąca zawieja po kilkunastu minutach zatarła wszystkie ślady. „Piotr” zdecydował, że do czasu powrotu samochodów przeczeka się w położonym o dwa kilometry niedużym lasku. Po kilku godzinach samochody powinny wrócić, przecież wymiana resorów nie potrwa długo.

Istotnie, po paru godzinach samochody wracają. Szybko załadowano ciężarówki i ruszono w dalszą drogę. Znow borykanie się z zaspami. Pod wieczór dobrnęli do Łącznej, tu okazało się, że poprzedniego dnia most na Wieprzu w Łącznej wysadził jakiś miejscowy oddział Armii Krajowej

i przejazdu nie ma. W takiej sytuacji trzeba jechać przez Lublin. Znow w szoferkach wozów: w pierwszym „Piotr”, w drugim „Biały”, w trzecim „Czarny”. Ruszają na Lublin.

„Piotr” pojechał bocznymi ulicami, aby ominąć śródmieście, i wyskoczył na przejazd za dworcem kolejowym, prowadzącym na szosę chełmską. Na skutek zmylenia trasy, w słabo wieczorem oświetlonym mieście, samochody znalazły się na ulicy Lubartowskiej, prowadzącej do samego centrum, na ulicę Krakowskie Przedmieście. Ale nie czas na zawracanie. Samochody przeładowane pracują na pełnych obrotach, wspinają się stromą ulicą Lubartowską, zdążając ku Bramie Krakowskiej. Po drodze spotykają niemiecki partol, ale żandarmi zorientowali się, z kim mogą mieć do czynienia i chyłkiem prysnęli w boczną ulicę Kowalską.

Rozpędzone samochody zjeżdżały w dół ulicą Zamojską. Na skrzyżowaniu z ulicą 1 Maja wpadł na kolumnę niemiecki łazik – znow żandarmi. W świetle reflektorów Niemcy od razu zorientowali się w sytuacji, lecz nie zaryzykowali podjęcia walki. Niemiecki samochód ruszył pełnym gazem w stronę Majdanka. „Piotr”, obawiając się zasadzki, zarządził pościg niemieckiego łazika. Ciężarówki usiłowały jechać na „piętach” żandarmskiego wozu. Pościg trwał do Majdanka, gdzie niemiecki samochód raptownie skręcił w bramę obozu, a polskie samochody, nie zmniejszając szybkości, popędziły dalej w kierunku Chełma.

Przejazd przez Lublin odbył się bezkrwawo, przez Piaski i Chełm również przebiegł pomyślnie.

Nad ranem dotarliśmy do Pobołowic, niedaleko Bugu. Samochody okrężną drogą przez Hrubieszów ruszyły w powrotną podróż. Już bez samochodów, jeszcze jedną dobę, spędzono w miejscowości Gałęzów. Następnie oddział przeprawił się przez Bug pod Dubienką do Bindugi, gdzie stacjonowała z naszej dywizji kompania porucznika „Małego”. Forsowanie odbywało się na zaimprovizowanym promie z jednej łodzi, która kursowała z jednego na drugi brzeg na przeciągniętym przez rzekę drucie. Przeprawa przebiegała powoli i trwała około siedmiu godzin. W czasie przeprawy zjawił się patrol Grenzschutzu, składający się z Austriaków, który został rozbrojony bez walki i przytrzymany do czasu zakończenia przeprawy, po czym puszczono ich w obawie przed represjami wobec miejscowej ludności. 9 marca oddział znalazł się na wschodniej stronie Bugu w Bindudze.

Warszawską Kompanię po mszy świętej celebrowanej przez księdza kapelana Dąbrowskiego, powitali major „Pogrom” i major „Żegota” (Tadeusz Sztumberg-Rychter). Nazajutrz oddział wyruszył do walki z UPA o miejscowość Korytnicę, która zakończyła się zwycięstwem, ze stratą jednego zabitego i jednego rannego. Po paru dniach warszawiacy przenieśli się z Bindugi do Ossy, siedziby sztabu dywizji.

Młodzi warszawiacy przynieśli na Wołyń wiele romantycznych ideałów oraz ogromną chęć odwetu za to, co przez cztery lata musieli znosić w okupowanej stolicy. Byli to bardzo fajni chłopcy, serdeczni, weseli, odważni. Przywieźli także wiele okupacyjnych piosenek nieznanymi do tej pory na Wołyniu, a śpiewanych w stolicy

Przywieźli również nieznanym dla wielu z nas materiał wybuchowy zwany plastykiem. Była to żółta masa, podobna z koloru do trotylu, lecz miękkiej konsystencji, dająca się lepić jak plastelina. Także siła niszczeniowska plastyku była większa niż dotychczas znanych materiałów wybuchowych.

Ci fajni młodzi chłopcy po przybyciu na Wołyń byli urzeczeni, nawet zaszokowani, gdy zobaczyli na własne oczy regularne wojsko.

Tak wspomina jeden z żołnierzy tego oddziału, ówczesny podchorąży „Andrzej” (Andrzej Żupański): *Po przybyciu do Bindugi przeżyłem swego rodzaju szok, gdyż po raz pierwszy po latach konspiracji ujrzałem zwarte, umundurowane, uzbrojone oddziały polskiego wojska, kawalerzystów i piechurów występujących jawnie, jakby nie było okupacji.* To samo przeżyli jego koledzy z Kompanii Warszawskiej.

W wyniku reorganizacji, z kilkoma kolegami od „Bomby” znalazłem się w tym oddziale, w szturmowym plutonie dowodzonym przez porucznika „Białego”, dzielnego, lubianego i niezapomnianego dowódcę.

Warszawska Kompania saperów po przejściu Bugu niemalże z marszu weszła do akcji bojowych przeciwko Niemcom. Walczyli o Turzysk i Turopin. Minowali mosty i tory kolejowe. Budowali most na rzece Turrii w Jagodnie, z którego korzystały nasze oddziały, a później regularne oddziały armii radzieckiej. Organizowali przeprawy oddziałów polskich i radzieckich, walczyli o Władynopol, Stawki, Szuń, Czmykos, Pustynkę, w lasach mosurskich i szackich. Rozminowywali pola minowe i organizowali przejścia przez poleskie bagna.

Byliśmy zawsze razem, wychodziliśmy z okrążeń. Po sforsowaniu Bugu, przeszliśmy do Generalnej Guberni. Walczyliśmy na Lubelszczyź-

nie. Kilku tych młodych chłopców zginęło na Wołyniu, a kilku w Powstaniu Warszawskim. Przed wybuchem powstania zdołali dotrzeć z Lubelszczyzny z 27 Dywizji do Warszawy.

W powstaniu zginęli m.in.: podporucznik „Dziryt”, podchorąży „Doman” (Stanisław Zołociński), kapral „Polak” (Kazimierz Fortuński) i „Kujawiak” (Włodzimierz Knast). Naszym celem było dotarcie na powstanie. Niestety, losy dywizji i osobiste potoczyły się inaczej.

KONTAKTY Z ARMIĄ RADZIECKĄ

Coraz bliżej było słyszeć artyleryjskie kanonady zbliżającego się frontu. Oddziały regularnej armii radzieckiej, nacierające na Kowel od południowego-wschodu, wschodu i północnego-wschodu, 18 marca 1944 roku weszły (najpierw oddziały rozpoznawcze 205 Dywizji Piechoty) w rejon koncentracji naszej partyzanckiej dywizji na południe od Kowla.

Już wcześniej, około 10 marca, przedarł się przez front radziecki oddział rozpoznawczy pod dowództwem kapitana „Gusiewa” i w pobliżu Kowla zetknął się z oddziałem kapelana „Prawdźica” (Antoni Piotrowski). Wtedy już przekazano mu informacje i szkice niemieckiej obrony Kowla.

Następnie dowódca ugrupowania partyzanckiego Gromada, major „Kowal”, spotkał się z wyższymi oficerami radzieckimi: zgłosił gotowość działania 27 Dywizji, prosząc jednocześnie o umożliwienie skontaktowania się dowództwa dywizji z wyższym dowództwem radzieckim.

Propozycję spotkania przyjęto i następnego dnia wyznaczono je na 20 marca, aby wstępnie omówić współdziałanie w rejonie na południe od Kowla z wojskami radzieckimi.

Dowódca 27 Dywizji pułkownik „Oliwa” wyznaczył do prowadzenia wstępnych rozmów swojego szefa sztabu – majora „Żegotę”.

Spotkanie odbyło się w miejscowości Kołodężno niedaleko Kowla. Jak twierdzą uczestnicy, przyjęto ich przyjaźnie, uprzejmie i gościnnie. Umożliwiono im nawet obserwowanie radzieckiego natarcia na Kowel 21 marca, które, niestety, po paru godzinach utknęło.

Podczas tych rozmów ustalono, że dywizja podporządkuje się pod względem operacyjnym radzieckiemu dowództwu. Wyznaczono też zadania dla dywizji, uderzenie na niemieckie linie komunikacyjne łączące Kowel z rejonem na południe od Lubomia.

Od tej pory z przeważającymi siłami nieprzyjaciela walczyliśmy ramię w ramię z radziecką armią.

W tym czasie, gdy nasi i radzieccy dowódcy uzgadniali zasady współdziałania operacyjnego, Niemcy także nie próżnowali. Tuż w przyfrontowym rejonie wysłali kompanię, która podążała do Zasmyk w celach pacyfikacyjnych. Zasmyki były bazą samoobrony polskiej ludności. Otóż Niemcy po drodze natknęli się na nasze partyzanckie placówki oddziału porucznika „Prawdźica”, który rozkazał ubezpieczeniom wycofać się do środka wsi, wciągając w ten sposób Niemców w zasadzkę. Okrążył ich cała kompania, na czele z oficerem, została wzięta do niewoli. Zdobyto dużo broni i sprzętu. Jeńców przekazano regularnym oddziałom armii radzieckiej.

Efektorem parokrotnych spotkań, prowadzonych rozmów i ustaleń z radzieckim dowództwem 25 marca 1944 roku do sztabu dywizji w Ossie było przybycie dwóch oficerów do pełnienia funkcji oficerów łącznikowych.

Jednocześnie został wezwany na dalsze rozmowy do dowództwa radzieckiej armii pułkownik „Oliwa”, który 27 marca wieczorem powrócił do swego sztabu, przywoząc dalsze pomyślne ustalenia.

Radziecki dowódca, po porozumieniu się ze swoimi władzami centralnymi, uzyskał akceptację współdziałania z naszą dywizją. Zostało ustalone, że 27 Dywizja jest Wojskiem Polskim podległym władzom przebywającym w Londynie i Warszawie, że może się z tymi władzami komunikować bez żadnych ograniczeń i że otrzyma pełne wyposażenie dywizji w artylerię, sprzęt motorowy oraz zaopatrzenie. Dowództwo dywizji przyjmując wstępne, pomyślne ustalenia, natychmiast drogą radiową wysłało depezę do Komendy Głównej AK.

Po kilkunastu dniach otrzymano w tej sprawie rozkaz generała Tadeusza „Bora” Komorowskiego, który akceptował dotychczas osiągnięte porozumienie, wyraził uznanie i pochwałę za dotychczasową działalność oraz nakazał przeorganizowanie luźnego ugrupowania partyzanckiego w 27 WDP AK, nie pomijając oferowanej pomocy radzieckiej.

Tymczasem sytuacja na froncie zmieniła się na naszą niekorzyść. Niemcy, bojąc się radzieckiego uderzenia na Brześć i zagrożenia swych wojsk znajdujących się jeszcze na Białorusi, zdecydowali się bronić ważnego węzła komunikacyjnego, szczególnie zaś ważną linię kolejową Kołwel – Chełm i dalej na wschód, poszerzyć dostęp do niezamkniętego kołwelskiego kotła, gdzie jeszcze uporczywie się bronili, angażować w walkę nacierające wojska radzieckie, zatrzymywać lub opóźniać ich ofensywę na kierunku Bug.

W końcu marca pod Kowlem Niemcy dysponowali już znacznymi siłami, które zdążyli ściągnąć, wykorzystując chwilowe zahamowanie ofensywy w tym rejonie, spowodowane tym, że radzieckie wojska, będące od wielu tygodni w ciągłym marszu na zachód, rozciągnęły własne drogi komunikacyjne, a co za tym idzie i linie zaopatrzenia. Poza tym, drogi były w fatalnym stanie, gdyż nastąpiły roztopy, które szczególnie na terenach północnego Wołynia są bardzo uciążliwe, utrudniają poruszanie się kolumn motorowych i konnych. Niemcy ściągnęli Dywizję Pancerną SS Wiking, Brygadę Górską, 211 Dywizję Piechoty.

BÓJ O TUROPIN I TURZYSK

W ramach dotychczasowych kontaktów, porozumień i ustaleń dowódców radzieckich i naszej dywizji, mieliśmy uderzać na niemieckie linie komunikacyjne. W pierwszej kolejności mieliśmy zaatakować stację kolejową Turzysk, leżącą na linii Kowel – Włodzimierz Wołyński, następnie stację kolejową Turopin i most na Turii w Turopinie.

Wylimitowanie stacji kolejowej Turopin przerwałoby połączenie kolejowe Włodzimierz – Kowel, a w przypadku Turzyska stwarzało dodatkowe możliwości korzystania z mostu na Turii w ruchu dywizji, jak też regularnych wojsk radzieckich na zachód.

Pułkownik „Oliwa” zdawał sobie także sprawę, że ruch dywizji na zachód nie może się ograniczać do dwóch prowizorycznych przepraw na rzece Turii, zbudowanych przez naszych saperów z Kompanii Warszawskiej w miejscowościach Hajki i Błażennik. Wprawdzie rzeka Turia nie jest ani wielka, ani niebezpieczna, jednak w okresie wiosennych roztopów i przyboru wody stanowi poważną przeszkodę dla oddziałów niewyposażonych w sprzęt przeprawowy, przede wszystkim ze względu na bagniste i podmokłe brzegi. Poza tym, znajdujemy się w wygiętym łuku Turii, zamkniętym jakby cięciwą, torem kolejowym Kowel – Włodzimierz, opanowanym dotychczas przez Niemców. Znajdując się w takim położeniu, Niemcy mogliby z łatwością zamknąć nas w kotle.

Zdecydowano, że na Turzysk uderzą oddziały ze zgrupowania „Gromada” pod dowództwem majora „Kowala”, zaś na Turopin batalion „Gzymśa” wzmocniony saperami Kompanii Warszawskiej, batalionem „Łuny” i batalionem „Jastrzębia”.

W nocy, z 19 na 20 marca major „Kowal” podciągnął swoje oddziały na pozycje wyjściowe, aby wczesnym rankiem, po ostrzale artylerii radzieckiej, uderzyć na Turzysk. Uczynił to 20 marca – w rannych godzinach polskie oddziały opanowały go bez większego wysiłku. Następnie

rozpoczęły wspierane przez artylerię radzieckie natarcie na stację kolejową Turzysk.

Pod koniec dnia w mieście ani na stacji nie było już ani jednego Niemca, z wyjątkiem trupów niemieckich żołnierzy, które znaczyły drogę odwrotu. Nasze oddziały poniosły stosunkowo nieduże straty, paru zabitych i kilku rannych. Zdobyto broń i amunicję, tak bardzo potrzebne do dalszych działań dywizji.

Odnieśliśmy znaczący sukces, bowiem była to pierwsza większa miejscowość zdobyta w ciągu jednego dnia w normalnej walce.

Nawet radio Londyn podało specjalny komunikat: „Nasze oddziały na Wołyniu współdziałające z jednostkami radzieckimi opanowały w dniu 21 marca miejscowość Turzysk”.

Zadanie wykonano dopiero w połowie. Druga część zadania, to uderzenie i opanowanie stacji kolejowej Turopin, a przede wszystkim zepchnięcie nieprzyjaciela za rzekę Turię i przejęcie mostu na niej, który parę dni temu nasi saperzy bezskutecznie usiłowali wysadzić w powietrze. Wykonanie tego zadania czekało na „Gzysa”.

W ramach przygotowania akcji na Turzysk i Turopin, w nocy z 19 na 20 marca patrol minerski z Kompanii Warszawskiej, dowodzony przez podchorążego „Podkowę” (Jan Popowski), wysadził tor kolejowy między Turzyskiem a Turopinem. Następnej nocy wysadzono tor kolejowy między stacją kolejową Turopin a mostem na Turii, leżącym dwa, trzy kilometry od stacji.

„Gzys”, przygotowując się do wykonania zadania, dalej prowadził rozpoznanie. Rano, 22 marca, porucznik „Gzys” wysłał do Turopina patrol rozpoznawczy dowodzony przez doświadczonego oficera, porucznika „Czarnego”.

Patrol stwierdził, że wieś Turopin była wolna i wyludniona. Na stacji kolejowej Turopin również nie było Niemców, tylko w kierunku mostu Węgrzy obsadzili bunkry i przejazd kolejowy. Nazajutrz, 23 marca o świcie, batalion „Gzysa” wraz z Warszawską Kompanią Saperów wyruszył na Turopin. Batalion składał się z oddziału partyzanckiego „Bomby” i „Gzysa”. W jego skład wchodziły, także od „Bomby”, pododdziały broni towarzyszącej: dwa działony armatek przeciwpancernych, pluton granatników, pluton ciężkich karabinów maszynowych.

Ta nasza artyleria pożał się boże. Jedno działko swego czasu wymontowane z czołgu nie miało kompletu urządzeń celowniczych. Kiedy trzeba

było z niego strzelać, po prostu celowano po lufie. Dumnie jednak spoczywało na drewnianej lawecie zmajstrowanej na wzór średniowiecznej – ogromne drewniane koła okute solidnie żelazną obręczą, do tego solidnie i mocno zrobiony na niższych kołach przodek z jaszczami na amunicję i siedzenia dla artylerzystów.

Może najładniej nie wyglądała ta artyleria, ale była. Działała nie najgorzej, dzięki naszym doświadczonym artylerzystom. A na swoim koncie zapisała niejedno celne trafienie.

A cekaemy? Cekaemy najprawdziwsze typu maksim. Ale zaraz, zaraz, jeden cekaem był „kundlem”. Wprawdzie miał rodowód „nordyckiej rasy”, pochodził z niemieckiego samolotu, lecz miał dorobione do mechanizmu kaemu drewniane łoża. Był trochę zakompleksiony i nie miał już rasowej nordyckiej buty i pychy. Leżał na wozie obok maksimów buńczucznie potrząsających grubaśnymi lufami na wyboistej drodze.

Granatnikom nic dodać, nic ująć. Bez wszelakich przeróbek. A chłopcy w granatnikach na schwał. Świetnie znali swoje rzemiosło. Nie chciałem być pod ich ostrzałem, szczególnie „Cygana” (Franka) i Wacka. Lubiłem w wolnych chwilach wpadać do nich na pogawędkę. Dobrze mi się rozmawiało z „Lumpem” (Leon Lewicki), z zawodu nauczycielem. Lubiłem nauczycieli. Był nieco ode mnie starszy, ale tematy do rozmowy zawsze mieliśmy.

Po paru godzinach marszu po nie najlepszej drodze (odwilż i mokro), zatrzymaliśmy się w zaroślach w odległości paruset metrów od toru kolejowego. Zajęliśmy stanowiska wyczekujące. Widać było niezbyt okazałe budynki stacji kolejowej i kilka w pobliżu rozrzuconych chałup. Przed stacją po naszej stronie dwa bunkry. Co po przeciwnej, na razie, nie wiadomo, zakrywał wysoki nasyp kolejowy. Zalegliśmy w krzakach. Na razie nie było nam zimno, ale jak tak bez ruchu posiedzimy parę godzin, to chłód mógł się do nas dobrać.

Wyszli zwiadowcy, aby ustalić jakie oddziały nieprzyjacielskie stanowią załogę Turopina i jaka przypuszczalnie jest ich liczebność. Wrócili może po dwóch godzinach, stwierdzając, że w Turopinie są Węgrzy i chyba jest ich niewielu, gdyż między budynkami stacyjnymi nie zauważyli dużego ruchu. Między stacją a Turią, po naszej stronie toru kolejowego, były jeszcze dwa bunkry, dalej już nieprzyjacielskie, strzegące mostu na Turii. Zwiadowcy zaobserwowali w pobliżu rzeki patrolę węgierskie. Nie zachowywali oni jednak żadnej ostrożności.

Po odebraniu takiego meldunku, „Gzyms” zdecydował się, aby z Węgrami pogadać. Może uda się bitwę bez przelewu krwi wygrać. Na parlamentariusza zgłosił się porucznik „Czarny”. Wziął z sobą podchorążego „Bartka” vel „Jumbo” (Jerzy Wolszczan), który dobrze znał język niemiecki, i trębacza plutonowego „Jelitę” (Wiesław Hildebrand). Ułamali gałąź, uwiązali do niej biał, może nie takiej znów nieskazitelnej bieli, chustkę do nosa i machając tą chorągiewką wyszli we trójkę z krzaków. Szli śmiało do najbliższego bunkra.

Patrzyliśmy na nich z ukrycia. Węgrzy pewnie też. Gdy znaleźli się ze dwieście, może mniej, metrów od węgierskiego bunkra, wyszedł im na przeciw Węgier. Zeszli się. Zatrzymali się na chwilę. Stali i rozmawiali, gestykulowali, po czym rozeszli się w swoje strony.

„Czarny” poinformował „Gzymśa”, że rozmawiali z węgierskim podporucznikiem, dowódcą tej placówki, proponując mu, by Węgrzy bez walki opuścili Turopin i przesiedlili się za Turię. Węgier nieco wstydliwie oświadczył, że muszą wykonać rozkaz utrzymania stacji w Turopinie i mostu na rzece. Nasi parlamentariusze odpowiedzieli Węgrom, że też mamy rozkaz zepchnąć ich za rzekę i rozkaz musimy wykonać. Okazało się, że Węgrzy są ze znanego nam już 55 Pułku Honwedów.

Pertraktacje zakończyły się tym, że Węgrzy odpowiedzą na naszą propozycję za parę godzin, po porozumieniu się ze swoim dowództwem.

Żołnierze nie lubią długo czekać, zaczynają się denerwować. Ziąb był coraz dotkliwszy. Niektórzy posilali się swoimi żelaznymi porcjami lub palili skręty, których swąd czuło się na pół kilometra. „Gzyms” polecił przezornie rozstawić patrole w ukryciu wzdłuż toru, aż do samej rzeki.

Po paru godzinach od strony madziarskich bunkrów jakaś samotna postać zbliżała się do zarośli, w których siedzieliśmy od kilku godzin. Naprzeciw wyszedł znów „Czarny” i po chwili obaj szli do „Gzymśa”. Przybył węgierski kapitan, dowódca batalionu. „Gzyms” powtórzył propozycję. Węgier wahał się. Bał się po prostu odpowiedzialności za niewykonanie rozkazu, ale wyraźnie było widać, że nie mają ochoty z nami walczyć. „Gzyms” tłumaczył: „Po co mamy się bić, przelewać krew. Węgier i Polak dwa bratanki, zainscenizujemy prawdziwą wojnę! Narobimy hałasu, wy zaś, ulegając liczebnej przewadze, wycofacie się na nowe stanowiska”. Węgierski kapitan uśmiechnął się, ale był wyraźnie zażenowany. Zgodził się, byśmy w nocy zainscenizowali natarcie, strzelając w górę, a on jak najszybciej wycofa się za rzekę.

Na pytanie „Gzysa”, czy Węgrzy także będą strzelać w górę, Węgrzy nie dał wyraźnej odpowiedzi, gdyż nie miał zaufanie do swoich ludzi, zwłaszcza że w batalionie ma kompanię zakarpaccich Rusinów.

„Gzys” ostatecznie się zgodził, chociaż gra nie była równa. Zastrzegł sobie, że jeśli Węgrzy w porę się nie wycofają, to naprawdę otworzy ogień. Rozstali się przyjaźnie.

Po odejściu Węgra, „Gzys” zarządził, by oddział porucznika „Słuckiego” obsadził budynki leżące na kierunku natarcia na most. Niewątpliwie Węgrzy ten manewr musieli widzieć, lecz nie oponowali, to znaczy, że na razie dotrzymują umowy.

Gdzieś o północy rytmiczny turkot kół wagonów toczących się po szynach oznajmiał jadący pociąg. Pociąg zatrzymał się po drugiej stronie rzeki. Wkrótce do plutonu dowodzonego przez podporucznika „Chana” z batalionu porucznika „Jastrzębia”, który obsadzał grupę zabudowań w sąsiedztwie bunkra przy moście, pojawił się węgierski patrol. Przyniósł ustny meldunek, że ich dowódca batalionu nie może dotrzymać warunków umowy, gdyż przybył niedawno pociągiem przyjechali Niemcy. Natychmiast dowódca drużyny z plutonu „Chana”, kapral „Ziuk” (Józef Turowski), wysłał z tą wieścią gońca do „Gzysa”. Ten natychmiast zwołał odprawę dowódców kompanii. Nakazał zwiększenie czujności, umocnienie się w zaroślach wzdłuż toru kolejowego, podciągnięcia działek na dogodne pozycje do ostrzału bunkrów, przygotowanie sprzętu do niszczenia i wysadzania torów kolejowych i mostu. O świcie będziemy nacierać.

Dobrze, że już coś się zaczęło dziać. Za długo już tego oczekiwania. Byliśmy zziębnięci, głodni i niewyspani. Z bezsenności piekły oczy. Szary świt wy dobył z mroku poszarzałe twarze, postarzałe przez tę noc.

Zwiadowcy donieśli, że Niemcy z pociągu, umacniają się po tamtej stronie brzegu Turii, a część przeprawiła się przez most i obsadziła teren po naszej stronie rzeki. „Gzys” zarządził natarcie.

Przemarznięci do szpiku kości i skostniałi po całodziennym i nocnym wyczekiwaniu wysypaliśmy się jak z ula, formując tyralierę i wzdłuż toru kolejowego natarliśmy na most od północy.

Jednocześnie batalion Łuna nacierał na most od wschodu, wzdłuż Turii. Pluton „Jastrzębia”, obsadzający grupę zabudowań w najbliższym sąsiedztwie bunkra przy moście, został zaatakowany ogniem z moździerzy i broni maszynowej. Dwie drużyny z podporucznikiem „Chanem” wyco-

fały się w kierunku Turopina. Drużyna kaprała „Ziuka” pozostała w zabudowaniach pod silnym ostrzałem.

Niemcy, a na pewno i Węgrzy, z bunkrów prowadzą morderczy ogień z karabinów i peemów prawie niekończącymi się seriami. Nisko nad ziemią krzyżują się świetlne pociski i jak gdyby obejmują swymi ramionami nacierających. Zza rzeki Niemcy ostrzeliwali nas coraz bardziej wzmacniając się ogniem z moździerzy. Słysząc było charakterystyczne stękanie moździerzy i wybuchy min. Pociski padały gęsto. Słupy ognia, grudy ziemi, tysiące gwizdzących odłamków nie wstrzymały naszego natarcia. Saperzy z Kompanii Warszawskiej nieco wcześniej zdobyli stację Turopin, niszcząc tam urządzenia stacyjne i telefoniczne.

Półmrok powoli budzącego się dnia rozjaśniały rakiety. W ich świetle widać nacierających, padających, czołgających się, podrywających się żołnierzy. Niektórzy z nich zapewne już nigdy się nie poderwą.

Ogień, zarówno po naszej, jak i nieprzyjacielskiej stronie, nie milknął i ani na chwilę nie malał.

Rakieta za rakieta leciały w górę, oświetlając teren walki.

Pod silnym, huraganowym ogniem z moździerzy załamało się jednak natarcie Łuny. Batalion zaległ. Drużyna „Ziuka” pozostała pod silnym ogniem. Nie było mowy o wycofaniu się. Głowy nawet nie można było podnieść. Poległ w drużynie starszy szeregowy „Jawor” (Kazimierz Kolasa) i omal nie przypłacił życiem „Ziuk”. Było dwóch rannych żołnierzy.

Dopiero podpalenie przez drużynę „Jastrzębia” budynków, które zajmowali, pozwoliło wycofać się na bezpieczniejsze pozycje.

Kompanie „Gzymśa” nacierały w dalszym ciągu. „Gzymś” był w pierwszym szeregu i zagrzewał do walki okrzykiem: „Chłopcy, naprzód”. Czasem jakiś żołnierz padł i już nie wstał. Zabity lub ranny. Nikt nie zwracał na to uwagi.

Porucznik „Słucki” podciągnął na linię swoje działka. Po leżących jeszcze rozmokłych zaspach śniegu galopem zajęchało jedno działko. Artylerzyści wprost z małpią zręcznością odprzodkują je i ustawiają.

Teraz natarcie zatrzymało się na dłużej. Nacierający przywarli do ziemi i prowadzą ostrzał nieprzyjaciela, który także nie próżnuje.

I oto wystrzał z naszego działka, błysk, huk, świst lecących pocisków. Jeden, drugi, trzeci wystrzał; pociski trafiały w nieprzyjacielskie bunkry. Zakotłowało się. Jakieś postacie wyskoczyły i przygarbione biegną ku rzecze. Niemcy zaczęły się cofać. Karabiny maszynowe zachłystywały się

jeszcze po obu stronach. Znów nacieraliśmy mocniej i bardziej zawzięcie. Pomagały nam nasze działka i granatniki.

Załogi bunkrów i ci Niemcy, którzy przeprawili się przez most, osiadając po naszej stronie, uciekli w pośpiechu na drugą stronę. Kilku z nich zostało na zawsze po tej stronie. Zbliżaliśmy się do rzeki. Z przeciwległego brzegu Niemcy nie przestawali ostrzeliwać. W końcu strzały umilkły. Ale przed nami na przodzie z prawej strony znów jakaś anemiczna strzelanina. „Gzyms” głośno zawołał: „Kto tam jeszcze walczy?”

Wówczas zbliżył się do niego kapral „Ziuk” i zameldował swoją drużynę. Na to „Gzyms” do „Ziuka”: „Chodź, bracie, zobaczmy cośmy narozrabiali” i udali się w kierunku mostu i rozbitych przez nasze działka bunkrów. „Gzyms” wszedł na nasyp toru kolejowego wystawiając się na niebezpieczeństwo ostrzału. Nie pomagały ostrzeżenia „Ziuka”. „Gzyms” jak tarzan parł do przodu, a „Ziuk” obok nasypu brodził po kolana w mokrym, rozmiękłym śniegu. Mostu nie zdobyliśmy.

Po zdobyciu umocnień strzegących mostu od północno-wschodniej strony i stacji kolejowej, walka o most nie miała już większego znaczenia. I tak linia komunikacyjna Kowel – Włodzimierz została przerwana, była przez nas opanowana i kontrolowana. Zajmowaliśmy pozycję po naszej stronie rzeki. Zdawało się, że mielibyśmy prowadzić wojnę pozycyjną.

W siedzibie sztabu dywizji w Ossie słyszano odgłosy długotrwałej walki. Zastanawiano się, dlaczego tak długo trwała; może „Gzyms” potrzebuje pomocy?

Na wszelki wypadek, żeby nie było za późno, poderwano odwodowy batalion „Jastrzębia” (Władysław Czermiński), który szybkim marszem podążył na pomoc „Gzymsowi”. Przybyli do nas, gdy zajęliśmy już nowe stanowiska i obsadziliśmy rzekę. Pomagać nie było już w czym, ale złuzowali nas. Przemęczeni, głodni i niewyspani mogliśmy spokojnie wracać do Rzewuszek i Ossy na zasłużony wypoczynek, zabierając z sobą rannych i zabitych.

PRZESUNIĘCIE DYWIZJI NA ZACHÓD

Z powodu przesunięcia się radzieckiego frontu, jak też zgodnie z wytycznymi udzielonymi uprzednio przez dowódcę armii generała Siergiejewa, zapadła decyzja przemieszczenia naszej dywizji na zachód za rzekę Turię, w rejon między Włodzimierzem Wołyńskim a Lubomlem.

Wymarsz pierwszego rzutu naszych oddziałów wyznaczono na 28 marca. W tym czasie siły 27 Dywizji składały się z dziewięciu batalionów piechoty, dwóch szwadronów kawalerii, jednej kompanii saperów, jednej kompanii łączności, kwatermistrzostwa i szpitala polowego. Liczebność dywizji wynosiła około sześciu tysięcy pięciuset ludzi.

Przerzucenie jednostek liniowych nie stwarzało takiego wielkiego kłopotu jak wchodzących w skład dywizji kwatermistrzostwa i szpitala polowego stacjonującego w Kupiczowie, w którym było kilkudziesięciu rannych. Ciężko rannych zdecydowano się pozostawić na miejscu pod opiekę Armii Radzieckiej. Lekko rannych i rekonwalescentów wraz z kwatermistrzostwem miano przetrzucać partiami. Zwłaszcza że nie mieliśmy odpowiedniej liczby taboru. Przemarsz miał się odbyć na trasie co najmniej czterdziestu kilometrów w linii frontu lub po terenie niczym. Trzeba więc było zapewnić niezdolnym do walki oddziałom odpowiednią osłonę, przesuwać oddziały liniowe z miejsc postoju i rozmieszczać je po trasie, aby mogły w każdej chwili podjąć działania bojowe, zapewniając bezpieczeństwo przemarszu oddziałom nieliniowym.

W porannych godzinach we wtorek batalion „Gzymśa” opuścił Rzewuski i jako pierwszy wyszedł na nowe miejsce postoju. Przenieśliśmy się na zachód za Turię.

W Rzewuszkach staliśmy około dwóch miesięcy. Chociaż mieliśmy tu wspaniałe warunki, ciepłe chałupy, wygodne spanie, jedzenia w bród, to spokojnego życia nie mieliśmy. Ciągłe prowadziliśmy walki; to z Niemcami, to z Ukraińcami. Ginęli ludzie, koledzy, nieraz najbliżsi. W partyzant-

ce bardziej niż w regularnej armii człowiek był przygotowany na śmierć i bardziej przyzwyczajony do myśli o niej. Tu nie było zaplecza, ani ewakuacji, nie można zostać rannym i nie można dostać się do niewoli.

Kończył się marzec. Na polach leżał jeszcze śnieg, lecz tu i ówdzie czerniały już duże połacie obnażonej ze śniegu czarnej, tłustej wołyńskiej ziemi. Marcowe słońce i ciepłe powiewy wiatru robiły swoje. Zasypy śniegu, którego w tym roku nie brakowało, malały z dnia na dzień. Wezbrane rzeki i strumyki wystąpiły ze swych koryt, tworząc miejscami pokaźne rozlewiska.

Wiosna zbliżała się wielkimi krokami, a z nią z zimowego odrętwienia budziło się życie. Coraz bliższe były też głosy artyleryjskich kanonad, które napawały ludzi otuchą, radością i nadzieją na nowe życie bez koszmaru okupacji.

Ubezpieczona kolumna wyciągnęła się długim szeregiem. Zamykało ją ubezpieczenie tylne. Pośrodku jechały wozy z chorymi i rekonwalescentami. Wprawdzie już z bronią w rękę, lecz jeszcze słabych, niezdolnych do trudów marszu. Inne znów wozy były załadowane sprzętem, uzbrojeniem, amunicją i żywnością. I wreszcie ciągnięte przez pary koni nasze działka przeciwpancerne, duma – powiedziałbym – batalionu i dywizji. A z kolumny co jakiś czas wzbijała się w powietrze para gołębi, po czym znów siadała na swój wóz wiozący cekaemy i wchodziła do zaimprovizowanej tam klatki.

To nasz stary, poczciwy przyjaciel gołąb Sidor ze swoją współtowarzyszką życia. Aż dziw brał, że ta para gołębi tak się do nas przywiązała i nie chciała nas opuścić.

Szliśmy w dzień, gdyż czas naglił sowietów, i my śpieszyliśmy się z przegrupowaniem. Gdzieś blisko, może kilka kilometrów, słychać było wybuchy. Mówiono, że to niemieckie samoloty bombardowały oddziały zgrupowania „Gardy”. A my wciąż, z krótkimi postojami, maszerowaliśmy.

Na rozmięklej, pełnej kałuż i błotnistej drodze wozy co chwila zapadały się po osie. Konie ledwie ciągnęły, z trudem brnąłem krok po kroku. Ludzie także czasami grzęzli w lepkiej mazi. Wołyńskie gliniaste błoto szalenie utrudniało poruszanie się kolumn

Maszerowaliśmy już cały dzień. Ludzie i konie byli zmęczeni. Cały czas na nogach, już ich prawie nie czułem. Na dodatek zawinęła mi się owijka w bucie i uwierała w nogę. Przysiadłem się na chwilę na wóz do

Neli. Zdjąłem but i zacząłem poprawiać owijkę, nie bardzo śpiesząc się. Zawsze to przez kilka minut nogi trochę wypoczną. Wykorzystując pretekst, zapaliłem papierosa, rozsiadłem się wygodniej na wozie obok Neli i opowiadałem jakieś dowcipy. Wnet jednak skończyło się to dobre i znów brnąłem po błocie i kałużach. Wreszcie pod wieczór dotarliśmy do wsi Bobły – dużej, kościelnej, zamieszkałej przez Ukraińców. Mieszkańcami wsi okazały się kobiety, starcy i dzieci. Mężczyzn w sile wieku i młodzieży nie uświadczysz. Zapewne zasilają szeregi upowców. Zatrzymaliśmy się na nocleg. Zagospodarowaliśmy się w kilku zagrodach.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Mieliśmy do pokonania około trzydzieści kilometrów po ciężkiej drodze.

Ledwie wyruszyliśmy, a nasze gołębie, które towarzyszyły nam i nocowały z nami na kwaterze, wzbily się wysoko i zaczęły coraz większym kołem krążyć nad kolumną. Krążyły z godzinę, aż wreszcie zniknęły z pola widzenia. Chyba wróciły do rodzinnego gołębnika. Widocznie pociągnął ich jakiś zew lub swoim ptasim instynktem wyczuły, że nie będą miały spokojnego żywota tak jak w Rzewuszkach.

Przechodziliśmy przez Turopin, o który kilka dni temu biliśmy się, obsadzony teraz przez regularną armię radziecką, która zluzowała nasze oddziały w związku z przesuwaniem się dywizji i frontu w kierunku zachodnim.

Dotarliśmy do miejscowości Mkorzec, później do Gajek i Stawek. W Stawkach stał już batalion porucznika „Jastrzębia”.

Doszliśmy dalej do miejscowości Piotrówka, Władynopol. Coraz bardziej pachniało frontem. Niemcy stali gdzieś niedaleko. Na razie trzymał ich w szachu bojowym batalion porucznika „Sokoła”, który stacjonował w pobliskim Czmykosie. We Władynopolu stacjonowało dowództwo dywizji, kompania łączności i kompania saperów.

We wczesnych godzinach popołudniowych byliśmy w Pustynce, dużej opuszczonej wsi. Większość zagród nowych i ładnych. Widać mieszkańcom tej wsi powodziło się nienajgorzej. Pod wieczór cały batalion był już rozmieszczony w nowych kwaterach.

Pluton cekaemów zajął ładny, obszerny budynek mieszkalny. Urządziliśmy się w nowej kwaterze podobnie jak w Rzewuszkach. Nie było tu jednak stad bezpieczeństwa bydła i owiec, pełnych stodół i komór. Ale nie martwiliśmy się tym, mieliśmy spore zapasy żywności. Poza tym, zdaje się, że tu długo miejsca nie zagrzejemy. Czekające walki przesuną

nas albo do przodu, albo się cofniemy. Tak czy owak przez kilka dni tu będziemy.

Zaraz po przybyciu wystawiono placówki, wysłano patrole. Patrolowaliśmy aż po Szuń i Czmykos. W rejonach tych miejscowości pojawili się Niemcy i byli bardzo aktywni. Koncentrowali swoje oddziały. Widać nasza obecność ich niepokoiła. I słusznie, gdyż nasza dywizja była nie tylko dużym zgrupowaniem nieprzyjacielskim na tyłach, ale stanowiła zagrożenie przerwania linii kolejowej Kowel – Chełm, jedynej drogi komunikacyjnej łączącej Kowel z terenem wciąż jeszcze opanowanym przez Niemców.

Drugi dzień, po przybyciu do Pustynki, był ciepły i wiosenny. Atmosfera wiosny ma to do siebie, że pobudza cały świat do życia. Na niebie od czasu do czasu rzadkie cumulusy przesuwały się szybko, gonione wiatrem co chwila zasłaniały marcowe słońce, które kładło się złocistymi plamami na ziemi. Po śniadaniu, wolni od służby, wybraliśmy się w kilku na rekonesans krajoznawczy, aby obejrzeć dokładnie wieś i okolice. Najpierw udaliśmy się w kierunku północnym na skraj wsi. Przed nami podmokłe łąki, porośnięte kanałami melioracyjnymi wzdłuż i wszerz pełnymi wody. Nad rozlewiskami fruwały czajki, żałośnie kwiląc, wróciły już długonogie bociany i żerowały leniwie na rechoczące w rozlewiskach żaby. Na wschód i zachód – jak okiem sięgnąć – pola. Daleko na horyzoncie na wschód od Pustynki zarysowały się kontury domostw – to wieś Staweczki. Wróciliśmy, udając się spacerkiem w kierunku południowym do krzyżujących się dróg Pustynka – Mosur i Stawki – Piotrówka – Władynopol – Ziemlica.

Na skrzyżowaniu dróg usypany duży kopiec, ogrodzony parkanem pomalowanym na żółto i niebiesko (ukraińskie narodowe barwy). Obłożony darnią a od frontu, od strony furtki ułożony z żółtego szkła czy ceramiki trójząb (godło niepodległej Ukrainy). Zatrzymaliśmy się, aby bliżej obejrzeć ten pomnik. Jak zawsze wścibski nasz najmłodszy żołnierz, sympatyczny chłopak „Jastrząb”, w mgnieniu oka znalazł się na wierzchołku kopca i zaczął tam szperać w ziemi wyciorem od karabinu. Naraz podniósł krzyk, że namacał coś twardego, że chyba jest tu coś zakopane. Skoczyło do niego jeszcze paru chłopców i zaczęli grzebać, wydobywając z ziemi spore prostokątne pudło, kształtem przypominające trumienkę. Po otwarciu okazało się, że wewnątrz leży pięcioramienna gwiazda z sierpem i młotem, polski wojskowy orzełek oraz duży napis w języku ukraińskim: *Smert Lacham i żydokomuni* (Śmierć Polakom i żydowskim komunistom).

Po drodze sporo spotykaliśmy takich pomników ukraińskiego nacjonalizmu. Na niektórych na wierzchołku kopca stał ogromny prawosławny krzyż. W niektórych zaś zakopane były betonowe małe trumienki, zawsze z czerwoną gwiazdą i polskim orłem. Nieraz obok tych trumienek w porządku zamkniętych i zalakowanych butelkach umieszczano listę nazwisk inicjatorów i organizatorów tych postawionych pomników.

Niemcy za współpracę z nimi pozwalali Ukraińcom stawiać takie pomniki. Ludność ukraińska na Wołyniu niemalże w stu procentach zgodziła się na kolaborację z Niemcami, widząc w nich sprzymierzeńców w urzeczywistnieniu narodowego, niepodległego ukraińskiego państwa.

W trzecim dniu postoju w Pustynce wyznaczono mi służbę w sztabie batalionu. Miałem ją pełnić przez dwadzieścia cztery godziny. Polegała przede wszystkim na czuwaniu przy polowym telefonie. Nudy okropne.

Dowódca batalionu „Gzys” wyjechał ze swoimi przybocznymi na rekonesans na dalekie przedpole zobaczyć co się tam dzieje i co słyszać.

Dobrze, że pojawiła się w sztabie „Lodzia”. Miałem kogoś sympatycznego i miłego do rozmowy. Siedziała ze mną ze dwie godziny, do końca mojej służby. Później pospacerowaliśmy jeszcze trochę po świeżym, rześkim powietrzu i odprowadziłem ją na kwaterę. „Lodzia” była przyjemną, sympatyczną, miłą, kruczowłosą dziewczyną. Wróciłem do plutonu, żeby odpocząć. Rzuciłem się na zaimprovizowane łóżko i zasnąłem. Spałem twardo jak kamień, nie dłużej niż dwie godziny, gdyż obudził mnie „Boston”, oznajmiając, że zostałem wyznaczony na dowódcę patrolu, który udać się ma na rozpoznanie dalekiego przedpola w rejon miejscowości Widźgów i Ziemlica. Wyjedziemy razem z kompanią strzelecką z naszego batalionu i Warszawską Kompanią, które wymaszerują w nocy do Sztunia, my zaś po drodze odłączymy się i pójdziemy w swoim kierunku. Wyznaczono na patrol chłopaków z ceckaemów: „Orla”, „Roga”, „Jastrzębia” i trzech z erkaemem z kompanii strzeleckiej.

Wyruszyliśmy w nocy. Noc widna i pogodna. Pod nogami chrupało i chrzęściło zamrożone błoto i lód. Wokół zupełna cisza. Gdzieś wysoko leciał samolot, dochodziło dudnienie silników. Przed skrzyżowaniem dróg Pustynka – Olesk – Czmykos odłączyliśmy się od kompanii maszerujących do Sztunia. Rankiem byliśmy już w Widźgowie, następnie udaliśmy się do Ziemlicy. Nikogo nie spotkaliśmy, ani nieprzyjaciela, ani też mieszkańców, którzy zapewne przed frontem gdzieś się wynieśli. Dobrze

zmęczeni, wytyłani w błocie, z przemoczonymi butami wróciliśmy w godzinach popołudniowych do bazy. Nareszcie w domu. Chłopcy trzymali dla nas w piecu gorący obiad. Migiem go wtrząchnęliśmy, niektórzy zapalili jakieś skręty i po spełnionym zadaniu, w spokoju ducha, jak najszybciej poszliśmy odpoczywać, gdyż nie wiadomo było, co przyniesie noc we frontowej strefie.

PRIMA APRILIS

Przebudziłem się wcześniej, bo i wcześniej położyłem się spać po powrocie z morderczego patrolu rozpoznawczego. Było może dwadzieścia minut po piątej. Słońce już wzeszło i wesoło zaglądało przez okno, jakby chciało wcześniej rozbudzić śpiących. Trwało jeszcze chwilę, aż się całkiem rozbudziłem. Nie zerwałem się na równe nogi, bo nie było potrzeby. Polegiwałem, myśli goniły jedna za drugą, nie zastanawiałem się głębiej nad nimi, nie analizowałem. Słońce coraz uporczywiej zaglądało przez okno i coraz bardziej przygrzewało. Dochodziło ćwierkanie wróbli i trele szpaka, który usadowił się na starej lipie stojącej obok domu. Leniwie wstałem, wyjrzałem przez okno, zanosilo się na piękny, pogodny dzień. Zapaliłem papierosa i jeszcze na chwilę położyłem się, aby spokojnie wypalić. I właśnie przypomniało mi się, że dziś jest sobota, pierwszy dzień kwietnia. Acha! To przecież prima aprilis. Niechże tradycji stanie się zadość. Trzeba kogoś tradycyjnie wprowadzić w błąd. Szybko ubrałem się i donośnym głosem zacząłem krzyknąć: „Pobudka! Wstawać! Alarm! Alarm!”. Wszyscy zerwali się na równe nogi. „Bostonowi” powiedziałem, że wzywa go do sztabu dowódca batalionu – uwierzono w alarm i „Boston” też. Za chwilę jednak wszystko się wyjaśniło. Chłopcy trochę mi złorzeczyli, bo wyrwałem im ze dwadzieścia minut snu, ale dowiedziawszy się, że dziś jest prima aprilis uspokoili się. Później jeszcze nabraliśmy dziewczyny, że przypadkowo postrzelił się Władek „Szynka”. „Lodzianki” i Nela omal nie wyzionęły ducha, tak pędziły z drugiego końca wsi, aby zrobić jak najszybciej opatrunek. Później śmiały się razem z nami. Mieliśmy trochę śmiechu i uciechy w tym dniu. Ale to wszystko nic. Pod koniec dnia dowiedzieliśmy się, że podobno Niemcy zrobili nam świetny kawał, jakby aprilisowy, który dopiero pozwolił nam się do woli śmiać. Otóż Niemcy widocznie zbagatelizowali naszą obecność, posuwali się w kierunku Sztunia, puszczając przodem bez żadnego ubezpieczenia swo-

je tabory wyładowane bronią, amunicją, żywnością, sprzętem radiotechnicznym, które wpakowały się do Sztunia zajętego przez nasze oddziały. W ten sposób bez żadnych strat zdobyto trzydzieści dwa wyładowane wozy taborowe, konie i kilkunastu jeńców. To dopiero był pamiętny prima aprilis. Nie wiem, ile w tym prawdy.

Prawdą jest natomiast, że w Sztuniu prowadził ciężkie walki batalion „Sokoła”, „Korda”, Kompania Warszawska i niektóre pododdziały „Bomby”. Istotnie, nocą z 3 na 4 kwietnia Niemcy z taborami weszli do Sztunia. Stoczono bój i nie obyło się bez strat.

WALKA O CZMYKOS I SZTUŃ

O świcie 2 kwietnia nasze oddziały wyrzucone na dalekie przedpole zetknęły się z nieprzyjacielem, który usiłował oczyścić oś marszu i ubezpieczyć się z kierunku południowego. Batalion „Korda” stacjonujący w Zamłyniu i batalion „Sokoła” w Czmykosie stoczyły zaciętą walkę z nacierającymi oddziałami Ski-Jäger-Brigade. Niemcy byli zaskoczeni siłą uderzenia. Obie miejscowości zostały utrzymane.

Nieprzyjaciel poniósł straty: dwunastu zabitych i trzydziestu siedmiu jeńców. Zdobyto dziewięćdziesiąt siedem kabe, osiem cekaemów oraz biedki amunicyjne. Nasze straty to pięciu zabitych i jedenastu rannych.

Następnego dnia, pomimo poniesionych strat, oddziały Ski-Jäger-Brigade ponownie usiłowały nacierać, lecz znów zostały zatrzymane przez batalion „Sokoła”. W ciągu nocy Niemcy obsadzili lizjerę lasu na północ od Sztunia. Dowódca batalionu „Sokół” zdecydował się uderzyć na nieprzyjaciela przed świtem kompanią dowodzoną przez porucznika „Motyla”. Uderzenie zaskoczyło Niemców na biwaku. Początkowo stawiali dość silny opór, jednakże brawurowe uderzenie na bagnety, opór ten przełamało. Niemcy wycofali się w nieładzie, zostawiając na polu bitwy osiemdziesięciu jeden zabitych. Trzydziestu wziętych do niewoli. Odbito sześciu radzieckich żołnierzy. Zdobyto siedem erkaemów, jeden cekaem, cztery moździerz osiemdziesięciopjednomicymetrowe, sześćdziesiąt kabe, kilkanaście wozów i kuchnię polową.

Straty własne to ośmiu zabitych i sześciu rannych. Z kampanii strzeleckiej z batalionu „Gzymśa”, z którą dwa dni wcześniej wyruszyłem na patrol, zginął plutonowy „Zagłoba”, dzielny i nadzwyczaj odważny, oraz dwóch żołnierzy, których nazwisk ani pseudonimów nie znam. Kompania ta wraz z Kompanią Warszawską brała udział w walkach w rejonie Sztunia i Czmykos. Ci trzej żołnierze bronili placówki w tym rejonie, a będąc bezustannie atakowani przez nieprzyjaciela, zostali zmuszeni do wycofania się i zajęcia dogodniejszej pozycji obronnej.

Zajęli ją w wiejskiej na wpół rozwalonej chacie w pobliżu przysiółku. W następstwie toczącej się walki zostali odcięci od swoich. Przez dłuższy jeszcze czas dzielnie się bronili, aż zamilkł ich erkaem. Zabrakło im amunicji. Wtedy nastąpiły trzy głuchoe wybuchy. Wszyscy trzej ponieśli śmierć, rozrywając się własnymi granatami, nie chcąc dostać się do niewoli. Już o tym wspominałem. Nie mogliśmy decydować ranni ani ewakuowani. Nie mogliśmy decydować się na niewolę, gdyż czekała nas niechybnie śmierć. Niemcy nie patyczkowali się z partyzantami.

Zdobyliśmy dwa empi, tak zwane górskie, i dużo amunicji do nich, trzy kabeki. Wzięto do niewoli trzech jeńców, których odprowadzili „Szynka” i „Dąbek” (znał doskonale język niemiecki). Poza tym, zdobyto dwa wozy taborowe, a na nich: papierosy Juno, kilka par butów i kilka mundurów, trochę tytoniu i bibułka papierosowej, trochę konserw mięsnych, które w tym czasie najmniej nas interesowały, ponieważ mieliśmy duże własne zapasy żywności.

Władek „Szynka” stał się posiadaczem świetnej skórzanej kurtki z dystynkcjami oficera SS z pancerdywizjonu „Wiking” nawet z Żelaznym Krzyżem, w której od tego czasu paradował, oczywiście bez dystynkcji i „rycerskiego odznaczenia”.

W nocy 4 kwietnia batalion „Sokoła”, wciąż jeszcze trzymający się w Sztuniu, wsparty został Kompanią Warszawską, jedną z baonu „Gzym-sa”, dowodzoną przez podporucznika „Bartka”, przybyłego parę dni temu do batalionu, i częścią baonu „Korda”. Reszta batalionu „Gzym-sa” zabezpieczała dojścia do Mosuru, Pustynki i Władynopola.

Z samego rana 5 kwietnia Niemcy ponowili uderzenie na Szuń. Po silnym ostrzale artyleryjskim pojawiły się samoloty ostrzeliwujące z broni pokładowej i bombardujące. Niemcy atakowali głównie nasze prawe skrzydło. Toczyła się zażarta walka. Trudno utrzymać stanowiska. Niemiecki manewr udał się, tym bardziej że wykorzystali wiosenną śnieżną zadymkę. Zepchnęli nas przeważającymi siłami wspartymi czołgami. Na skrzydle broniła się jeszcze kompania „Bartka” i Kompania Warszawska. Znowu niemieckie natarcie.

„Bartek” chciał poderwać kompanię do przeciwnatarcia. Już z jego ust miała paść komenda „naprzód”, gdy tuż obok niego zaterkotał karabin maszynowy, zresztą z jego własnej kompanii. „Bartek” stał jak posąg z otwartymi ustami. Zaniemówił. Załamał się. Nerwy, napięte do ostatnich granic wytrzymałości, puściły. Pod naporem rozwijającego się niemieckiego natarcia kompania się wycofała.

Nie wytrzymała natarcia również Kompania Warszawska. Polegli żołnierze: „Walka” (Jan Swoboda) i „Aryman” (Ryszard Pośniak). Obronę naszą zepchnięto i opuściliśmy Sztuń.

Jeszcze o tragedii „Bartka”. Ci, którzy go znali dłużej i bliżej opowiadali, że był to odważny i dzielny żołnierz. Brał udział w wielu akcjach w Warszawie, a także na Wołyniu. Teraz zupełnie się rozkleił. Dygotał jak liść osiki na każdy odgłos strzału. Ludzkie nerwy też mają granicę wytrzymałości.

Kiedy prowadziliśmy ciężkie walki o Sztuń i Czmykos, do sztabu dywizji we Władynopolu przyjechał dowódca radzieckiego oddziału partyzanckiego major Karasiow z prośbą o ułatwienie jego oddziałowi przeprawy na zachodni brzeg Bugu. Przeprawa w Bindudze była w naszych rękach. Obiecano przygotować przeprawę na wieczór, a oddział chwilowo skierowano na postój w rejon leśniczówki Murawa. Oddział liczył tysiąc ludzi i sto dwadzieścia wozów.

Wysłano wspólny patrol za Bug w celu rozpoznania. Ściągnięto z ukrycia pływający most i wszystko przygotowano do przeprawy. Wieczorem rozpoczęła się akcja, zakończona – z uwagi na małą nośność mostu – dopiero nad ranem następnego dnia.

Z kolei 6 i 7 marca przeproważyły się jeszcze inne oddziały partyzantki radzieckiej. Ten wzmożony ruch radzieckich oddziałów partyzanckich na zachód wskazywał, że w najbliższym czasie ruszy ofensywa radziecka, która nie zatrzyma się na Bugu, lecz pójdzie dalej.

W ciągu następnych trzech dni na naszym północnym odcinku bez większych rewelacji, raczej spokój. Prowadzimy intensywne rozpoznanie. Małe utarczki patroli. Często natomiast pojawiają się samoloty zwiadowcze, najczęściej dwukadłubowe, typu FW-189 zwane Ramą. Widocznie Niemcy, zaskoczeni nieprzewidzianym oporem polskich oddziałów, podciągają posiłki.

Na przedpolu w Czmykosie nie było spokoju. Tam walczył baon „Jastrzębia”, który 8 marca nocą wycofał się przez zajmowaną przez nas Pustynkę.

Baon „Gzymśa” stał niejako w odwodzie w Pustynce. Ale podobno z odcinka południowego „Garda” meldował, że u niego niespokojnie, 7 kwietnia na jego przedpolu pojawiły się nieprzyjacielskie czołgi, które po małej utarczce zostały odrzucone. Liczył na własne siły, a duch wśród żołnierzy panował wspaniały.

REZUREKCJA I ZRZUT

Te trzy dni były w miarę spokojne, prawdziwie wiosenne. Wieczory i noce jeszcze chłodne i z przymrozkami.

Był 8 kwietnia. Wielka Sobota. Na naszym odcinku frontu było spokojnie. Dzień wstawał słoneczny. Skowronek wyśpiewywał radosne trele, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż pod błękit niezmaconego nawet najmniejszą chmurką nieba. Od samego rana odczuwaliśmy jakiś świąteczny, uroczysty nastrój. Być może nastrajał tak zapach wiosennego, czystego, niczym nieskażonego powietrza. A może dlatego, że mistrzowie kuchni z plutonu cekaemów przygotowywali różne smakołyki z rzewuskich zapasów na święto wielkanocne.

Aż podniebienie łechce i ślina leci od unoszonych się kuchennych zapachów, bigosu, pieczonego mięsa i kur. Piekli nawet babkę świąteczną, do której dodano zamiast drożdży spreparowany ze zwykłego chmielu koncentrat, według technologii znanej chyba tylko kucharzom. Przygotowywali także świąteczne jajka-malowanki, gotując je w łupinkach z cebuli, również „święcone”, które poświęci się podczas rezurekcyjnego nabożeństwa. We Władynopolu w siedzibie sztabu dywizji wieczorem będzie rezurekcja.

Nie na wszystkich jednak odcinkach naszego frontu panował spokój i przedświąteczny nastrój. Niemieckie lotnictwo bombardowało zgrupowanie „Gardy”, w wyniku czego ponieśliśmy straty.

Nie wiadomo jeszcze z jaką jednostką, w każdym razie nie z naszymi starymi znajomymi z Ski-Jäger-Brigade. Wyglądało, że Niemcy podciągnęli już nową dywizję piechoty.

W Pustynce jeszcze spokój. Może uda nam się spokojnie prześwitować. Dzisiaj byłem u „Lodzi”, zaprosiłem ją, Helenę, „Drwala”, Nelę, Jadzię, „Mazurka” do nas na jutrzejsze wielkanocne święto.

Po zapadnięciu zmroku, kapelan „Prawdzie” rozpoczął w asyście ministrantów celebrację rezurekcji przy nowo zmontowanym jeszcze

w dzień polowym ołtarzu na ganku jednego z budynków we Władynopolu. Przed ołtarz ściągnęło sporo żołnierzy, lecz większość nie mogła być na nabożeństwie. Byli bądź na pozycjach, bądź w patrolach rozpoznawczych.

Nabożeństwo rezurekcyjne, chociaż uroczyste, odbywało się niemalże bez świateł. Chłopcy z kompanii łączności oświetlili ołtarz kilkoma żaróweczkami, podłączając je do gdzieś wcześniej wykombinowanego akumulatora. Resztę uroczystej oprawy dopełniały księżyc i niebo z milionem gwiazd. W tej nocnej, niczym niezmaconej ciszy słychać było szept modlitw i dźwięk dzwoneczków.

Nagle usłyszeliśmy dalekie buczenie samolotu. Dziwne było, nie takie, które znaleźmy z nalotów. Zrazu dalekie, stawało się coraz bliższe i wyraźniejsze. Obecni na rezurekcji zadarli głowy. W górze zamigotały światelka. I z ziemi odpowiedziała mruganiem świateł nieopodal wystawiona placówka zrzutowa. Czyżby miał to być oczekiwany zrzut, tyle już razy zapowiadany? Nie! Chyba nie! Samolot nadleciał i poleciał dalej. Rozczarowanie.

Ale nadleciał następny, przyjaźnie mrugając światłami. I znów nic. Zatoczył koło i odleciał. Za chwilę znów usłyszeliśmy warkot silników. Prosto na nas leciał samolot, mrugając pozycyjnymi światłami. Znów placówka odpowiedziała światłami.

Tak! To nasze samoloty przyleciały gdzieś z dalekiej słonecznej Italii, pilotowane nadludzkim wysiłkiem załóg pokonywujących olbrzymie odległości nad wrogiem terytorium z artylerią, reflektorami, zaporami balonowymi.

Samolot obniżył lot. Zobaczyliśmy na ciemnym tle nieba, jak białe ogromne pióropusze, spadochrony, jeden za drugim opadały coraz niżej, wreszcie majestatycznie, lekko falując, wylądowały.

Samolot zrobił jeszcze pół koła, na pożegnanie pomrugał światłami i zniknął w mroku nocy, zabierając z sobą jednostajne buczenie silników.

Za chwilę nadleciał następny. Obniżył lot, pojawiło się dwanaście spadochronów. I znów samolot na pożegnanie pomrugał światłami i zniknął w ciemnościach nocy.

Żołnierze z placówki zrzutowej ściągali rozrzucone po polu spadochrony z zasobnikami. Było w nich sporo amunicji, granatów, trochę mundurów i butów oraz radiostacja. Było sporo broni krótkiej, ale mało peemów, rusznic przeciwpancernych i amunicji do nich. Otrzymaliśmy

trochę środków opatrunkowych i lekarstw. Niestety, to wszystko kropla w morzu naszych potrzeb.

Z wysłanych sześciu czteromotorowych dużych maszyn cel osiągnęły tylko dwie. Gdzieś daleko, w eskadrach polskiego lotnictwa odczytany zostanie rozkaz dzienny, że nie powróciło do bazy tylu lotników i tyle maszyn, których celem był zrzut dla partyzantów w dalekiej ojczyźnie.

Dla nas słowo zrzut było otuchą, radością, obietnicą. Dla załóg samolotów zrzut był wielkim, nadludzkim wysiłkiem. Razem to słowo oznaczało wspólną walkę i żołnierską solidarność.

BÓJ O PUSTYNKĘ

O świcie 9 kwietnia wyrwały nas ze snu detonacje rozrywających się niedaleko bomb i ostre długie serie karabinów maszynowych. Był pierwszy dzień Wielkanocy. Zerwaliśmy się na równe nogi i podążyliśmy na wcześniej przygotowane stanowiska obronne na skraju wsi. Nie mieliśmy żadnych umocnień, z wyjątkiem jednego bunkra u wylotu wsi. Byliśmy słabo okopani.

Niemcy prowadząc z nami przez kilka dni walki i rozpoznanie, zorientowali się w ewentualności manewru dywizji i rozpoczęli o świcie – wspierane artylerią, czołgami i lotnictwem – natarcie na: Stawki, Staweczki, Owłoczyn, Pustynkę, Ziemlicę, Zamłynie na przestrzeni trzydziestu kilometrów.

Tkwiliśmy na stanowiskach od paru godzin. W Pustynce jeszcze spokój, ale wiedzieliśmy, że niebawem i u nas będzie niewesoło. Zamiast wesołego alleluja usłyszymy gwizdy artyleryjskich i lotniczych bomb spadających na nasze głowy. Artyleria niemiecka prażyła na Stawki, Staweczki i Owłoczyn, aż ziemia dudniła. Temu dudnieniu i wybuchom bomb wtórowały niekończące się serie broni maszynowej. Na naszym lewym skrzydle słychać wycie samolotów i także wybuchy bomb. W oddali było widać parę pożarów. Psiakrew, niewesoło zapowiadają się święta. Diabli wzięli nasze przedsięwzięte przygotowania. Tyle smacznych rzeczy. Dziewczyny przecież także były zaproszone do cekaemów na dzisiejsze święto. I nici z tego wszystkiego. Nagle, podczas tych rozmyślań i złorzeczeń targnęło powietrzem. Wycie, gwizd, furkot i jak obuch olbrzymiej siekiery spadł na ziemię pocisk. Teraz co kilka sekund z wyciem, furkotem i sykiem leciały nad naszymi głowami pociski. Nieprzyjaciel silnym ogniem artyleryjskim ostrzeliwał nasze stanowiska, przenosząc ogień w głąb wsi, którą ostrzeliwał pociskami zapalającymi. Brzęczały szyby, wypadały całe okna. Pałiło się kilka budynków. Bez przerwy rozlegały się ogłuszające wybuchy.

Grzmot dział, świst pocisków i odłamków rozdzierał powietrze. Z naszego naprędce wykopanego okopu wyskoczyliśmy z cekaemem do przed chwilą wyrwanego przez ciężki pocisk leju. Ten okop pewniejszy niż poprzedni. Przez łąki wychodziło natarcie niemieckiej piechoty. Ogień artyleryjski nie malał, a jeszcze się nasilał. Żołdacy z Nadrenii, Saksonii, Bawarii czy Prus Wschodnich nacierali powoli i ostrożnie. Widać było ich tłuste, czerwone gęby, zrosnięte ze stalowymi hełmami ciężko nasuniętymi na czoła. Hełm i karabin odcinają ich od przeszłości, od pracy na roli czy w fabryce, czyniąc z nich maszyny do wykonywania hitlerowskich rozkazów, niewielu prostych czynności: maszerowania, czołgania się, strzelania i zabijania. Silnym ogniem z broni maszynowej i granatników przechodzimy do kontrnatarcia. Poderwaliśmy się ze stanowisk z okrzykiem hura! Biegniemy i strzelamy z kaemów, automatów, kabeków. Ktoś się potknął, może ranny? Ktoś upadł, może jednak nie zabity. Nieustanny huk dział, grzmoty i wycie pocisków zlewają się z jazgotem broni maszynowej i okrzykami hura!

Niemieckie natarcie zatrzymało się i jakby przycichł ogień artyleryjski, lecz za chwilę zerwał się wzmożoną falą. Niemcy cofali się w kierunku czmykoskich chutorów. Znów targnęło powietrzem, zawyło i wstrząsnęło, a rzeka żelaza i ognia przewalała się przed nami. Nerwy napięte do granic wytrzymałości.

Huraganowy ogień zaczął znów przycichać i wreszcie zamilkł. Czy na długo? Nie wiadomo...

Poczułem ssanie w dołku, chciałoby się je stłumić dymkiem papierosa. Zapytałem „Szynkę”: „Władek, masz tytoń i kawałek suchej bibuły, bo moja jak ja jest mokra i wytyłana w błocie”. Podał mi kawałek grubej bibuły i pudełko z tytoniem.

Przeszło dwie godziny był spokój. Można przynajmniej zapalić papierosa, rozprostować kości i otrzepać siebie z brył błota.

Dopalały się płonące budynki, w powietrzu czuło się swąd pogorzeliisk.

Skądś nadleciał i w promieniach wiosennego słońca zawisł nad nami skowronek. Zwiastun ciepła, radosnej wiosny, nowo budzącego się życia. Wznosił się, to znów opadał, śpiewa jakby nic a nic go nie obchodziło, co tu się działo i co za chwilę może będzie się dziać. A może swoim wesołym i radosnym śpiewem chciał nam dodać otuchy do walki?

Nagle zamigotało niebo, jakby odbijał się w nim potężny wybuch wulkanu. Znów gejzery ognia i wybuchy. Na łąkach od strony Czmykos

zobaczyliśmy tyralierę niemieckiej piechoty. Ponownie nacierali wspomagani nawałą ognia artyleryjskiego i ciężkiej broni maszynowej.

Kontratakowaliśmy z większą brawurą niż poprzednio. To drugie natarcie w dniu dzisiejszym. Artyleria jeszcze przez kilka minut strzelała do nas, wreszcie zamilkła.

Słychać głośny jęk naszego żołnierza. Poza tym cisza. Nie wiadomo jednak, jak długo. Mijały minuty, parę godzin, jest spokój.

Ochłonęliśmy z gorączki walki. Może wreszcie szwaby zaczną świętować Wielkanoc. Zaczęliśmy opowiadać o swoich całodziennych przeżyciach. Dla wielu był to dzień chrztu bojowego, prawdziwej wojny. Mówiliśmy o strachu, walce i odwadze naszych dowódców, którzy już wcześniej, a i później niejednokrotnie dawali przykłady odwagi i bohaterstwa.

Któryś z chłopaków skoczył nieopodal do naszej kwatery, która do tej pory jeszcze stała, chociaż trochę poszatkowana. Przyniósł spory koszt świątecznych wiktuałów. Pożywiliśmy się, żartowaliśmy i dowcipkowaliśmy. Mieliśmy świetne apetyty. Smakowały nam te świąteczne dania. Paliliśmy papierosy. Cały czas byliśmy na pozycji wyczekującej nieprzyjacielskiego natarcia.

W tym czasie chłopcy z Kompanii Warszawskiej – „Podkowa” i „Tadeusz” – zaminowali most na przedpolu Pustynki. A „Andrzej” i „Pokrzywa” wysadzili most w Ziemiicy.

Był 10 kwietnia. Zanosilo się na pogodny i słoneczny dzień. A czy tak bitewny jak poprzedni? Było już około godziny dziesiątej. Na razie spokój, ale nie na długo. Z dala dało się słyszeć charakterystyczny warkot i chrzęst czołgów. Przed nami były podmokłe łąki, poprzeorywane kanałami odwadniającymi. Czołgi przez tę łąkę, szczególnie w okresie wiosennych roztopów, nie przejdą. Ale była grobla ciągnąca się przez podmokłe łąki aż do opłotków Pustynki, na niej niezniszczony nieduży most. Zastanawiałem się, dlaczego nasi saperzy nie wysadzili go. Przecież był zaminowany.

Ktoś powiedział, że nie zniszczono mostu, gdyż spodziewano się, że od Czmykos wycofywać się będzie batalion „Sokoła”, a poza tym nam także mógł się jeszcze przydać, przecież liczyliśmy się z tym, że będziemy prowadzić walkę nie tylko obronną.

Za podmokłymi łąkami z zarośli wyłoniły się ogromne cielska czołgów z czarnymi krzyżami: pierwszy „Tygrys”, za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty... Za nimi piechurzy. Ale i czołgi, i piechurzy nie śpieszyli się. Zachowywali dużą ostrożność. Czołgi poruszały się gęsiego, równolegle

do naszych pozycji. Ale to pozorne, nie mogli nacierać wprost przez rozmokłe łąki. Wiedzieliśmy, że dojdą do grobli i zmienią kierunek. Nie strzelaliśmy, byli za daleko dla skutecznego ich ostrzału. Jednakże wieżyczki na czołgach, z których wystawały jak ryje lufy armatnie, obracały się powoli i parskały na nas ogniem.

Odezwała się znów niemiecka artyleria i ostrzeliwała nasze pozycje, wprawdzie nie huraganowym, a nękającym ogniem i zapalającymi pociskami, wzniecając w Pustynce znów parę pożarów. Tymczasem czołgi dotarły na wysokość grobli, zrobiły zwrot w lewo, wjeżdżając na nią i zaczęły nacierać, piechota w szykach luźnych po obu stronach grobli także nacierała, dając się wyprzedzić czołgom. Zbliżała się do mostu.

Odezwały się nasze kaemy i broń ręczna. Cekaemy strzelały, aż się zachłystywały. Chcieliśmy piechotę odciąć od czołgów.

Zajechały i ustawiły się nasze pepance i szybkim, lecz niezbyt celnym ogniem biły raz za razem.

Nagle od strony zabudowań na skraju wsi ktoś biegł w kierunku mostu. Wyteżyłem wzrok, chciałem rozpoznać, kto to pędził. Wprawdzie sylwetka mocno pochylona, ale widać, że chłopak rostry. Chwyciłem lornetkę... Zdaje się, że to Karol Szmidt, obserwator dowódcy batalionu. Tak, tak! To on. To Karol tak sadził susy jak jeleń. Od ostatnich zabudowań Pustynki do mostu było około trzystu metrów. Wtem „Tygrysy” zatrzymały się. Załoga czołgu ze zdziwieniem patrzyła na biegnącą na wprost postać, ale już za chwilę strzelała ze swoich kaemów. Karol przywarł do ziemi. Czołgał się wzdłuż skarpy grobli. Czołg ponowił ogień, ale Karol znalazł się już w martwym polu i zniknął pod mostkiem. Uklękawszy, nerwowymi ruchami coś majstrował. Zapalił zapewne lont, sznur Bickforda, aby wysadzić most, który już wcześniej został zaminowany. Wychylił się spod mostku i ruszył pędem w kierunku swoich. Znów zaterkotał z kaemów najbliższej stojący czołg, biegnący padł, zerwał się, znów padł i zerwał się. Cały wrócił do swoich. Ale dlaczego do tej pory nie nastąpiła eksplozja, a mostek jak stał tak stoi. Może zgasł lub się nie zapalił sznur Bickforda? Czołgi znów ruszyły. Nasze pepance nie próżnowały. I oto jeden czołg, trzeci z nacierających zatrzymał się, wykonując raptowny skręt. Chyba dostał w gąsienicę. To poczęstunek naszych pepanców. Brawo!

Działkami pepanc dowodził plutonowy „Długi” (Franciszek Chodorowski).

Z trafionego czołgu wyskoczyły postacie w czarnych kurtkach, pochyliły się i na klęczkach próbowały majstrować przy gąsienicy. Ale „Batory” (Jan Barabasz), celowniczy maksima, zaczął ich łaskotać rojem bzykających kul. I tak się wziął na te tygrysiątka, że woda w chłodnicy zaczęła się gotować. Można by zaparzyć herbatę, lecz nie mieliśmy ani herbaty, ani czasu, chociaż dobrej herbaty byśmy się napili. Niemiłosiernie stebnował nasz „Batorzysko”, raz przy razie wokół czołgu, aż ziemia przyskała. Przykuł pancerniaków do ziemi i nie pozwalał im nawet ręką ruszyć. A na lizjerze wsi stał trafiony „Tygrys”, duma i szczyt niemieckiej techniki. Studwudziestomilimetrowej grubości pancierz, armata kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów. Silnik przeszło sześćset koni mechanicznych. Karabiny maszynowe, czterech grenadierów pancernych, na pewno niejednokrotnych zwycięzców, zaskoczonych i zdziwionych, że „bandyci” o gorących sercach i płonących oczach śmieli to cudo techniki ustrzelić. Oni, panowie podbitej Europy, zmuszeni zostali do ucieczki jak szczury z tonącego okrętu. A gdyby jeszcze wiedzieli, że ustrzelono owe cudo z przeciwpancernej armatki bez celowniczych przyrządów, celowano tylko po lufie, to jeszcze bardziej zrzędyłyby im miny.

Natarcie na razie zatrzymało się. Widać trzy postacie w mundurach feldgrau. Zbliżyły się pod osłoną czołgów do mostu i chyba rozbrajały z założonych min. Teraz pierwszy czołg strzelał z działa raz i drugi, i ruszył do przodu. Za nim drugi, czwarty, piąty. Trzeci jednak wypadł z szyku i został uszkodzony. Za czołgami wysypała się na łąkę piechota, formując tyralierę, ostro natarła. Grały nasze kaemy, strzelały działka i granatniki, jazgotały zajadle peemy.

Na widok zbliżających się czołgów oraz zmasowanego ostrzału artyleryjskiego i broni maszynowej nasz mało jeszcze doświadczony żołnierz jest mało odporny. Szczególnie peszyły go nacierające czołgi, do których strzelał ze swej nędznej w sumie broni w dziesięcio-, dwunastocentymetrowy pancierz, co wzniecało jedynie na stali czołgu iskierki. Zaczęła się wkradać panika, ale „Gzys” dał przykład i – wyprostowany jak na defiladzie, strzelając z peemu – parł do kontrataku, podrywając żołnierzy, krzycząc: „Chłopcy naprzód! Oderwiemy piechotę od czołgów, a czołgi bez piechoty nie pójda! Tylko spokojnie chłopyyyy... naprzód!”

Nienawiść, chęć zemsty i przykład dowódców kazały broniącym się przejść do kontrnatarcia. Słysząc wybuchy ręcznych granatów i gromkie huraaa!!!

Doszło do walki wręcz, prawie na noże, a tego już Niemcy nie lubili. Piechotę nieprzyjacielską, która bezładnie wycofała się, zostawiając paru zabitych, odcięliśmy od czołgów. Mieliśmy i my rannych i zabitych. Czołgi jednak parły naprzód, biły z dział i kaemów. Wieś znów zaczęła płonąć.

Czołowe pododdziały nie wytrzymały nacisku czołgów i zaczął się odwrót opłotkami wsi. „Gzyms” znów opanował szybko sytuację. Niemiecką piechotę trzymaliśmy w szachu, a czołgi były już we wsi.

Podpaliliśmy parę budynków, aby zagroziły czołgom drogę. Do wycofujących się czołgów niezbyt celnie posyłałami pocisk za pociskiem.

W tym czasie, gdy na Pustynkę ruszyło już czwarte niemieckie natarcie, z podstaw wyjściowych od Władynopola ściągnął batalion „Jastrzębia” i silnym uderzeniem natarł na skrzydło nacierających Niemców, wspierając ze skrzydła nasze przeciwuderzenie. Natarcie niemieckie znów się załamało. Po raz czwarty Niemcy wycofują się z Pustynki. Batalion „Jastrzębia” obsadził nieduże wzgórze leżące między Pustynką a Władynopolem.

I tym razem Pustynki Niemcy nie zdobyli. Dokąd będzie to celowe i możliwe, Pustynki nie można oddać, gdyż otwierałoby to Niemcom drogę na Mosur, wprost do środka naszego zgrupowania, a więc na nasze tyły, gdzie znajdował się przecież połowy szpital ze stukilkudziesięcioma rannymi oraz kwatermistrzostwo.

Wprawdzie Pustynkę utrzymaliśmy, ale wiedzieliśmy, że Niemcy nie dadzą tak łatwo za wygraną.

Było południe. Zamglone słońce skłaniało się ku zachodowi. Wokół czuło się zapach prochu, spalenizny i nagrzaną promieniami wiosennego słońca ziemi.

Otrzymałem rozkaz, aby z jednym cekaemem wysunąć się do przodu i obsadzić istniejący jeszcze na lizjerze wsi bunkier.

Zajęliśmy stanowisko w bunkrze. Było nas siedmiu: „Jastrząb”, „Batory”, „Wołyniec” (M. Lipiński), „Oko” (Karpicki), Danek Zieliński, „Orzeł”. Rozmawialiśmy i obserwowaliśmy przedpole. Pożywialiśmy się i paliliśmy papierosy. Od wczorajszej kolacji nic nie jedliśmy.

Na przedpolu pojawił się niemiecki patrol. Trzy postacie coraz bardziej zbliżały się ku mostkowi. Mieliśmy je na celowniku, ale były jeszcze za daleko. Szły ostrożnie. Niech podejda bliżej. Wysłano na pewno saperski patrol, żeby stwierdził, w jakim stanie był mostek. Był zwiastun następnego natarcia. Niemcy krok za krokiem zbliżali się do mostu. Szli

po naszej stronie grobli, a więc dobrze już ich widzieliśmy i mieliśmy dobry ostrzał. Dopuściliśmy ich bliżej mostku. Widziałem ich przez lornetkę jak na dłoni. No... teraz... „Batory” wal! Psia ich mać! „Batory” ujął w swoje silne dłonie tylce maksima i nacisnął na spust. Gruchnęła długa seria, druga, trzecia... Niemcy przywarli do ziemi. Nie podnosili się. „Batory” stebnował to miejsce. Przerwał. Dwie postacie zerwały się. „Batory” znów posłał serie a i chłopcy z kabeków pomagali. Znów tych dwóch padło. Czołgali się, chcieli przeskoczyć na drugą stronę grobli, tam mniejsze pole rażenia. Jeden się zerwał i jednym susem znalazł się po drugiej stronie grobli. Ten, który został nie poruszał się. Może ranny lub zabity. Ale „Batory” zawzięcie strzelał wokół niego. Jednemu na pewno udało się ująć z życiem. Zamelduje, że „polscy bandyci” bronią dostępu do mostu i ostrzeliwiają z niedaleko położonego bunkra. Poda współrzędne naszego stanowiska, a artyleria zacznie macać, aż nas wykurzy.

Minęła niecała godzina, aż naraz rozległ się huk, wycie, błysk, grzmot, fontanna ziemi, świst odłamków. Pocisk rozerwał się może pięćdziesiąt metrów w bok od naszego bunkra. Parę następnych przed nami lub za nami. Acha! Niemcy na razie wstrzeliwali się jednym działem, chcąc zniszczyć dobrze widoczne dla obserwatora nasze stanowisko ogniowe i bunkier. Powiedziałem: zmieniamy chłopcy stanowisko. Tu obok, może czterdzieści, pięćdziesiąt metrów jest głęboki i duży pobombowy lej i jakieś cztery metry od niego drugi. Wymarzone stanowiska, lepsze jak w tym bunkrze. Jeden skok i już mamy nowe lokum, dziewicze, przez nikogo dotąd nie zamieszkałe. Jeszcze parę wybuchów i jeden z nich zerwał narożnik bunkra. Wyleciała w górę ziemia i kilka potrzaskanych bali. Zaraz za tym wybuchem cztery, jeden za drugim, wszystkie ułożowane w bunkrze. Po bunkrze został ogromny dół i wokół poszarpane odłamkami bale i rozrzucona ziemia.

Nagle gruchnęła kanonada. Artyleria biła z paru dział. Trwała dwie, trzy minuty. Przerwa, jeszcze kilkanaście razy. Wokół naszego stanowiska dudniło od bliższych i dalszych wybuchów. Przyszła mi taka myśl do głowy, co by było, gdyby pocisk trafił w nasz lej. Przecież to takie proste... Ale ludzie w takich chwilach często myślą o różnych rzeczach. Czasami o ważnych, czasami o nieważnych, a czasami kolejno o jednych i drugich. Nieraz swobodnie pozwalają płynąć myślom, a nieraz myślą o tym, co mogłoby zagłuszyć strach. Nie powstrzymałem swoich myśli, chociaż cały czas obserwowałem przedpole. Zaswędziała mnie głowa. Zdjąłem czapkę.

Nagle ogłuszający wybuch i fontanna czarnej mokrej ziemi spadła na nasz lej i moją głowę. Ostrożnie jej dotknąłem, żeby się przekonać, czy to tylko czarna maź, czy może znalazł się tam odłamek. Znow pomyślałem, że już kiedyś byłem ranny w głowę i też tak to mniej więcej wyglądało. Myśli moje przerwały jednak następne blisko wybuchające pociski, z których jeden koniecznie chciał zbłądzić i trafić w nasz lej. Znow zasypało nas mokrą ziemią i błotem. Jeszcze kilkanaście pocisków i kilkanaście wybuchów wokół nas i ogień wyraźnie zaczął się przesuwac w głąb wsi, którą dla odmiany znow zaczęli ostrzeliwać zapalającymi. Jeszcze z poprzedniego ataku dopalały się w promieniach zachodzącego słońca zagrody, a już nowe pożary trawiły nowe budynki. Z trzaskiem i łomotem zapadały się dachy, a miliony iskier unosiły się ku szarzącemu niebu. A my wciąż sterczeliliśmy na naszym stanowisku. Zaczynał zapadać mrok. Wraz z nim mroku zamilkła kanonada. Nadchodziła wymarzona noc, bo może w nocy dadzą nam spokój.

Poczułem głód nikotyny. Ech! Zapaliłbym papierosa, żeby porządnie zaciągnąć się dymkiem. „Batory” jakby wyczuł moje pragnienie i zaczął wywracać, nicować swoje kieszenie, wysypywać i wytrząsać z nich na dłoń resztki tytoniu. Chłopak także chciał się zaciągnąć. Z przyzwyczajenia, dla zachowania ostrożności, paliliśmy w rękawie.

Z nastaniem nocy zapanowała cisza. Ustaliłem dla chłopaków kolejność drzemki, oczywiście pod warunkiem, że ze strony nieprzyjaciela nie będzie żadnego zakłócenia spokoju.

Po stronie niemieckiej wzlatywały rakiety. Być może puszczały je z nudów.

Noc była spokojna.

WSPÓLDZIAŁANIE Z ARMIĄ RADZIECKĄ

Na przedpolu Pustynki 11 kwietnia od rana słaby nacisk nieprzyjaciela. Natomiast niemieckie lotnictwo było bardzo czynne. Co i rusz nad naszymi ugrupowaniami zjawiały się sztukasy w kluczach od trzech do dziewięciu maszyn i bombardowały z lotu nurkowego. Daleko na horyzoncie pojawiła się eskadra sztukasów... Jeden, dwa, pięć, dziewięć, leciały z północy na południe. Naraz oderwały się trzy i leciały ku nam. Były nad nami, a prowadzący ją jastrząb rzucił się do pikowania, spadając z przeraźliwym wyciem. Wydawało mi się, że spadał wprost na mnie i eskaem. Zobaczyłem pod kadłubem trzy bomby, jedną dużą pośrodku i dwie mniejsze po bokach, i jak żądła lufy karabinów maszynowych. Nie wytrzymałem napięcia... krzychałem na całe gardło: „Chłopcy, chowajcie głowy!”. Śmieszne. Niewiele pomogłoby schowanie głowy. Przeraźliwe rozsadzające głowę wycie przycisnęło mnie jeszcze bardziej do ściany okopu.

Cień przemknął nad głową. Może obok. I w tej chwili zawyło, zagwizdało, olbrzymi obuch wyrznął w ziemię, zamigotało niebo, targnęło powietrzem, posypały się zwały ziemi, zasypując jedną stronę naszego okopu. Szczęście, że bomby spadły obok. Straty wyrządzone przez sztukasy były niewielkie. Demoralizująco jednak wpływały na psychikę żołnierza, szczególnie przy braku należytej obrony przed nimi. Poza zwykłą bronią maszynową nie mieliśmy żadnej przeciwlotniczej.

W następnych godzinach tego dnia nieprzyjaciel nie wykazywał żadnej aktywności na Pustynkę.

Natomiast napór wyraźnie wzrósł na prawym skrzydle w rejonie Owłoczyma, Staweczek i Stawek, gdzie bronił się jeszcze batalion „Siwego”, okopany na wzgórzu na południe od Owłoczyma, zajętego wczoraj przez Niemców. Z kierunku Owłoczyma Niemcy uderzyli i zajęli położone w najbliższym sąsiedztwie miejscowości Staweczki i Stawki.

W Owłoczynie utrzymywaliśmy styk bojowy z radzieckim pułkiem. Teraz został przerwany. Zerwała się łączność. Powstała duża, niekorzystna dla działań operacyjnych odległość między stykami.

Na odcinku południowym kapitan „Garda” bił się o Werbę i Nowo Werbę. Jednym batalionem zajął obie miejscowości oraz prowadził rozpoznanie na Włodzimierz Wołyński.

Łączność z wojskami radzieckimi udało się nawiązać i 11 kwietnia w godzinach popołudniowych do sztabu dywizji w Władynopolu przybył radziecki pułkownik gwardii Romanienko, dowódca 54 Gwardyjskiego Pułku Kawalerii, w celu ustalenia planu działania na odcinku północnym. Postanowiono, że 12 kwietnia o świcie wyjdzie natarcie na całej szerokości odcinka.

Na odcinku południowym z oddziałami „Gardy” połączy się radziecki 56 Pułk Kawalerii, wsparty przez nasze dwa bataliony. Uderzyli z Werby na Włodzimierz. Przyniosło to chwilowy sukces. Dotarli do koszar dawnej podchorążówki 23 Pułku Piechoty, zajęli i utrzymali te pozycje do świtu. O świcie jednak zostali odrzuceni przez podciągnięte podczas nocy przeważające siły nieprzyjacielskie. Nasze oddziały straciły łączność z radzieckim pułkiem i wycofały się na Stężarzyce, Nikitycze i kolonię Zabłocie.

Z chłopakami sterczeliliśmy już trzy dni i dwie noce na najbardziej wysuniętej placówce w Pustynce. Byliśmy syci, mieliśmy przecież spore zapasy żywności, ale niewyspani. Cały czas trzeba być w pogotowiu. Od czasu do czasu, tuląc się do ściany okopu, któryś z chłopaków zdrzemnął się. Ze zmęczenia i niewyspania poszarzały nam twarze, oczy piekły i były czerwone jak u królików. Musieliśmy na posterunku wytrwać.

Dzień się skończył, z wyjątkiem bombardowania lotniczego spokojnie. Jest wczesny wieczór. Wokół niczym niezakłócona cisza. W półmroku widać, że z głębi wsi zbliżała się ku nam jakaś sylwetka. Jeszcze chwila i podszedł do nas „Boston”, pytając, co słychać i jak się czujemy. Usiadł na chwilę w okopie. Po czym polecił, aby wycofać się w głąb wsi, gdzie są złożone w stągach bale, a obok jest okop. I dalej poinstruował, że w przypadku nieprzyjacielskiego nocnego natarcia na znak czerwonej rakiety prowadzić ze wszystkich możliwych środków silny ogień.

Pozostałe cekaemy, poinformował, są po naszej lewej stronie i mają takie samo zadanie.

Za wszelką cenę trzeba utrzymać pozycję. Pocieszył nas, że jutro, a może jeszcze dzisiaj, nadejdzie pomoc regularnej armii radzieckiej i nas złuzuje.

Zajęliśmy nowe stanowisko. Spokój jednak nie trwał długo. Około godziny dwudziestej drugiej nieprzyjaciel, dobrze wstrzelany w nasze pozycje, otworzył krótki wprawdzie, lecz huraganowy ogień. Strzelano z polówek, haubic oraz wielolufowych szybkostrzelnych działek przeciwlotniczych, tym razem do celów naziemnych.

Z wyciem i furkotem poleciały pociski. Znów wybuchy i oślepiające błyski ognia. Atak trwał krótko. Nastąpiła cisza. Wiedzieliśmy, co oznaczała. Wlepiłem wzrok w ciemności. Nieoczekiwanie zająłem się własnymi myślami. Odruchowo ścisnąłem mój karabin, dotykałem jego wilgotnej lufy i nagle ujrzeliśmy światła rakiety, a na przedpolu ukazało się mnóstwo sylwetek sfornowanych w tyralierę. Zrozumiałe, wyszło niemieckie natarcie. Nerwy napięte do ostateczności. Chłopcy już chcieli strzelać. Spokojnie, powiedziałem, chłopcy podpuścimy ich bliżej. Poza tym nie było czerwonej rakiety.

Sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze. Już chyba czas plunąć im w ślepią z naszych maszynek. Wystrzelono czerwoną raketę. Zatoczyła ognisty łuk, ciągnąc za sobą długi ogon czerwonego światła, które na chwilę oświetliło przedpole.

Gruchnęły nasze cekaemy niekończącymi się seriami. Nacierających przygnietliśmy do ziemi. Ale i oni zaczęli prażyć do nas z broni maszynowej. Nastąpiła silna wymiana ognia. Słychać było głosy niemieckich komend i nawoływania.

I znów próba przełamania naszej obrony nie dała Niemcom wyników. Po odparciu natarcia, przyjechał do nas konno porucznik „Gzyms”. Pogratulował i podziękował za dobrze spełniony obowiązek.

Znów spokój i nocna cisza, tylko gdzieś daleko słychać dudnienie armat. Noc pogodna, gwiazdzista, ale chłodna i dżdżysta. W powietrzu czuło się wilgoć i woń z pogorzelsk. Nie odczuwaliśmy na razie chłodu, byliśmy rozgrzani walką.

Znów przyszedł „Boston” i polecił mi udać się na rozpoznanie przedpola. Zabrałem Tacka Czebieniaka i strzelca „Jastrzębia”. Dotarliśmy na skraj wsi aż do łąk, następnie do grobli, a groblą do mostku. Mostek był nienaruszony. Niczego istotnego nie zauważyliśmy.

Planowane natarcie na odcinku północnym, które miało zacząć się o świcie, ruszyło dopiero przed południem. Batalion „Gzysa” rozpoczął

natarcie z Pustynki na Czmykos. Za nami ruszyły bataliony „Jastrzębia”, „Sokoła” i „Trzaska”. „Jastrząb” nacierał z Władynopola wprost na północ. „Sokół” i „Trzask” na utracone wcześniej Staweczki. Wspierać ich będzie radziecki 54 Pułk Kawalerii baterią armat i moździerzy. Batalion „Gzymśa” w odległości kilometra od podstaw wyjściowych został zatrzymany i przyduszony silnym ogniem nieprzyjaciela. Zalegamy. „Jastrząb” naciera, lecz dostał się pod silny ogień artylerii, który załamał atak.

Wybuchła panika, spowodowana pogłoską o śmierci dowódcy. Drużyny i plutony odchodzą do tyłu, odsłaniając prawe skrzydło batalionu „Gzymśa” i lewe „Sokoła”, który uchwycił południowy skraj Staweczek, lecz słabo wspierany przez baon „Siwego” nie może posunąć się dalej. Batalion „Gzymśa”, który chwilowo zaległ, został zepchnięty do Pustynki, gdzie broniliśmy się ostatnim wysiłkiem. Pustynka i Władynopol były pod silnym ostrzałem artylerii. Utrzymaliśmy jednak pozycje w Pustynce do późnej nocy.

Istotnie, tuż przed północą przybyli zapowiadani wcześniej radzieccy żołnierze, ciągnąc cekaemy typu Maksim, długie rusznice przeciwpancerne (oni nazywali je *peteerami*) i wiele amunicji. Sporo żołnierzy, chociaż był już kwiecień, było ciepło ubranych w półkożuszkach i futrzanych czapkach. Po rysach twarzy było widać, że wielu z nich to Azjaci słabo mówiący po rosyjsku. Powitaliśmy ich serdecznie po żołniersku i po przyjacielsku. Wskazaliśmy kierunki ostrzału nieprzyjacielskiego i natarcia, kierunki i punkty naszego wstrzelenia.

Wyjaśniliśmy im sytuację bojową na bronionym przez nas odcinku. Zdążyliśmy wypalić papierosy. Częstowali nas *kuryszkami*, inaczej krupczatkami – to grubo mielone liście tytoniu z kłęczami. Niektórzy poczęstowali z manierki łykiem prawdziwej wódki na rozgrzewkę. I tak po żołniersku nawiązaliśmy braterstwo broni. Wreszcie, życząc towarzyszom broni do zobaczenia, odeszliśmy w kierunku drugiego skraju wsi. Naszemu plutonowi pozwolono na dwie, trzy godziny odpoczynku.

Na skraju wsi stało jeszcze parę niezniszczonych budynków. W podwórku niezniszczonej zagrody, pod dużym rozłożystym dębem stała polowa kuchnia, przy niej w kolejce kilkudziesięciu czerwonoarmistów, którym wydawano gorącą strawę. Na widok tej kuchni i zapachu gotującej się strawy poczuliśmy piekielny głód. Nie sposób było nie zjeść czegoś gorącego. Stanęliśmy zaproszeni do kolejki. Nie wszyscy chłopcy mieli menażki. Otrzymali je z gościnnych rąk czerwonoarmistów. Co to była za

frajda zjeść gorącą zupę z kawałkiem mięsa i razowcem. Od razu zrobiło nam się radośniej i zapomnieliśmy o całym ciężkim dniu walki.

Podziękowaliśmy za poczęstunek, szybko przynieśliśmy ze stojącej obok stodoły kilka snopków słomy i zadekowaliśmy się w nierozzwalonej chałupie. Słomę rozścieliliśmy na podłodze i szybko do spania. Karabin lub peem obok w objęciach jak kochanka, czapka pod głowę zamiast poduszki i już było słyszeć miarowe oddechy i chrapanie śpiących zmęczonych żołnierzy. Nie mogłem tak prędko usnąć. Kłębiące się w głowie różne myśli i obrazy minionego dnia i przeszłości odsuwały znużenie i sen. Powoli przychodził jednak sen. Zacząłem usypiać, gdy nagle zerwała się jak wichur arcyteryjska kanonada. Znow na wieś nieprzyjaciel kładł silny ogień. Szczególnie ostrzeliwują te domostwa, gdzie znajdowała się kuchnia polowa, w której cały czas palił się ogień, w nocy widoczny z daleka, stwarzając doskonały cel.

Ledwie zdążyliśmy wyskoczyć z chałupy, a do środka wpadł pocisk, chałupa zaczęła się palić. Na naszych oczach pocisk trafił w kuchnię. Gwiżdżą odłamki pocisków, furkoczą strzępy żelastwa rozbitej kuchni. Rozdarty na połowę stary, rozłożysty dąb, zabite konie i paru radzieckich żołnierzy. Wycofujemy się ze strefy ostrzału na skrzyżowanie dróg. W tym czasie zostaje też silnie ostrzelane przez niemiecką artylerię miejsce postoju sztabu dywizji we Władynopolu. Skończyło się na jednym rannym i zabiciu kilku koni taborowych i wierzchowych. Niedługo pozwolono nam odpoczywać. Znow niemieckie natarcie na Pustynkę. Krótka obrona i radzieccy żołnierze, którzy nas luzowali, wycofują się w kierunku naszego batalionu zajmującego drugą linię obronną.

Nieprzyjaciel zajął Pustynkę. Tym razem całą. Widać przed nami w łunach palących się budynków wiele poruszających się sylwetek. Wyglądało, że przed nami są nie tylko Niemcy, ale i Węgrzy, być może znajomi z 55 Pułku Honwedów,

Było już grubo po północy. Zalegamy na pozycjach obronnych razem radzieckimi żołnierzami. Nie ma rozkazu kontrnatarcia. Niedługo odzywa się ogień radzieckiej artylerii, która ostrzeliwuje Pustynkę i Władynopol. Jeden za drugim spadają na Pustynkę pociski ciężkich haubic. Po linii z ust do ust podaje się rozkaz: „Po skończeniu przygotowania artyleryjskiego nacieramy na Pustynkę”.

Zaczynało świtać. Skończyło się przygotowanie artyleryjskie do natarcia. Z batalionem ma nacierać Kompania Warszawska i regularne ra-

dzieckie wojsko. Padła komenda do natarcia. Zerwaliśmy się z pozycji wyjściowych z gromkim okrzykiem hura! i popędziliśmy naprzód.

Ktoś z Kompanii Warszawskiej krzyczał: „Warszawa naprzód!”. Padały też okrzyki „*Moskwa w pieriod!... rebiata w pieriod!*”. Nacieraliśmy szerokim zamaszystym półkolem i już byliśmy w opłotkach wsi. Wpadliśmy do wsi. Nieprzyjaciel pierzchał w nieładzie, zostawiając różny sprzęt i oporządzenie. Tuż przede mną wrywało co sił w nogach dwóch Węgrów, rzucając najpierw erkaem, a za chwilę plecaki, uwalniając się od zbędnego ciężaru. Zabraliśmy jedno i drugie, nie gardziliśmy żadnym trofeum. Najbardziej cieszyłem się z wojskowej koszuli w kolorze khaki, z kołnierzem do krawata, kieszeniami i dziwne, że z jednym naramiennikiem – widocznie taki fason. Największą jej jednak zaletą było, jak się później okazało, że nie utrzymywały się w niej wszy. Tkanina nasyciona była czymś, co je odstraszało.

Okazało się, już z całą pewnością, że prócz Niemców w nocnym natarciu na Pustynkę uczestniczyli także Węgrzy. W szybkim tempie ponownie wypieraliśmy nieprzyjaciela z Pustynki i wyszliśmy na jej północną rubież. Nastął ranek. Natarliśmy na groblę i utracony wczoraj mostek. Spokój i cisza, żadnego strzału ze strony nieprzyjaciela. Nie podobała mi się ta cisza. Posuwaliśmy się do przodu, wraz z radzieckimi żołnierzami. Sforsowaliśmy i zostawiliśmy za sobą mostek. „Gzys” rozkazał batalionowi zejść z grobli i rozwinąć tyralierę w lewo od grobli. Przed nami dwieście, może trzysta metrów gołej, niczym nie osłoniętej łąki. Dopiero nieco dalej zarośla i krzaki. Radzieccy żołnierze nacierali na groblę, chociaż „Gzys” i „Piotr” zwrócili uwagę dowódcy radzieckiego oddziału, żeby zachować ostrożność, zejść z grobli i rozwinąć tyralierę w prawo. Nagle spadła burza huraganowego ognia z broni ręcznej i maszynowej nieprzyjaciela, który zaskoczył nas w szczerym polu. Nieosłonięci też otwarliśmy ogień. Radzieccy żołnierze byli bardziej narażeni, gdyż nie zdążyli zejść z grobli. Zbyt ich to zaskoczenie nie przeraziło, spokojnie bez paniki zajęli stanowiska, odgryzali się jak tylko mogli i powoli wycofali się. Widać, że to żołnierz frontowy, odporny i twardy, zahartowany w bojach. Niemcy grzali niemiłosiernie. Nie było mowy, aby na nieosłoniętym terenie posuwać się do przodu, a wycofać się też trudno. Wycofaliśmy się jednak powoli, dopadliśmy kanału z mostkiem. Wycofywać się na mostek także jest niemożliwe, wycięliby nas co do jednego. Na skarpie kanału ustawiliśmy cekaemy, osłanialiśmy wycofujących się radzieckich i naszych żołnierzy.

Niektórzy bardziej nerwowi z naszych plutonów strzeleckich wycofywali się kanałem, brodząc po pachy w lodowatej wodzie.

Zmieniliśmy stanowisko i przesualiśmy się wzdłuż kanału w kierunku mostku i grobli. Gdy dojdziemy do grobli, będziemy osłonięci nasypem i w ten sposób bez strat wycofamy się do Pustynki.

Zajęliśmy pozycje w Pustynce. Na razie utrzymujemy je. W parę godzin później energicznym uderzeniem nieprzyjaciel wyrzucił batalion „Gzym-sa” z Pustynki na skrzyżowanie dróg około kilometra na południe od wsi. Utrzymaliśmy się tu do wieczora. Wieczorem odeszliśmy od nieprzyjaciela i wycofaliśmy się na nowe pozycje na północny skraj lasów mosurskich.

Do tych lasów przegrupowały się także inne bataliony. Mieliśmy rozkaz dowódcy radzieckiego korpusu, przekazany przez jego zastępcę pułkownika gwardii Puczyńskiego, utrzymania północnej lizjery lasów mosurskich i miejscowości Janin Bór.

Podobno rosła aktywność nieprzyjaciela na odcinku południowym, gdzie nasze patrole zaobserwowały ruchy niemieckich wojsk z Włodzimierza na Werbę. Lepiej ode mnie znający się na rzemiośle wojennym mówili, że Niemcy wykonują dwustronny koncentryczny ruch, mający na celu oskrzydlenie i zamknięcie w kotle dywizji oraz radzieckich wojsk działających z nami.

W takiej sytuacji pułkownik „Oliwa” zdecydował się oderwać od nieprzyjaciela i przejść za rzekę Turię przeprawą w miejscowości Ruda-Zamosty.

Z powodu zagrożenia wsi Mosur, dowództwo dywizji zarządziło przesunięcie dywizyjnego szpitala z Mosura w głąb lasów do rejonu leśnictwa Murawa.

Sztab dywizji także zmienił miejsce postoju, przeniósł się do gajówki Huta w mosurskim lesie, centralnie położonej między ugrupowaniem północnym a południowym.

Po oderwaniu się od nieprzyjaciela szliśmy po odkrytym i rozmo-kłym terenie. Co i raz któryś wyładowany po brzegi wóz zapadał się aż po osie w głębokich koleinach wypełnionych błotnistą mazią i trzeba go było popychać, gdyż konie nie mogły sobie poradzić. My też brodziliśmy po błocie i kałużach, taszcząc na naszych butach po parę kilogramów lepkiego błota, obciążając zbędnym balastem i tak zmęczone nogi.

Mieliśmy przemoczone buty i nogi, mokre skarpety lub onuce, ale szliśmy z nadzieją, że niedługo osiągniemy nowe pozycje, a tam może będzie możliwość wysuszenia skarpet, owijek i butów. Księżycowa poświata

była naszym sprzymierzeńcem, przynajmniej nie szliśmy po omacku. Mi-
nęło parę godzin. Byliśmy niewyspani, głodni i zmordowani. Rozpoczęła
się szósta doba, a my niewiele jedliśmy i prawie nie spaliśmy, z wyjątkiem
kilkunastominutowej drzemki w okopie lub pod ścianą rozwalonej chału-
py. Oczy przekrwione z bezsenności, powieki opadały jakby były z oło-
wiu. Przedtem nie wiedziałem i nigdy bym nie uwierzył, że idąc można
spać i że taki sen regeneruje siły. A niemalże całkiem luksusowo spałem
uczepliwszy się kłonicy, drepcząc obok wozu.

Nad ranem dowlekliśmy się do miejsca w lesie, gdzie pozwolono roz-
palić małe ogniska, zjeść i odpocząć. Lecz nie wiadomo, jak długo będzie-
my wypoczywać, to zresztą nieważne, na wojnie nigdy nic nie wiadomo.
W lesie było jeszcze ciemno. Brać, nie bacząc na ciemności, rzuciła się do
pracy, jedni zbierali lub ułamywali z drzew gałęzie i zbierali nie całkiem
jeszcze suchą ściółkę leśną na legowiska. Inni rąbali drzewo i rozpalali
ogień, a jeszcze inni przygotowywali coś do zjedzenia z posiadanych za-
pasów, które siłą rzeczy zostały zaoszczędzone, gdyż podczas walk nie
mieliśmy ani możliwości, ani czasu na ich konsumowanie. Już za chwilę
pokazały się płomyki rozpalających się ognisk. Rozdzielono po kawałku
słoniny i chleba. Jedni wtrząchnęli natychmiast swoje porcje i z miejsce
rzucili się do spania. Inni, zrobiwszy z patyków różną, smażyli słoninę nad
ogniem i pod ściekający z niej tłuszcz podstawiali chleb.

Usiadłem przy ognisku, zdjąłem buty i grube wełniane skarpety, aby
je wysuszyć, i zabrałem się jak inni do pieczenia słoniny. Pomyślałem,
jakież to jest dobrodziejstwo ten ogień. Można na nim upiec, ugotować,
wysuszyć mokre ubranie, buty, można się przy nim ogrzać. A jaki może
być straszny, pomyślałem o ostatnich dniach, kiedy jest żywołem, kiedy
idzie z pożogą i kurzem gonionych wojną. Jedna refleksja zaczęła gonić
drugą, lecz niedługo, zmęczenie wzięło górę i raptownie zapadłem w sen.
Twardo i głęboko usnęli wszyscy, z wyjątkiem służb i wart.

Dzień się już dawno obudził. Obudziły się ptaki, które wesoło i bez-
trosko zaczęły ćwierkać i śpiewać. Gdzieś niedaleko na łące zaklekotał
długonogi bociek. Poranna mgła zaczęła powoli opadać, ustępując miejsca
słonecznym promieniom.

Spaliśmy może trzy godziny. To dużo. Przebudziliśmy się wypoczęci,
w lepszych nastrojach i dobrych humorach. Chłopcy zaczęli żartować. Nie-
którzy zaczęli się golić. Niektórzy pobiegli do pobliskiego bagna umyć się,
a niektórzy rozpalali wygasłe ogniska i przygotowywali coś na śniadanie.

Na naszym odcinku 14 kwietnia przeszedł względnie spokojnie na przegrupowywaniu oddziałów. Sztab naszej dywizji zorientował się ponad wszelką wątpliwość, że działanie nieprzyjaciela zmierza do odcięcia zgrupowanych sił znajdujących się między rzeką Turią a Bugiem od regularnych wojsk radzieckich, zaangażowanych w walkach o Kowel i Włodzimierz. Nasze oddziały były stopniowo spychane przez niemieckie dywizje. Straciliśmy miejscowości: Sztuń, Czmykos, Olesk, Staweczki, Pustynkę i Władynopol, Owłoczym na odcinku włodzimierskim, Werbę, Nowo Werbę, Wodzianów, Radomie. Sytuacja była nie najlepsza, a pogarszała się z dnia na dzień

Przed południem 15 kwietnia trzydzieści sztukasów bombardowało Stawki, następnie ruszyło niemieckie natarcie, wypierając znajdujące się tam siły armii radzieckiej, które także wycofały się w naszym kierunku na skraj mosurskiego lasu. Wieczorem tego dnia nadeszły jeszcze mniej pocieszające wieści, mianowicie Niemcy przeprowadzili w rejonie Korytnicy zza Bugu nowe oddziały pancerne, prawdopodobnie pancerna dywizja „Wiking”.

Wysłany dla sprawdzenia patrol rozpoznawczy potwierdził prawdziwość tego przypuszczenia. Czołgi rozpoznawcze pancernych oddziałów niemieckich pojawiły się w rejonie leśnictwa Murowa, gdzie dwa dni temu przeniesiono nasz szpital polowy. Szczęście, że czołgi poruszały się tylko drogami, bo dzięki temu szpital ocalał.

PRZEBIJAMY SIĘ Z OKRĄŻENIA

Sytuacja stała się bardzo zła. Szczególnie trzeba było liczyć się z nowymi niemieckimi posiłkami. W tej sytuacji dowództwo dywizji rozpatrywało, wspólnie z radzieckim pułkownikiem gwardii Puczyńskim, możliwość wycofania się za Turię przez Majki i Błazennik.

W dniach 16 i 17 kwietnia na froncie panował względny spokój, z wyjątkiem toczonych zaciętych walk o Janin, Bór i Stawki. Linia frontu przebiegała z Zamłynia na Ziemlicę, Mosur, Janin Bór, gdzie mieliśmy styczność z 54 Gwardyjskim Pułkiem Kawalerii, dalej przez kolonię Stanisławów i Pisarzową Wolę.

Pod koniec 17 kwietnia Niemcy opanowali Hajki i Jagodno, przeprawa w Hajkach była dla nas stracona. Chcąc zachować możliwość odejścia za Turię, a przede wszystkim w ogóle wyjścia z lasów mosurskich, należało bezwzględnie utrzymać Pisarzową Wolę oraz drogę po grobli w kierunku na Rudę i Zamosty. Radziecki pułk kawalerii przesunął się w rejon kolonii Stanisławów. Nasze oddziały pod naporem nieprzyjaciela opuściły Mosur, wycofując się na południowy skraj lasu okalającego polanę mosurską. W popołudniowych godzinach kilkanaście sztukasów bombardowało Nikitycze, gdzie znajdowała się część oddziałów zgrupowania „Gardy”. A o zmierzchu sztab dywizji, mieszczący się w gajówce Huta, znalazł się także pod ostrzałem artyleryjskim, który nie spowodował większych strat.

Już od rana 18 kwietnia nieprzyjaciel ostrzeliwał z dział i moździerzy gajówkę, w której był sztab dywizji oraz jej rejon, gdzie w obronie przeważnie okopany znajdował się batalion „Gzymśa”. Ostrzał trwał długo. W pewnej chwili podniósł się na równe nogi sierżant „Miś” (Wincenty Paszkowski), może chciał rozprostować kości, a może puściły mu nerwy. Rozerwał się przy nim pocisk moździerza, rozszarpując mu obie nogi. Ten rośły, atletycznej budowy mężczyzna padł jak ścięty. „Miś”, nie namyśla-

jąc się wiele, nim dobiegli koledzy i sanitariusze, wyjął z kabury pistolet, przystawił do skroni... i strzelił. Zdawał sobie sprawę, co znaczyło być w tym czasie pozbawionym obu nóg.

Niemcy coraz ostrzej zabierali się za gajówkę i przyległy rejon. Wiodocześnie wymacali, że jest tu siedziba sztabu. Zaszła więc konieczność zmiany miejsca postoju sztabu i przeniesienia się do chutorów w Dobrym Kraju, położonych bliżej pierwszej linii. Już dowódca dywizji pułkownik „Oliwa” z porucznikiem „Korsakiem” (Andrzej Buchman), adiutantem podporucznikiem „Wichurą” oraz trzema żołnierzami wyruszyli do nowej siedziby sztabu dywizji. W drodze, na skutek nalotu lotniczego, chwilowo zatrzymali się w chutorze. Żołnierze wprowadzili konie do stodółki, a sami krzatali się w podwórku. Szef sztabu major „Żegota” również zatrzymał się chwilowo, aby wydać dyspozycje podporucznikowi Szymonowi o założeniu połączeń telefonicznych.

Naraz rozległa się ostra strzelanina, na odgłos której „Oliwa” wybiegł z chaty, a za nim „Wichura” i „Korsak” i w tym momencie został śmiertelnie trafiony, a „Wichura” ranny. Zakrwawiony „Wichura” i „Korsak” natychmiast podbiegli do leżącego „Oliwy”, ale pułkownik już nie żył. Ranny w płuca luzak pułkownika ostatnim wysiłkiem dobiegł do okopanego baonu „Jastrzębia” dając znać o śmierci „Oliwy”. W mgnieniu oka „Jastrząb” z kompanią porucznika „Rybitwy” ruszył z furią do przeciwdzierzenia, odrzucając i rozgramiając niemiecki oddział, pozostawiając na polu walki kilkunastu zabitych.

Po śmierci „Oliwy”, dowództwo dywizji objął major „Żegota” i natychmiast udał się do Pisarzowej Woli, aby zobaczyć jak broniona jest ta miejscowość oraz grobla na Rudę i Zamosty, którą mieliśmy się wycofać i czy broniące się tam oddziały są w stanie utrzymać się do wieczora, aby pod osłoną nocy wycofać się za rzekę Turię i nie pozwolić zamknąć się w kotle. Była to w tym momencie jedyna droga wyjścia. Major „Żegota” wydał polecenie zorganizowania pogrzebu pułkownika „Oliwy” i dwóch poległych żołnierzy z batalionu „Jastrzębia”: kaprała „Gołębia” (Albina Ostrowskiego) i „Słońce” (Tadeusz Zajączkowski).

Pogrzeb odbył się o zmroku. Wszyscy polegli spoczęli na wzgórku nieopodal gajówki. Kapelan „Prawdzie” odmówił krótką modlitwę. Nad mogiłą postawiono mocny, dębowy krzyż, aby trzymając swe rozwarte ramiona nad grobem mówił o niestrudzonych bojownikach, którzy dla Polski z własnej woli pod ziemię serce położyli. Wokół słychać było głu-

chy pomruk armat monotonnie przewalający się po lesie, a na horyzoncie widać było łuny pożarów.

Tego dnia po zmroku wyruszyliśmy do Pisarzowej Woli i w kierunku rzeki Turii. Noc pochmurna i posepna. Gruba warstwa ciężkich ołowianych chmur sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała runąć na nas, las i cały świat. Tu i ówdzie w mroczne ciemne niebo strzelały różnokolorowe rakiety. Maszerowaliśmy już parę godzin. Wreszcie zatrzymaliśmy się w lesie. Na co czekamy, nie wiadomo.

Okazało się, że niemieckie samoloty i artyleria zbombardowały groble i resztki wsi Pisarzowa Wola, po czym nieprzyjaciel natarł dużymi siłami, wypierając broniące tych pozycji nasze oddziały, które poniosły olbrzymie straty, sięgające w niektórych kompaniach siedemdziesiąt procent. Pisarzowa Wola i grobla na Zamosty i Rudę, którą mieliśmy się wycofać, padły. Jedyna droga, którą mogliśmy wyjść, została zamknięta. Znaleźliśmy się w kotle, a razem z nami radziecki 54 Pułk Kawalerii.

Z rejonu Pisarzowej Woli wróciliśmy nad ranem do miejsca, z którego wczoraj wyszliśmy. Znów las. Lekka mgła. Zaczynało budzić się dzień, a wraz z nim leśne ptactwo.

Słychać ćwierkanie i kwilenie ptaków. Na widnokrzęgu nieśmiało wyruszało się słońce. Nad głowami leciał klucz dzikich gęsi.

Otrzymaliśmy po małej porcji chleba i smalcu. Nasze zapasy żywnościowe były coraz mniejsze. Niektórzy zaczęli się posilać. Inni padali ze zmęczenia na byle jakie legowiska, posiłek zostawiając na później. Niektórzy szukali suchej leśnej ściółki, aby zrobić z niej legowisko. Ziemia była mokra i surowa. Miejskami w lesie zdarzała się jeszcze łacha śniegu.

Usiadłem pod drzewem. Gałęzie nad głową dawały jakby dach. Zmęczony zdrzemnąłem się. Zacząłem trząść się z zimna. Chłopaki rozpalili ognisko. Podeszedłem, aby się rozgrzać. Niewiele to pomagało, nie mogłem opanować dreszczy ani szczękania zębami.

Z powodu niemożliwości przebicia się na wschód za Turię, zdecydowano przebijać się na północ przez tor kolejowy Chełm – Kowel w kierunku Zamłynia, Rymaczy, Jagodzina, Sokoła. Przez cały 20 kwietnia przygotowywano się do wymarszu na północ. Zakopywano zapasy amunicji i materiały wybuchowe. Likwidowano tabory. A z koni i woźniców sformowano specjalny oddział juczny. Najbardziej było przykre to, że trzeba było pozostawić szpital polowy, który wraz z obsługą medyczno-sanitarną, plutonem chorych i zapasami żywności przeniesiono w zalesione ba-

gna między Gradą Mosurską a Zamłyniem. W godzinach popołudniowych dołączył do nas radziecki 54 Pułk, który nie zdążył odskoczyć za Turię.

Cały dzień, 19 kwietnia, krążyliśmy leśnymi drogami. Maszerowaliśmy do Zamłynia, gdzie mieliśmy forsować rzeczkę Naretwę, a następnie tor kolejowy. Po dotarciu do rejonu Zamłynia, okazało się, że w ciągu dnia miejscowość ta została obsadzona przez niemiecki nieduży oddział. Wprawdzie można go było bez trudu wyrzucić, ale nie było sensu wszczywania alarmu w odległości ośmiu kilometrów od toru, który był niebezpieczną przeszkodą. Lepiej było ominąć Zamłynie i w bród przeprowić się przez rzeczkę.

Już późnym wieczorem obchodząc Zamłynie, część batalionów przeprowiła się przez Naretwę, a część dostała się pod silny ogień wzdłuż traktu, którym posuwała się kolumna. Powstało duże zamieszanie, szczególnie w oddziale juczych koni, z którymi żołnierze nie mogli sobie poradzić. Była pochmurna noc. Kolumna zaczęła się rwać. Utrzymanie łączności stało się prawie niemożliwe. Gońcy gubili się w terenie. Oddziały się rozproszyły, zamieszanie przeszło w panikę, potem w ucieczkę. Sytuację pozostającą na trakcie reszty kolumny uratował dowódca kompanii porucznik „Piotruś Mały” ze zgrupowania „Gardy”, który z własnej inicjatywy uderzył na most i wieś Zamłynie, odrzucając Niemców, zmuszając ich kaemy do milczenia. Wszystko jednak zabrało wiele czasu i tej nocy całej kolumny nie udało się już zebrać. Tymczasem przez Naretwę przeprowiwały się w bród cztery bataliony: „Korda”, „Sokoła”, „Gzymśa”, część „Siwego” i część „Jastrzębia”.

Wszedłem do rzeki. Brrr. Niezbyt przyjemna ta przymusowa kąpiel. Nie było jednak innej rady. Dobrze, że rzeczka nie była głęboka, woda sięgała do pasa. Do połowy jesteśmy mokrzy, a woda w butach chlupie za każdym stąpieniem. Od temperatury ciała nagrzewa się i powoduje obrzęknięcie nóg, a buty coraz bardziej uciskają. Czuję, że trudny dla mnie będzie ten marsz. A tu wciąż pędzimy w zwariowanym tempie, prawie kłusem, na przełaj przez rozlewiska, pola, łąki, zarośla, aby jak najprędzej dopaść toru kolejowego i przekroczyć go przed brzaskiem dnia. W okalającym nas stalowym pierścieniu tor kolejowy stanowił dużą niewiadomą w sensie jego umocnienia, a także duże niebezpieczeństwo. Im bardziej zbliżaliśmy się do toru, tym gęściej i częściej snopy reflektorów rozpraszających mroki nocy zmuszały nas do zatrzymania się, padnięcia na ziemię i krycia się na chwilę, aby nie zdradzać przedwcześnie swojej obecności.

I zaraz znów zrywaliśmy się na równe nogi, ruszaliśmy z kopyta mordczym maratonem i pędziliśmy przed siebie. Od czasu do czasu w niebo wlatywały różnobarwne rakiety, a od czasu do czasu było słyhać strzelaninę z broni maszynowej i wybuchy pocisków moździerzowych. Na szczęście ostrzeliwali nie nas.

Nareszcie tor kolejowy. Jednym susem, nie zauważeni, przeskoczyliśmy i już byliśmy po drugiej stronie. Nie zwalnialiśmy tempa marszu, chcieliśmy pod osłoną nocy jak najdalej odskoczyć. Cztery bataliony i sztab dywizji przeszły bez walki tor kolejowy, wydostając się z kotła.

Zaczynało szarzeć, gdy weszliśmy na wielką przestrzeń z nielicznymi krzakami, gdzieniegdzie kępami wysuszonego wrzosu i mchem. Poruszaliśmy się jednak coraz ciężej. Raz po raz rozlegał się plusk, ktoś wpadał na gęsto rozsiane kałuże lub w lepką błotnistą maź.

Czułem, że nie mogę dalej iść w moich butach. Przemoczone buty skurczyły się, a nogi spęczniały, zaś stopa w bucie zaczynała już się nie mieścić. Przyszedł z koleżeńską pomocą „Śpiewak” z Kompanii Warszawskiej. Miał nieco większego rozmiaru buty, zamieniliśmy się, ale nie na długo, gdyż on w moich nie mógł iść. Miałem strasznie odparzone nogi. Wpadłem na pomysł, aby rozciąć buty w części uciskającej stopy. I tak zrobiłem. Przyniosło to na chwilę ulgę, lecz po przejściu paru kilometrów przez zrobione dziury dostawała się woda, błoto i piasek, który odparzone stopy tarł jak papier ścierny. Szczególnie pod palcami zdierał się naskórek aż do krwi. Z bólu zaciskałem zęby, a łzy cisnęły się do oczu. Kląłem na czym świat stoi i marzyłem, żeby jak najprędzej zatrzymać się na jakiś odpoczynek.

Szliśmy wciąż po otwartej przestrzeni, która wydawała się jakaś tajemnicza i niebezpieczna. Ale przed nami na horyzoncie pojawił się las. Odwróciłem się do tyłu i spostrzegłem, że krzaki zostały daleko za nami. Las był coraz bliżej. Szedłem z nadzieją, że w lesie będzie można odpocząć. Ledwie trzymałem się na okaleczonych nogach. Spostrzegłem coraz więcej szczegółów: pojedyncze drzewa, kępy krzaków, wzgórki, pnie spalonych lub suchych drzew, sterczące kominy i piece lub studienne żurawie. Widać, była tam wieś, ale spalona. Wreszcie dotarliśmy na skraj wymarzonego lasu, tuż obok spalonej wsi.

Okazało się, że była to wieś Sokół.

NIEMCY NA NASZYM TROPIE

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Tu i ówdzie grupka żołnierzy rozsiadłszy się pod drzewami rozpałała ogniska, aby wysuszyć skarpety czy onuce. Z ogromną ulgą zdjąłem te piekielne buty, usadawiając się z chłopakami przy małym ognisku i zacząłem suszyć skarpety. Słońce wyjrzało spoza chmur, wywołując nieprzewartą ochotę drzemki. Toteż niektórzy poukładali się pod drzewami i krzewami na mchu, jakby nic na świecie ich nie obchodziło, nawet przemoczone nogi. Inni rzucili się na jagody jarzębiny, które zostały po zimie, i zmrożone stały się słodsze. A jeszcze inni myszkowali, szukając głogu i bóg wie czego. Któryś przyniósł kilka brukwi, które wyszperał gdzieś w piwnicy spalonego domostwa. Któryś znów złapał zdziczałą kurę, której ukręcił łeb, i zabrał się za skubanie i patroszenie. Każdy wygłodzony, zmęczony, niewyspany pożywiał się tym, co miał i odpoczywał jak mógł. Po około dwóch godzinach usłyszeliśmy charakterystyczny warkot czołgów i dalekie strzały. Na razie jeszcze nas to nie przstraszyło, chociaż pogotowie alarmowe zarządzone.

Warkot jednak zbliżał się coraz bardziej i oto posypały się serie strzałów. Zostaliśmy zaatakowani z kierunku Połap i Zapola przez niemieckie czołgi, które już wypęzły na polanę przed gajówką, a za nimi piechota. Zajęliśmy natychmiast stanowiska na skraju lasu w sosnowo-świerkowym zagajniku i powstrzymujemy natarcie. Na linię obrony wyskoczyłem tylko w skarpetkach. W żaden sposób nie mogłem włożyć przemoczonych butów, na niecałkiem jeszcze suche skarpety. Wydawało mi się, że Niemcy – jak często bywało – trochę postrzelają i wycofają się, a wtedy jakoś sobie poradzę z włożeniem butów. Kierując się takim rozumowaniem, zostawiłem pod sosną także plecak, a w nim trochę jedzenia, parę rzeczy osobistych i aparat fotograficzny. Niemcy nie tylko nie wycofali się, ale parokrotnie ponawiali natarcie. Po obu stronach padali zabici i ranni. Zginął porucznik „Korsak” i plutonowy „Cygan” (Franek) z plutonu granatników

oddziału „Bomby”. Wspaniały kolega, nadzwyczaj odważny żołnierz, który nigdy nie kłaniał się kulom. Z oddziału „Bomby” został wówczas ranny starszy sierżant „Opór”.

Podczas tej walki Franek zdobył pistolet maszynowy i parabellum. Został też ranny w ucho. Po założeniu opatrunku zachciało mu się z ukatrupionego, zresztą przez niego, Niemca ściągnąć buty, gdyż jego się rozlażyły. Poszedł i już nie wrócił. Został obok właściciela butów. Walczyliśmy tu przez parę godzin, następnie wycofaliśmy się na Smolary Rogowe.

Zostawionych pod sosną przy ognisku butów i plecaka nie udało mi się zabrać. Po stracie butów nie rozpaczalem, gorzej było, że przez parę kilometrów musiałem brodzić po kałużach i błocie tylko w skarpetkach. Później spotkałem „Lodzie”, która jak się okazało, miała zapasowe damskie trzewiki, na nią za duże, a na mnie jak w sam raz. Trochę tylko miały nieco za wąskie i ciut za wysokie obcasy. Już na postoju w Smolarach Rogowych dostałem od jednego z chłopaków sztylpy, którymi uzupełniłem moje obuwie. Teraz paradowałem w eleganckich sztylpach jak oficer z ck austriackiej armii.

Rano 23 kwietnia dołączyły do nas w Smolarach Rogowych dwa bataliony dowodzone przez porucznika „Piotra”, a sformowane z oddziałów, które nie zdołały wyrwać się z okrążenia razem z nami.

„Piotr” zaszył się w lesie koło miejscowości Torbiejki i dopiero w nocy przedostawał się przez okrążający go pierścień w niewspółmiernie gorszych warunkach. Niemcy bowiem ściągnęli broń pancerną, uruchomili pociąg pancerny i wzmocnili oddziałami piechoty. Po ciężkiej, całodziennej walce bataliony te, tracąc osiemdziesięciu paru zabitych, dotarły do dywizji. Nie wszystkie jednak oddziały połączyły się z dywizją, niektóre pogubiły się i różne były ich losy.

Tego jeszcze dnia opuściliśmy Smolary Rogowe i przenieśliśmy się do Smolar Stoleńskich, dużej wsi zamieszkałej przez Ukraińców. Młodych mężczyzn nie było widać. Bataliony obsadziły wieś i pobliskie chutory. Zakwaterowano się częściowo w chałupach, częściowo w stodołach. Wprawdzie w stodołach były gorsze warunki, ale najważniejsze, że był dach nad głową. Od paru tygodni w ogóle nie spaliśmy pod dachem. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele spaliśmy, a dachem było niebo. Po przyłączeniu się grupy „Piotra”, uporządkowano bataliony, uzupełniono kompanie, wyznaczono brakujących dowódców. Kwatermistrzostwo kupiło u miejscowych gospodarzy trochę mięsa, słoniny, chleba, ziemniaków.

Nie wszyscy gospodarze chętnie sprzedawali – nawet za dolary. Chętniej natomiast sprzedawali za złote carskie ruble. A od odmawiających sprzedaży braliśmy siłą. Zaczęło się gotowanie zup i mięsiwa. Od wielu dni nie jedliśmy gorącej stawy. Mogliśmy teraz porządnie pojeść, pospać i wypoczywać. Toteż spaliliśmy i spaliśmy. Warty i patrole ze zdwojoną czujnością ochraniały odpoczynek współtowarzyszy broni.

Powrócił patrol z porucznikiem „Białym”, wysłany jeszcze ze Smolar Rogowych w rejon Zamłynia i Mosuru, aby zabrać rozbitków i rozpoznać, co się stało z oddziałami, które oderwały się od dywizji, jak też jakie losy spotkały pozostawiony szpital polowy. „Biały” przyprowadził z sobą kilkudziesięciu żołnierzy, rozbitków blakających się po lasach, oraz przyniósł niewesołe wieści.

Bataliony „Jastrzębia” i część batalionu „Olgierda” cofnęły się w głąb lasów mosurskich. Nie sposób było nawiązać z nimi kontaktu. Jakież grupy rozbitków ze zgrupowania „Gardy” przeszły aż pod Włodzimierz. W rejonie Jagodzina mieszkający tam Polacy pochowali dwudziestu dziewięciu naszych żołnierzy poległych w walce podczas przebijania się z okrążenia. Zabitych było więcej, ale część tych, którzy polegli tuż przy torach, zabrali i zakopali Niemcy. Kilkunastu rannych ukryto w okolicznych domostwach, a paru z nich już przerzucono za Bug. Kilku partyzantów dostało się żywcem w niemieckie ręce, przewieziono ich do Lubomla i tam rozstrzelano. Szpital został wykryty przez przeczesujące lasy mosurskie węgierskie oddziały. Zanim zdołano wyjaśnić, że jest to tylko szpital, kilkunastu rannych straciło życie. Pozostałych wzięto do niewoli i odtransportowano do obozu jeńców radzieckich w Chełmie.

W obozie tym panowała epidemia tyfusu plamistego, wskutek czego wielu rannych zmarło. Pozostałych przy życiu, dzięki staraniom Polskiego Czerwonego Krzyża, udało się przenieść do szpitala Czerwonego Krzyża w Chełmie.

W Smolarach Stoleńskich dołączył także podporucznik „Żeliwo” (Franciszek Krawczak) z zebranymi po drodze maruderami.

Dopiero po powrocie porucznika „Białego” można było podsumować straty przebicia się dywizji z okrążenia. Było około półtora tysiąca zabitych, rannych i zaginionych, wszystkie tabory, pepance, dużo ciężkiej broni maszynowej, zapasowe radiostacje i inny sprzęt.

Podczas krótkiego postoju w Smolarach Stoleńskich nadano kilku żołnierzom odznaczenia wojskowe. Między innymi otrzymał odznaczenie

woźnica z naszego plutonu cekaemów, szeregowiec Jan Lisiecki, który po zlikwidowaniu wozów taborowych pozostał z jucznymi końmi pod Zamłyniem. Następnie trafił do grupy „Piotra” i z nią przedzierał się z okrażeń jako piechur. To on podczas toczony walki o tor kolejowy granatem zlikwidował nieprzyjacielski kaem.

Nieprzyjaciel nie pozwalał nam długo wypoczywać, zresztą niczego innego nie oczekiwaliśmy. Deptał nam po piętach, 25 kwietnia nasze patrole rozpoznały zbliżanie się od strony Holadynia węgierskich oddziałów zmotoryzowanych, piechoty i artylerii. Wobec tego, część naszego wojska zajęła stanowiska obronne na skraju wsi i w chutorach, aby umożliwić batalionom wycofanie się do niedalekiego lasu, w kierunku którego przed chwilą powcwałował jakiś nieduży radziecki konny oddziałek partyzancki, wypłoszony prawdopodobnie przez nadciągające nieprzyjacielskie oddziały.

Batalion „Gzymśa” zajął stanowiska na lizjerze wsi. Przed nami gładkie pola, dalej krzaki i z rzadka drzewa. A za naszymi plecami wieś, z której wycofują się bataliony i sztab dywizji. Było południe. Ładny, słoneczny dzień. Na dalekim przedpolu widzimy już Węgrów okopujących stanowiska cekaemów i dział. Wygląda na to, że z marszu obawiają się atakować wieś. Tym lepiej, pozostanie nam więcej czasu na wycofanie oddziałów. Nie zamierzaliśmy stawiać wielkiego oporu. I oto stęknęły moździerze i zadudniły działa. Natarli Węgrzy. Zatrzymaliśmy ich. Teraz Węgrzy zaczęli ostro ostrzeliwać z dział i moździerzy wieś, która zaczęła płonąć. Nasze baony, które ubezpieczaliśmy, już się wycofały do lasu. Powoli zaczynamy spływać pod osłoną palącej się wsi do lasu, pozostawiając nieprzyjacielowi plac boju. Niemcy postanowili nas zniszczyć. Wprawdzie dywizja poniosła wielkie straty, ale wydostała się z okrażeń. Dopadli nas pod Sokołem, a teraz pod Smolarami, ale nic z tego. Nie udało im się złamać naszej gotowości bojowej, siły i ducha bojowego żołnierza. Zaczynało brakować wyżywienia i amunicji. Słusznie więc major „Żegota” postanowił oderwać się od nieprzyjaciela i przeczucić się w głąb Polesia, aby przeorganizować dywizję, zdobyć trochę amunicji, dać umęczonemu wojsku odpocząć.

Biwakowali w lesie przez noc i cały następny dzień, a wieczorem wyruszyliśmy dalej na północ w głąb Polesia. Szliśmy leśnymi drogami, przesiekami i duktami gęstych lasów. Często drogi były zatarasowane zwalonymi drzewami przez działające na tym terenie radzieckie oddziały partyzanckie.

Przeważnie szliśmy w kolumnie gęsiego, przedzierając się usłanym różnymi przeszkodami szlakiem. Kolumna coraz się rwała. Od czasu do czasu słyhać przekleństwa i złorzeczenia tych, którzy zawadzając o wystający korzeń lub pień drzewa nogą przewracają się, a później gonią co tchu w piersiach, aby dołączyć do kolumny. Nie sposób było utrzymać rytmicznego tempa marszu. Wkrótce weszliśmy na zaminowany teren i nasz marsz stał się dramatyczny.

Szliśmy gęsiego obok traktu, trzymając za pas poprzednika. Nie wolno zboczyć ani pół kroku, gdyż można wejść na minę. Minęliśmy rozwalony mostek, skręciliśmy w prawo i weszliśmy na niezalesiony teren. Pod nogami czuło się, że grunt był suchy i piaszczysty. Naraz, może trzysta metrów przede mną, oślepiający błysk i ogłuszający wybuch.

Pomyślałem, że ktoś wszedł na minę. Na chwilę kolumna zatrzymała się, ale po chwili ruszyła. Po kilku minutach doszliśmy do miejsca wybuchu. Mówili, że mina rozerwała w kawałki dwóch żołnierzy, a jeden z urwanymi nogami i rozszarpanym brzuchem jeszcze żyje. Ten nieszczęśliwiec wołał, żeby coś go przykryto, bo jest mu zimno w nogi. Nie wiedział biedak, że nie ma już nóg. Był półprzytomny, nikt przy nim nie został. Gdzieś w tyle kolumny był lekarz, może dałby mu morfiny lub inny lek uśmierzający ból, aby łatwiej było nieszczęśliwcowi skonać. Dobić go przecież nie można, chociaż o to prosił. Zabrać z sobą także nie, byłoby to bez sensu. Dowiedziałem się nieco później, że ta eksplozja miny zabrała cztery młode życia. Polegli tam: rodzeństwo (brat i siostra) Szurkowscy oraz rodzeństwo Jadwiga i Romuald Kwaterowie.

Niebawem, o chwała ci Panie, ta cierniowa droga nastroszona minami i ten dramatyczny marsz się skończył. Przeszliśmy przez te piekielnej mocy pola minowe.

Zbliżał się kres tej dramatycznej nocy. Na poszarzałych ze zmęczenia i niewyspania twarzach pojawiają się jakieś radośniejsze skurcze. Nastąpił poranek i zaczął mżyć deszczyk. Zatrzymaliśmy się w niedużych zaroślach. Mamy tu przesiedzieć do wieczora, nigdzie się nie pokazując. Pomyślałem: jak ten deszczyk będzie siąpić przez cały dzień, to przemokniemy tak, że suchej nitki na nas nie będzie. Lepiej byłoby maszerować bez odpoczynku. Niestety, ze względu na bezpieczeństwo musieliśmy tu czekać do zmroku.

Przed zmierzchem wyruszyliśmy dalej. Prowadził nas na przelaj przygodny, złapany po drodze przewodnik, jakiś Białorusin lub Ukrainiec.

Szliśmy po jakichś moczarach skacząc z kępy na kępę lub zapadając się po pas w trzęsawiska. Z każdym krokiem ziemia stawała się bardziej niebezpieczna, rozlazła, wymieszana z wodą i groźna. Jakiś czas trzymała się chybocąca powłoka bagiennej darniny. Trop paruset ludzi, którzy przeszli przed nami, rozdeptał ją na miazgę. Zapadamy się do kolan, a nawet po pas. Każdy krok stawał się trudniejszy. Trwało to dwie godziny, a uszliśmy może trzy, cztery kilometry.

Przemoczeni, umorusani, utyłani w błocie, zmęczeni. Wydawało się, że już chyba nigdy stopa nie stanie na suchym gruncie.

Wreszcie nad ranem wyszliśmy na twarde grunto. A w parę godzin później, w rejonie Wilicy i Kropownik forsowaliśmy bez przeszkód rzekę Prypeć, docierając do wielkich szackich lasów.

SZACKIE LASY

Stanęliśmy biwakiem w starym, gęstym liściasto-iglastym lesie, gęsto podszytym. Las pełen oparzelin, wyrw, wykrotów, poobalanych gnijących pni, wzdęć mchem porośłych, mrówczych kopców. Brzozy i inne drzewa wypuściły już listki. Konary dębów świeciły jeszcze nagością, z wyjątkiem niewielu pozostałych wysuszonych i pokręconych zeszłorocznych liści. Opodal biwaku było duże bagno, w którym niektórzy płukali części garderoby, obmywając je z błota. Słońce jak na zamówienie przygrzewało, można było wysuszyć mokrą odzież i obuwie. Pożywił się nieco mikroskopijnymi zapasami zabranymi ze Smolar. Były to doprawdy żałosne okruchy. Niektórzy mieli jeszcze odrobinę smalcu ze starych zapasów i przechowywali go pieczołowicie w menażkach na czarną godzinę. Jeśli mają być jeszcze czarniejsze godziny... to ładna perspektywa aprowizacyjna, po prostu – głód.

Nazajutrz w rannych godzinach udaliśmy się w kilku do okolicznych osiedli, aby zorientować się w sprawach aprowizacyjnych i zdobyć coś do jedzenia. Po drodze przed naszymi oczami żałosne widoki na tle pięknego poleskiego pejzażu. Zagrody leśnych wsi i chutorów obdarte ze słomianych strzech. Miało to uniemożliwić Niemcom podpalanie tych zagród. Trupio wyglądały wyludnione osiedla. Kojarzyły się z cmentarzyskiem jakimś lub obszarpanymi przez sępy i szakale, wysuszonymi pustynnym wiatrem i słońcem, kościotrupami straszącymi nagimi goleniami i nastroszonymi żebrami. Napotkaliśmy w lesie nieduże kolonie szałasów, a w nich ukrywających się mieszkańców okolicznych wiosek i chutorów. Ludzie ci wyprowadzili się z całym dobytkiem do mało dostępnych bagnisto-leśnych gęstw i ukrywali się przed grożącymi ze strony Niemców represjami za wspomaganie partyzantów. Napotkani w szałasach ludzie okazywali nam gościnność i przychylność. Częstowali mlekiem i chlebem, a na odchodne dostaliśmy parę bochnów smacznego razowca, trochę kartofli i kilka

garści mąki mielonej na prymitywnych żarnach, przypominającej bardziej otręby.

Po powrocie z tego rekonesansu, urządziliśmy ucztę. Ugotowaliśmy kartofle, do których nasypaliśmy mąki, dodając do tego usmażony lój, ugniatając i mieszając to wszystko z majstrowanym naprędce tłuszczem z niemieckiego *handgranatu* z usuniętym zapalnikiem. W ten sposób została przyrządzona potrawa zwana przez partyzantów prażuchą, którą zjadaliśmy, aż się nam uszy trzęsły, chwając sobie jej smak i zalety. Po tej uczcie gasiliśmy pragnienie gorzką, pachnącą torfem, o brązowym zabarwieniu wodą z pobliskiego bagna.

Po dwóch dniach, rankiem, oddział wymaszerował dalej w głąb szaczkich lasów, kilka kilometrów na północ od chutoru Otdalejka. W tym rejonie spotkaliśmy duży partyzancki radziecki oddział Bujnowa. Od razu zaprzyjaźniliśmy się z Rosjanami, a stosunki ułożyły się nad wyraz przyjaźnie. Pomimo krótkiej znajomości naszych dowódców, zaproszono nas na uroczystość pierwszomajowego święta. W dwa dni później dowódca radzieckiej partyzantki ze swoją świtą rewizytował nas na świętowanej wówczas uroczystości rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Pierwszym punktem programu była msza polowa odprawiona przez kapelana „Prawdzica”, który wygłosił kazanie. Następnie przemówił do żołnierzy major „Żegota”. Potem były odznaczenia i awanse wojskowe. Byłem wtedy awansowany na plutonowego.

Goście mieli zadowolone miny i przyglądali się wszystkiemu z dużym zaciekawieniem. Najbardziej zainteresował ich ksiądz, który po zdjęciu ornatu i komży ukazał się w zwykłym wojskowym mundurze. Chociaż długo objaśniał „Żegota” funkcję i zadania kapelana, to i tak zrozumieli, że jest naszym politrukiem.

Przez parę ostatnich dni, nie nękani pogonią, zaszyci w gęstwinie lasów biwakowaliśmy w spokoju w prowizorycznie skleconych z gałęzi i mchu szałasach. Las już całkiem rozbudzony z zimowego snu coraz bardziej zieleniał, pachniał czeremchą, jarzębiną i nagrzaną wiosennym słońcem żywicą. Nawet dęby, przed kilku dniami jeszcze nagie, rozwinęły swoje listki. Ptaki coraz śmieiej i weselej świergotały. Zalotnie gruchały dzikie gołębie i coraz częściej słychać było nawoływania kukułki. Dawały o sobie znać świerszcze.

Wieczorem nieraz słychać było stłumiony gromki bas porykującego pewnie gdzieś przy wodopoju jelenia. Jakoś dziwnie to porykiwanie ko-

jarzy się z pomrukiem dział. Gdyby nie to, że coraz bardziej wkradał się głód, można by jeszcze kilka dni odpocząć po ciężkich walkach i zmaganiach.

Codziennie wieczorem, przy akompaniamencie bzygających chmar komarów, rechocie i kumkaniu żab, kapelan odprawiał majowe nabożeństwo przy skleconym przez chłopców ołtarzyku z brzoźowego drewna.

Już pierwszego wieczora grupa radzieckich partyzantów, a wśród nich kilku Polaków, zwabiona widocznie śpiewami, przyszła na nasze majowe i, jak gdyby trochę zażenowana, stanęła opodal przez chwilę słuchając w milczeniu, potem nieśmiało przyłączyli swoje głosy do płynącej wśród leśnych gęstwiny pieśni „Boże, coś Polskę...”.

Ale oto 5 maja jakiś węgierski batalion z kilkoma czołgami, przecierając drogę z Szacka do Zabłocia, natknął się na jeden z naszych batalionów dowodzonych przez porucznika „Bratka”. Doszło do ostrej, lecz krótkiej walki, do której włączył się batalion „Korda”. „Bratek” i „Kord” uderzyli na Węgrów, odnosząc całkowite zwycięstwo. Na polu walki pozostało kilkudziesięciu zabitych, osiemnastu wziętych do niewoli. Został też uszkodzony jeden czołg. Straty własne znikome.

Węgierskich jeńców nie traktowaliśmy surowo. Byli to przeważnie mężczyźni dwudziestoparo-, trzydziestokilkuletni. Jedli jak my, znaczy niewiele. Spali, także jak my, na prowizorycznych legowiskach pod krzakami lub drzewami. Nie mieli broni i byli strzeżeni. Sprawiali jednak wrażenie, że ze swej sytuacji są raczej zadowoleni. Jeden z Węgrów, może dwudziestoparoletni, o imieniu Titusz, budapeszteńczyk, podobno był student slawistyki, wesóły i z humorem, przemógł chłopiec, opowiadał wiele o Budapeszcie, Węgrzech, zwyczajach i obyczajach madziarskich. Słuchaczy miał zawsze wielu. Mówił słabo po rosyjsku, lepiej po czesku, w każdym razie zrozumiałym dla Słowian językiem.

Po potyczce z Węgrami, znów zapanował spokój. Sytuacja aprowizacyjna natomiast z dnia na dzień stawała się coraz gorsza. Nasza dzienna racja żywnościowa ograniczała się do dwudziestu paru, może trzydziestu dekagramów surowego krowiego lub końskiego mięsa, bez soli. To już racja głodowa. Mięso przygotowywaliśmy na różne sposoby. Gotowaliśmy w menażkach bądź piekliśmy je, wrzucając wprost do ogniska. Ogniska paliliśmy z suchych gałązek, maskując je w gęstych chaszczach lub pomiędzy dużymi drzewami, by ponad lasem nie unosił się dym i nie zdradzał naszej obecności.

Oczywiście, wrzucone wprost do ogniska mięso z zewnętrznej strony zwęglalo się, zaś wewnątrz pozostawało półsurowe. Po obgrzyzieniu tej zwęglonej zewnętrznej części pieczeni, mniejsza już porcja wędrowała znów do ognia. W ten sposób przyrządzane bez soli mięso było bardziej zjadliwe niż gotowane, które dla odmiany nawlekaliśmy na patyki i suszyliśmy na słońcu. Mimo tych wszystkich sposobów i „technologii”, to niesolone mięso było strasznym paskudztwem. Tylko z rozsądku je jedliśmy. Czytałem kiedyś pamiętniki adiutantów Napoleona I Bonapartego, z których dowiedziałem się, że podczas odwrotu z Moskwy w 1912 roku żołnierze napoleońscy często zmuszeni byli spożywać niesolone mięso, do którego, aby było smaczniejsze, dodawali proch strzelniczy. Tego sposobu nie próbowaliśmy. Na razie nie było widoków, żeby się zmieniło na lepsze. Odpoczywaliśmy, spaliśmy, nie mieliśmy co jeść, ale było dużo świeżego, czystego powietrza. No i dokarmialiśmy wszy, które coraz bardziej dokuczały. Tłukliśmy je setkami, ale to niewiele pomagało. Gnidy przecież zostawały. Ciekawe, że odzieżowe wszy nie przechodziły na głowę. Na dodatek wieczorami komary uprzykrzały życie, nie pomagały rozniecane dymne ogniska.

Mówiło się coraz częściej, że pójdziemy za Bug do Generalnej Gubernii, to znów, że będziemy się przebijali za front na stronę radziecką. Tymczasem niemieckie lotnictwo zaczynało nas coraz intensywniej obserwować i trapić. Parę razy dziennie pojawiały się na niebie „ramy” – dwukadłubowe niemieckie samoloty zwiadowcze. Trzeba będzie chyba wyrwać się spod tej pieczołowitej opieki i zmienić miejsce postoju.

Znów odskoczyliśmy bardziej na północ w głąb lasów, w rejon pomiędzy chutorem Otdalejka a Hutą Ratneńską. Zatrzymaliśmy się w jakimś zimowym, opuszczonym, partyzanckim obozie. Było tu kilkanaście ziemianek zbudowanych z nieokorowanych bali, przykrytych ściółką leśną, obsypanych grubą warstwą ziemi i obłożonych darnią, która – teraz zielona jak całe leśne otoczenie – doskonale je maskowała. Ziemianki nie były małe, mieściły po kilkanaście osób, lecz zapluskwione i ciemne. Promyki światła dostawały się do wnętrza tylko przez malutkie jak otwór strzelniczy okienko lub otwarte drzwi. Wchodziło się do nich schodkami. Prycze zrobione ze szczap, które acz na poły ostrugane, świeciły się wy czyszczone na glanc partyzanckimi ubraniami. Na szczęście były piękne i ciepłe majowe noce i nie musieliśmy sypiać w tych zapluskwionych i dusznych norach. O wiele przyjemniej było przespać się pod drzewem

lub krzakiem, pod gołym niebem oświetlonym gwiazdami i księżycem. Noce te były piękne, ciepłe, jasne jak polarne. Może to one odpędzały nieraz sen i jakoś refleksyjnie i romantycznie nastrojały. A być może głodowe racje nie pozwalały długo usnąć.

Myślałem o kolegach, którzy zginęli, o najbliższych, o rodzinie, o wojnie, o tych, którzy zostali w mosurskich lasach i zamłyńskich bagnach i o tych wszystkich głodzonych, bitych, poniżanych, zamienianych w popiół w krematoriach koncentracyjnych obozów. To znów patrząc na gwiazdzistą kopułę nieba, do złudzenia przypominającą ogromną czaszę spadochronu, wdychałem czyste, nieco wilgotne, pachnące mchem i żywicą powietrze, przenosząc wzrok na osrebrzone korony drzew, kołysanych lekkim podmuchem wiatru, na rozłożyste krzaki leszczyn, przez które widać było ciemnoszare pnie sosen, buków, dębów, olch i bielutkiej brzeziny. Wtedy znów przychodziły na myśl lata szkolne, szkolna ława, w której obok siebie siedzieli: Polak i Ukrainiec Taras, Czeszki – Marzena i Sławka, Rosjanka Hala, córka byłego białogwardzisty, Żyd Icek, Ukrainki Natasza i Sonia, Czech – Hondza, Niemcy Julek i Adela. Wszyscy się uczyli i żyli zgodnie, bez żadnych nienawiści rasowych i narodowych. Wspólnie bawiliśmy się, grywaliśmy w piłkę, chodziliśmy na spacer i wycieczki, śpiewaliśmy piosenki, polskie, czeskie, ukraińskie. W tym konglomeracie narodowościowym były także młodzieńcze romanse i miłosne przeżycia. Po tym przychodziły na myśl jakieś rzewne i romantyczne melodie, a najczęściej, nie wiem dlaczego, słowa i melodia tanga *Całą noc bzy pachniały, całą noc nie mogłem spać*. Może dlatego, że niegdyś śpiewała je czarnowłosa uroczą dziewczyna, moja szkolna sympatia Zosia. Często wracałem do niej wspomnieniami. I tak to wszystko się kotłowało, aż nadchodziło znużenie i twarde sen, w którym nieraz śniło się bóg wie co. A to jakaś bitwa, a to schwytywanie mnie do niewoli, w której miałem być rozstrzelany, jednak w ostatniej chwili udało się zbiec, to znów byłem na proszonym obiedzie, gdzie podawano bajeczne smakowite potrawy, którymi do woli i do syta zaspokajałem głód, a smakami zadowalałem podniebienie.

Któregoś poranka ktoś powiedział, że niedaleko naszego obozu stoi nieduży oddział sowieckiej partyzantki. Szybko porozumieliśmy się z „Szynką”, że pójdziemy tam, pogadamy, może dostaniemy coś do jedzenia. Nie zwlekając, wyruszyliśmy. Po kilkunastu minutach byliśmy u nich. Przyjęto nas przyjaźnie, a po niedługiej rozmowie zaproponowano coś do

zjedzenia, gdyż zbliżała się pora obiadowa. Na to tylko czekaliśmy. Już na samą propozycję leciała ślinka. Podano nam dużą misę, o rozmiarach małej miednicy, szczawiowej zupy i położono bochen chleba. Wyciągnęliśmy zza cholew łyżki, bowiem z łyżką nikt się nie rozstawał, i nie zwlekając ani chwili wzięliśmy się za jedzenie. W mgnieniu oka opróżniliśmy tę ogromną misę zupy. Nalano nam jeszcze jedną, także zjedliśmy z nie mniejszym apetytem. Wydawało się, że wreszcie najedliśmy się, lecz po przejściu kilku kroków po obozie, poczuliśmy, że jeszcze by się coś zjadło. Przy okazji pobytu w nowo zaprzyjaźnionym oddziale ubiliśmy interes – za nasz lotniczy kaem, który ostatnio trochę szwankował i był skazany na zakopanie gdzieś pod krzakiem, otrzymaliśmy trzy krótkie pistolety typu wis, nagona i belgijską efenkę oraz trochę słoniny, masła i chleba. Rosjanie mieli rusznikarza. Zrobił zapewne coś z kaemem. W taki sposób po raz drugi już zahandlowałem broń. Poprzedniej transakcji dokonałem z doktorem „Gryfem”, z którym parę tygodni temu zamieniłem na pepeszkę mojego stena pochodzącego ze zrzutu we Władywopolu. Pepesza wydawała się być bardziej przydatna, a co ważniejsze, o amunicję do niej było łatwiej.

Znów z kilku chłopakami zostałem wysłany na patrol w celu rozpoznania terenu i zorientowania się w możliwościach zaopatrzenia w żywność. Szliśmy bardziej na węch niż na azymut w kierunku odgłosów szczekających psów, porykiwań krów i piania kogutów. To było pewniejsze, dawało większą gwarancję spotkania jakichś osiedli. Szliśmy ciemnym, gęstym lasem, to znowu mijaliśmy zdradliwe bagna, rozległe trzęsawiska zarosłe oczeretami i sitowiem, mijając od czasu do czasu wydmy białego piasku. Wokół panowała grobowa cisza. Mniej więcej po godzinnym marszu napotkaliśmy położoną wśród lasów, otoczoną gęsto z trzech stron wiekowymi sosnami, niedużą wyludnioną wioskę, w której dachy chałup ogołocone były ze strzech. Spenetrowaliśmy wieś dokładnie, nie zauważając świeżych śladów bytności Niemców, chociaż stare ślady kół samochodowych i motocyklowych świadczyły o tym, że osiedla położone nawet w głębi lasów były przez nich odwiedzane. Niestety, nie było w tych chałupach żywności. Któryś z chłopaków znalazł jedynie kilka wysuszonych na kość skórek chleba walających się gdzieś na półkach. Idąc dalej, napotkaliśmy w młodym, gęstym osikowym zagajniku ogromną kolonię uciekinierów mieszkających w prowizorycznych szałasach. Uciekinierzy nie byli zaskoczeni naszą wizytą. Podobne wizyty składali im radzieccy partyzanci. Przyjęli nas gościnnie, czym chata bogata, poczęstowali mlekiem

i pachnącym razowcem. Mówili, gdzie są Niemcy, że wszystko od nich zabrali, a z resztą dobytku musieli uciekać, że niektórym zabrali nawet ostatnią krowę. Zdziwiliśmy się, że poczęstowano nas mlekiem, ponieważ z wyjątkiem kur i paru prosiąt, była ani koni nie uświadczysz. Skąd mleko? W drodze powrotnej, zbaczając nieco z głównej drogi, napotkaliśmy na gęsto zalesionej wyspie wśród mokradeł sporo bydła i koni.

Pod wieczór wróciliśmy do obozu z niczym, ale przynajmniej niegłodni. Jednak coraz bardziej przybliżało się widmo głodu. Wokół wszystkie większe miejscowości były obsadzone przez Niemców, niedaleko przecież był front, a rozrzucone wśród lasów sioła i pojedyncze gospodarstwa były doszczętnie przez nich i przez ciągle tu przebywających partyzantów ogołoczone.

Brak żywności najczęściej rekompensowaliśmy rozmowami o jedzeniu. Słuchaliśmy kulinarnych specjalistów opowiadających o bajecznych potrawach, o tym jak i z czego je przyrządzać.

Na przykład z ilu jaj robi się majonez, ile potrzeba masła, a ile oliwy. Jakie się daje do potraw przyprawy, ile cebuli i szczypiorku, pieprzu, soli. Skwierczały w opowieściach pieczenie na patelniach, pojawiała się ślinka w ustach, rozchodził się aromat znakomitej kuchni, a głód coraz bardziej skręcał kiszki i kurczył żołądek.

Któregoś dnia uciekł jeden z osiemnastu węgierskich jeńców. Być może przeraziło go widmo głodu. Jednak po paru godzinach doprowadzono zbiega. Co z nim zrobić? Zawiódł zaufanie. W partyzanckich warunkach nie upilnuje się takiego. A jeśli ucieknie po raz drugi i sprowadzi na nasze karki Niemców. Węgier siedział pod drzewem z opuszczoną głową. Wiedział, co go czeka. W pewnej chwili poprosił jednego z pilnujących go chłopaków o papierosa. Dostał tytoń, kawałek bibuły i tłący patyk wyciągnięty z ogniska. Skazaniec skręcił papierosa, chciwie i z pośpiechem zaciągnął się dymem raz i drugi. Spieszył się, jakby myślał, że nie zdąży wypalić. Palił ostatni raz w życiu. W chwilę potem rozległa się salwa. Wojennemu prawu stało się zadość.

W końcu zdecydowano się na uderzenie na Hutę Ratneńską, zlikwidowanie niemieckiego garnizonu i zdobycie żywności. Do tej akcji wyznaczono batalion „Zająca”. Stoczył z Niemcami zaciętą walkę. Partyzanci opanowali znaczną część wsi, spalili kilka samochodów, zdobyli sporo amunicji, trochę broni, nawet dwa moździerze, ale nie żywność. W akcji zginął dowódca plutonu podporucznik „Sokół II” (Jeremi Witkow-

ski) i dwóch żołnierzy, a kilku było rannych. Nad ich mogiłą postawiono skromny żołnierski brzozyowy krzyż. Zawieszono na nim biało-czerwoną wstążkę z napisem AK.

Coraz częściej dochodziło do krwawych potyczek z Niemcami. W jednej z nich poległ porucznik „Wilczur” (Skomorowski), organizator słynnej samoobrony i partyzanckiej bazy w Kupiczowie.

Coraz częściej mówiło się, że dowódca dywizji zdecydował przejść przez front na radziecką stronę, że podobno nasze patrole rozpoznawcze szukały już miejsc, gdzie najłatwiej się przebić. Jedno jest pewne, tak czy owak, musieliśmy stąd odskoczyć, bo powyždychamy z głodu.

Życie w ciągłym napięciu i głód powodują u ludzi nastrój obojętności, apatii, rozluźnienia dyscypliny. Zdarzył się bardzo przykry wypadek. Zdezerterowało trzech chłopaków przydzielonych do baonu któregoś z kowelskich oddziałów. Po dniu czy dwóch natknęli się na radzieckich partyzantów, przez których zostali doprowadzeni do sztabu naszej dywizji. W tym czasie sztab przez dwa lub trzy dni stacjonował we wsi. Dezerterów aresztowano i zamknięto w zaimprovizowanym w stodole areszcie, postawiono strażę. Nieszczęśnicy zdawali sobie sprawę, co ich czeka. Zwołano sąd polowy, który skazał ich na karę śmierci przez rozstrzelanie. Innego wyroku się nie spodziewano. Na pluton egzekucyjny wyznaczono pluton szturmowy, w którym po ostatnich reorganizacjach znalazłem się i ja. Miałem wziąć udział w wykonaniu wyroku sądu polowego. Żadne to wyróżnienie, a ogromnie tragiczna sprawa. Rozstrzeliwać kolegów, z którymi wspólnie przeżyliśmy ciężkie chwile, znosiliśmy trudy i znoje, jak się mówi z jednej miski jedliśmy, a teraz trzeba będzie do nich strzelać. Czyż nie okropne są te piekielne prawa wojny? Zrozumiałe, że dyscyplina, szczególnie w partyzantce, powinna być twarda, żelazna, nieustępliwa, tym bardziej że polega na dobrowolnym podporządkowaniu się, a nie nakazanym rygorze. Byliśmy przecież ochotnikami bez mobilizacji i kart powołania. Wsparci tradycją i wewnętrzną potrzebą wypełnialiśmy dobrowolnie rozkaz walki. Dlatego zgodziliśmy się na śmierć i nie wolno nam było tchórczyć. Przecież szło o byt narodu. Rozumiałem to, a jednak żal mi było tych fajnych chłopców, tych młodych istnień. Co czuli ci nieszczęśliwcy? Właściwie można się było domyślić. Wiedzieli, że za kilkanaście chwil rozstaną się życiem. Gdy tak rozmyślam, serce waliło mi jak młotem, a w głowie powstała pustka. Gdybym miał jakiś alkohol, spiłbym się chyba, łatwiej byłoby strzelać.

I niezwykle szczęście, chłopcy zostali ułaskawieni, darowano im życie. My także byliśmy szczęśliwi i ogromnie radzi. Chwaliliśmy rozsądek naszych dowódców.

Nastał 19 maja. Przybył duży radziecki konny oddział partyzancki majora Iwanowa. Fakt ten, jak i nasza akcja na Hutę Ratneńską, zaniepokoił Niemców, którzy postanowili oczyścić teren szackich lasów, nacierając koncentrycznie z trzech kierunków: Orzechowa, Mielnik i Huty Ratneńskiej. Natarcie niemieckie miało na celu zepchnąć nas na bagna nad Kanałem Lisowskim. Od świtu 20 maja zaczynają się walki. Od strony Huty osłaniała nas radziecka partyzancka brygada im. Bujanowa. Nie wytrzymała jednak silnego naporu i wycofała się, tracąc z nami łączność. Walczyliśmy jeszcze wraz z oddziałem Iwanowa, ale następnego dnia zostaliśmy zepchnięci na skraj lasu o małej powierzchni. Znaleźliśmy się znów w zamkniętym kotle razem ze zgrupowaniem Iwanowa. Będziemy się przebijać. Ale w jakim kierunku? Może w kierunku bliskiego już frontu, na radziecką stronę? Podobno dzisiaj rano powrócił rozpoznawczy patrol, który miał szukać w miarę bezpiecznego przejścia przez front na stronę radziecką, ale nie znalazł.

Pod wieczór wiedzieliśmy już, że ostatnią noc spędzimy w szackich lasach, że będziemy przebijać się z okrażenia w trzech kolumnach i w trzech kierunkach, a po przebiciu przez front przejdziemy na radziecką stronę. Na miejsce spotkania za frontem wyznaczono Kamień Koszyrski. Wraz z nami jako czwarta kolumna ma się przebijać oddział majora Iwanowa. Byłem w grupie, którą dowodził dowódca dywizji. Drugą grupą dowodził kapitan „Garda”, trzecią major „Kowal”.

Wieczorem, o godzinie dziewiątej, wyruszyliśmy w kierunku północnym, na razie wzdłuż toru leśnej kolejki Zabłocie – Szack, miejscami dobrze pilnowanej przez Niemców i Węgrów.

Posuwaliśmy się w nocnej ciszy, ostrożnie, bez szmeru. Jednak od czasu do czasu zachrzącało coś pod nogami lub bagnet czy karabin uderzył o menażkę albo manierkę. Szliśmy na przełaj przez moczary, bagna i rzeczki. Odczuwało się jakiś mdły zapach mokradeł i traw, który odurzał jak czad. Gdzieś odzywało się kumkanie żab. Świszczące, krótkie oddechy wydobywały się z piersi żołnierzy. Tempo marszu było ostre. Czułem, że od potu koszula przylepiała się do ciała. Strzelano w górę rakietami, to gdzieś daleko jak olbrzymie meteory, to znów tuż obok, oświetlając wierzchołki drzew i krzewów. Od czasu do czasu słychać strzelaninę, zapewne

ostrzeliwują nasze kolumny. Nagle z boku padł pojedynczy strzał i leci rakietą. Na chwilę zamarliśmy w miejscu. Widocznie niemiecka placówka lub patrol zauważył podejrzany ruch. Z daleka odezwały się niemieckie kaemy, lecz strzelając na oślep nie robiły nam krzywdy, tylko nieraz gwizdnęła gdzieś obok zabłąkana kulka.

Pochyleni do przodu szliśmy coraz szybciej i szybciej, wreszcie biegliśmy, aby jak najprędzej wyjść ze strefy ognia. Niemcy jakoś nie mieli ochoty zapuszczać się do lasu w pogoń za nami. Po chwili jednak nad naszymi głowami, ze świstem i furkotem przeleciały móżdżerzowe pociski, ale na szczęście wybuchały za nami. Krótka przerwa i to samo. Brnęliśmy po kolana w trzęsawiskach i znów przecięła nam drogę nieduża, płytka, lecz o mulistym dnie rzeczka. Wyszliśmy na drugi brzeg, ociekając wodą i wynosząc na sobie przeróżne glony i czarną zawieszinę. Tej nocy już dwie lub trzy rzeczki przechodziliśmy w bród. Wyszliśmy jednak z okrażenia, jeszcze jednego w ciągu ostatnich tygodni. Najważniejsze, że bez strat.

Reszta nocy minęła spokojnie. Wciąż jeszcze szliśmy szybkim marszem naprzód. Żołnierze byli przemoknięci, zmęczeni, z napuchniętymi od niewyspania powiekami. Zaczynał budzić się już dzień. Ciekawe, co przyniesie, czy nowe zmagania i trudy? W ciszy weszliśmy na rozległe łąki, przez które leniwie płynęła jeszcze jedna rzeczka. I znów przymusowa kąpiel. Weszliśmy do wody z obrzydzeniem, poczułem jak nogi uwięzły mi w kleistym mule, tak że poruszałem się z trudem i marzyłem o lesie i wypoczynku. Nastął dzień. Na bezchmurne bładoniebieskie niebo wytoczyła się ognista kula słońca.

Słońce było już wysoko, gdy dostaliśmy się do gęstego, starego lasu, w którym zatrzymaliśmy się opodal jeziora. Pomimo forsownego marszu i umęczenia, zaczęliśmy przepierać i suszyć swoje zawszone i utyłane w błocie, mule i wodorostach łachy.

Wokół wiekowy las, jakiś nieruchomy, jakby martwy, najmniejszy nawet liść nie poruszał się na gałęzi. Nie słychać świergotu ptaków, ani zwyczajnych odgłosów lasu.

Był 22 drugi maja. Otrzymaliśmy radiowy rozkaz z Komendy Głównej AK, aby zamiast za front przejść całością sił dywizji na teren Generalnej Guberni. Niestety, łączności radiowej z kolumnami „Gardy” i „Kowala” nie sposób było nawiązać, bowiem jedyna radiostacja, która po różnych perypetiach została, znajdowała się w grupie dowódcy dywizji. Wysłane natomiast patrole w celu zawrócenia, naszych grup nie spotkały. Patrol

rozpoznawczy z grupy majora „Kowala” szedł w ślad za grupą kapitana „Gardy”, zorientowawszy się o niebezpiecznej przeprawie przez Prypeć zawrócił i zameldował o tym „Kowalowi”. Major natychmiast zawrócił swoją kolumnę i skierował się do Puszczy Białowieskiej. Po drodze jednak napotkał niebezpieczne przeszkody. Wówczas przeszedł za Bug i na terenie Lubelszczyzny połączył się z grupą majora „Żegoty”.

Jakie losy spotkały kolumnę kapitana „Gardy” dowiedziałem się po kilku miesiącach od spotkanych żołnierzy służących u generała Berlinga w szeregach I Armii.

A oto relacje: „Garda” po wyjściu z szackich lasów parł całą siłą w kierunku frontu. W skład jego grupy wchodził batalion porucznika „Zająca” (Zygmunt Górka-Grabowski), później jeden z dzielniejszych oficerów I Armii Wojska Polskiego, batalion Krwawa Łuna pod dowództwem porucznika „Ćwika” (Zygmunt Malinowski) oraz oddział radziecki. W grupie było około pięciuset Polaków i około dwustu Rosjan.

Spotkany w drodze idący na zachód świeżo przerzucony przez front Oddział partyzantki radzieckiej wskazał najdogodniejsze przejścia i sposób nawiązania łączności. „Garda” wysłał przed sobą patrol, licząc, że dowódca patrolu dojdzie do Prypeci i nawiąże łączność, maszerował prawie tuż za nim. Okazało się jednak, że patrol nie doszedł i łączności nie nawiązał. Mimo takiej sytuacji, „Garda” zdecydował się działać, wszedłszy bowiem między wzmocnione czołowe pozycje niemieckie nie miał innego wyjścia. Gdy padły pierwsze niemieckie strzały, kolumna ruszyła biegiem w kierunku Prypeci. Rosjanie zauważyli biegnących. Przypuszczali, że to niemieckie natarcie.

Otworzyli silny ogień artylerii, moździerzy, karabinów maszynowych i przesunęli go na pozycje niemieckie, przez które przedzierała się grupa „Gardy”, pokonując po drodze linie obronne. Pod tym huraganowym, niszczącym ogniem żołnierze pędzili na łeb na szyję, byle jak najszybciej dotrzeć do rzeki.

Przedarli się za rzekę pierwsi żołnierze i wyjaśnili tragiczne nieporozumienie, które pociągnęło za sobą olbrzymie straty w ludziach. Zginęło stu kilkudziesięciu żołnierzy, jedni od kul i pocisków, inni w nurtach Prypeci, nie licząc rannych, w tym kilkunastu podoficerów i pięciu oficerów: „Garda”, „Piotruś Mały” (Władysław Cieśliński), „Czesław” (Szczepan Jasiński), „Czech” (Bronisław Bedychaj) i „Samson” (Władysław Anuskiewicz).

Pozostali przy życiu, po kilku dniach zostali przetransportowani do Kiwerc na Wołyniu i wcieleni do I Armii Wojska Polskiego.

Rannych żołnierzy przewieziono w rejon Kiwerc do szpitala bazy samoobrony polskiej w Przebrażu, która jak niegdyś Zbaraż przez kilka miesięcy stawiała nieugięty opór przed ukraińskimi nacjonalistycznymi hordami.

Drogo kosztowało to przebicie się przez front!

Tak zakończyła się epopea części 27 Dywizji.

PRZEJŚCIE BUGU

Gdy „Garda” ze swoją grupą szedł w kierunku frontu na Prypeć, grupa dowodzona przez „Żegotę” – po otrzymaniu rozkazu przebicia się do Generalnej Guberni – pomaszerowała na zachód.

Znów maszerowaliśmy ostępami leśnymi, duktami, zataczając duże zakola, omijaliśmy większe skupiska ludzkie, gdzie mogły mieścić się nieprzyjacielskie garnizony lub placówki. Lepiej, aby nieprzyjaciel nie odgadł naszych zamiarów, tym bardziej że w wyniku przesuwania się działań frontowych na zachód Niemcy umacniali się wzdłuż Bugu. Toteż należało się śpieszyć, aby nieprzyjaciel nie usadowił się całkowicie na rzece, tworząc linię frontu, co uniemożliwiłoby przedarcie się przez front.

Biwakowaliśmy w lasach i prowadziliśmy nieustanne rozpoznanie, szukaliśmy najbezpieczniejszych dróg i miejsc przeprawowych.

Po paru dniach dotarliśmy do Bugu. Były pierwsze dni czerwca. Ciepło, słonecznie, urzekająca pogoda. Noce bardzo krótkie, nie zdążyło się ściemnić, a już świtało. Czasu na nocne marsze i przeprawy mieliśmy niewiele. Nie było środków przeprawowych, forsować rzekę trzeba było w bród.

Prowadziliśmy rozpoznanie terenu, często przy pomocy przewodników Ukraińców, którzy nie zawsze dobrowolnie i chętnie udzielali nam pomocy. Zdarzało się, że informowano nas wręcz fałszywie. Podprowadzał taki przewodnik do rzeki, wskazując bród, po sprawdzeniu okazywało się, że to nie bród, a głęboka, wartka woda. Albo przez kilka godzin krążył w kółko, aby wreszcie powiedzieć: „*Panoczku ne znaju hde bude dobre prochodyty*” (Panie, nie wiem, gdzie będzie dobre przejście). Takiemu przewodnikowi spuszczano porządne lanie i puszczano do domu. Musiał jednak trzymać język za zębami. W przypadku stwierdzenia celowego wprowadzania w błąd i narażania oddziału na niebezpieczeństwo wysyłano go po prostu do Bozi. Takie brutalne są prawa wojny.

Parokrotnie podchodziliśmy do Bugu i napotykaliliśmy przeszkody. Raz ostrzelali nas Niemcy. Innym znów razem podchodząc do rzeki podczas forsowania toru kolejowego ostrzelani zostaliśmy przez Węgrów, został nawet ranny jeden z naszych żołnierzy Józek Chorążeczewski.

Podzielono grupę na dwie. Jedna z dowódcą dywizji udała się na północ, w rejon Kodenia, druga pod dowództwem porucznika „Piotra” na południe od Sławatycz.

Byłem w grupie „Piotra” w szturmowym plutonie porucznika „Białego”.

Dotarliśmy do rzeki. Cały dzień spędziliśmy w nadburzańskich łożach. „Piotr” wysłał parę patroli na rozpoznanie terenu i wyszukanie brodu.

Jeden z tych patroli to „Kret”, „Szynka” i ja. Patrolowaliśmy wschodni brzeg rzeki, oglądaliśmy jej koryto, nurt, wyznaczaliśmy miejsca, gdzie wydawało się, że jest bród. Wszyscy nieźle umieliśmy pływać. Umiejętność ta miała uratować nas od niechybnej śmierci.

Podczas tego rekonesansu spotkaliśmy Polaka, mieszkańca kolonii Dąbki, leżącej około pięciu, sześciu kilometrów po wschodniej stronie Bugu, który miał nad rzeką swoją łąkę i wieczorkiem przyszedł zobaczyć, czy już może się zabrać do koszenia trawy. Wskazał nam przeprowowe miejsce, które sprawdziliśmy, przeprawiając się na przeciwległy brzeg i z powrotem. Według naszego rozpoznania, głębokość brodu wynosiła od sześćdziesięciu paru do około stu czterdziestu centymetrów, łagodne zejście z brzegu i wejście po stronie przeciwnej. Jedyne mankament to wartki nurt rzeki.

Był już wczesny czerwcowy wieczór, gdy wróciłem z patrolem do nadbrzeżnych zarośli, w których był „Piotr” z oddziałem.

Wieczór ciepły, pogodny, pachnący świeżością wiosennej nadburzańskiej zieleni. W przyrzecznych rozlewiskach rechotały żaby, to z furkotem zrywało się spłoszone wodne ptactwo. Po zachodniej stronie rzeki, chyba w Pawlukach, porykiwały krowy i szczekały psy.

Po przybyciu złożyłem szczegółowy meldunek o znalezieniu brodu. Przyprawiliśmy Polaka z Dąbek, dzięki któremu wyszukaliśmy dogodną przeprowę.

Porucznik „Piotr” zdecydował, że przez następny dzień zatrzymamy się w kolonii Dąbki. Dokładniej, przeprowadzimy rozpoznanie przede wszystkim po zachodniej stronie Bugu, gdzie i jakie znajdują się niemiec-

kie garnizony lub placówki. Niemcy organizowali przecież na Bugu linię frontu.

Dziki jest Bug. Wspaniałe są te rozległe, bujne nadburzańskie łąki z mniejszymi i większymi kępami drzew i krzaków, z głębokimi „oczkami” – bagienkami lub małymi jeziorkami, starorzeczami zarosłych łąkami grzybieni.

Z przybrzeżnych nadburzańskich chaszczy przenieśliśmy się do Dąbek. Zakwaterowaliśmy się u swoich, dawno niespotykanych na tamtych terenach, Polaków. Przyjęto nas nadzwyczaj gościnnie i serdecznie.

Nazajutrz był 8 czerwca. Święto Bożego Ciała, które uroczyste, stosownie do wojennych czasów, obchodzono również w Dąbkach.

Dnia 9 czerwca późnym popołudniem wyszliśmy z gościnnych Dąbek na przeprawę i już we wczesnych godzinach wieczornych dotarliśmy do miejsca przeprawowego.

Znów otrzymałem zadanie od porucznika „Białego” przeprowić się z „Kretem” i „Szynką” na zachodni brzeg, udać się do pobliskiej wsi Pawluki, wziąć tam przewodnika, wrócić do miejsca przeprawowego, gdzie po sforsowaniu rzeki cały oddział będzie czekać na nasz powrót z przewodnikiem.

W trójkę bez przeszkód przeprowiliśmy się przez bród i udaliśmy się do Pawluk. Nastąpiła już noc. Nad nami wisiała gęsta, wilgotna, pachnąca oparami mokrych łąk mgła. Brodziliśmy w głębokich koleinach drogi lub w wysokiej trawie pokrytej grubą warstwą rosy. Upewnieni przed wymarszem przez porucznika „Białego”, iż w najbliższym terenie nie ma żadnych niemieckich placówek, nie obawiając się niespodzianek, śmiało szliśmy. Raz po raz któryś wpadał w głęboką koleinę i posyłał pod niczym adresem wiązkę siarczystych epitetów.

Wreszcie w oddali zarysowują się kontury domostw. Z prawej strony na skraju wsi pojawiła się oddaloną około dwustu metrów od nas nieduża chałupina. Powiedziałem do chłopaków, że nie wejdziemy do wsi drogą, a pójdziemy do tej najbliższej chałupy, weźmiemy przewodnika i wrócimy do swoich. Tak jakby mi coś podpowiadało. Często partyzantom podpowiadała intuicja. Człowiek przebywający dłuższy okres w lesie w partyzantce wyrabia w sobie prawie nieomylną intuicję, która zazwyczaj nie zawodzi. Zbliżyliśmy się do owej chałupiny, a tu naraz: „*Halt! Parole!* (Stój! Hasło!). Jednocześnie z sykiem wzbija się w górę, zataczając łuk, rakietą oświetlająca teren. Zaraz za nią długa seria z peemu, za chwilę

rozpętała się wokół nas chaotyczna, huraganowa strzelanina. Najsilniejsza jednak od strony, z której przyszliśmy. Zaskoczeni i zdeorientowani znaleźliśmy się w środku ognia. Zdezorientowani Niemcy wypadali z domów, niektórzy w bieliźnie, strzelając na oślep z karabinów. Wycofaliśmy się w kierunku, w którym było jakby spokojniej. Zauważyłem, że zbliżaliśmy się do rzeki. Już ją widać, już do niej niedaleko, może pięćdziesiąt metrów. Ale czy będzie dla nas ratunkiem?

Wszystko jedno co będzie, decyduję się przepłynąć rzekę w pław. Żyjemy jeszcze wszyscy trzej. Krzyczę: „Chłopaki, idziemy w pław!”. Nie mieliśmy wyboru, skoczyliśmy do wody, przedtem pozbywając się części żołnierskiego ekwipunku, aby było lżej płynąć.

Płynęliśmy na zbawienną drugą stronę. Strzelanina nie ustawała. Kule wpadały do wody, a rykoszety przeraźliwie gwizdały. Noc, chociaż oświetlana rakietami, dawała jakąś szansę, że nie wystrzelają nas jak kaczki. Cudem chyba wyrwaliśmy się z tego piekła. Ale to jeszcze nie koniec niebezpieczeństwa, przed nami ostrzeliwana przeciw rzeką. Nie wiemy także z czym się spotkamy po przeciwnej stronie. Płynęliśmy jeszcze wszyscy, choć z ogromnym wysiłkiem. Przemokłe ubranie ograniczało bardzo ruchy.

Jeszcze musiałem pozbyć się karabinu i wisa, bo utonę. Zrzuciłem karabin, a z wisem nie rozstałem się. Dyszałem ciężko, płuca pracowały jak kowalskie miechy, w gardle rzeziło. Ręce i nogi coraz bardziej odmawiały posłuszeństwa. Było niedaleko do brzegu, płaskiego i porośniętego łożami. Wydawało mi się, że chyba nie dopłynę. Nogi zeszywniały, a do brzegu może trzy, cztery metry. Nie myślałem o dalszym uwalnianiu się od ciężaru, bo to nie miało sensu. Siłą woli zdobyłem się na ostatni wysiłek i dobiłem do brzegu. Chwyciłem się łoży i przy jej pomocy podciągnąłem się jeszcze bardziej, dotykając kolanami do dna. Jednak na nogi stanąć nie mogłem. Nagle pojawił się nade mną Włodek i pomógł się wydostać. Padłem na ziemię i leżałem przez kilka minut, poruszając powoli nogami. Ale już za chwilę wstałem o własnych siłach. Wkrótce po mnie wygramolił się „Kret”. Żyliśmy wszyscy! Dobrze, że ten epizod zakończył się szczęśliwie z drobną i nieco śmieszną przygodą.

„Kret” wyszedł z wody w spódnicy. Jak go w tym bliżej nieokreślonym stroju zobaczyliśmy, to mimo niedawno przeżytych dramatycznych chwil, parsknęliśmy śmiechem. Okazało się, że miał na sobie bryczesy i wysokie buty z cholewami. Spodnie uszyte były z nieprzemakalnej tkaniny. Dostało się do nich sporo wody. Gdy wygramolił się na brzeg, woda

musiała znaleźć ujście. Widać szwy tęgie nie były, więc puściły i Stasio objawił nam się w spódnicy.

Pomyślałem, że z opresji tej wyszliśmy żywi i cali chyba dlatego, że „Kret” miał najwięcej szczęścia. Przed rokiem cudem uniknął śmierci. Można powiedzieć, że był już na tamtym świecie. Takie dramatyczne chwile przeżył „Kret”. W 1939 roku jako poborowy odbywał służbę w wojsku. Tam zastała go wojna. Od pierwszych dni brał w niej udział. Trafił do niemieckiej niewoli, skąd udało mu się zbiec w lutym 1943 roku. Wrócił do swojej rodzinnej wsi Niemila w powiecie kostopolskim na Wołyniu. Niedługo sądzone mu było cieszyć się powrotem do domu i do rodziny. Już w maju 1943 roku „bulbowska”, ukraińska, banda *rezunów* napadła na jego wieś i rodzinny dom. Wtedy zostało zamordowanych w bestialski sposób siekierami, nożami, bagnietami ponad ośmiuset Polaków: mężczyzn, kobiet, dzieci i starców. Zamordowano wówczas jego rodziców i rodzeństwo z małymi, nieletnimi dziećmi. Niektórzy z nich zostali żywcem wrzuceni do palących się domostw.

Została przy życiu jedna z jego siostr, Tosia, która w tym czasie była poza wsią. Później była z nami w partyzantce. Staszka także chciano zamordować. Zadano mu piętnaście klutych bagnietem ran. Cztery klucia na wylot.

A oto co mówił o przeżytych dramacie: *„Bulbowcy” napadli na wieś z zaskoczenia. Niewielu miało możliwość ratować się ucieczką. Mnie wraz z domownikami zastali w mieszkaniu. Nie miałem żadnej możliwości ucieczki. Zaczęto nas mordować. Mnie zadawali ciosy bagnietem. Nie bardzo orientowałem się, co się działo z pozostałymi domownikami. Słyszałem jedynie jęki mordowanych i dzikie okrzyki morderców. Odczuwałem okropny ból. Byłem jeszcze przytomny. Słyszałem, jak któryś z „bulbowców” krzyczał, że już wszystkich wymordowano, a teraz trzeba podpalić dom. I jeszcze któryś krzyczał, zapewne jakiś „komandyr”, żeby zabrali z domu żywność, słońinę i mięso. Pamiętam, leżałem jeszcze w domu, jak sufit zaczął się palić. Dom był drewniany. Dotarła do mojej świadomości myśl, że spalę się żywcem. Strasznie broczyłem krwią. Czulem, że opuszczają mnie siły. Jakimś ostatnim nadludzkim wysiłkiem wyczołgałem się z palącego się domu. Nie wiem skąd miałem siłę. Już na podwórku straciłem przytomność, którą odzyskałem po kilkunastu godzinach w szpitalu. Zostałem odnaleziony przypadkowo przez sąsiada, młodego jeszcze wówczas Adama Bronowickiego, który także, jak moja siostra, podczas napadu był gdzieś w polu.*

Nieprzytomnego, broczącego krwią odwieziono mnie do ukraińskiej wsi Bystryce nad rzeką Słucz, w której stacjonował niemiecki garnizon. Tam udzielono mi pierwszej pomocy. Następnie wraz z innymi ciężko rannymi Niemcy odwieźli mnie do szpitala w Kostopolu. Lżej rannych odwieziono do Bereznego.

W szpitalu leżałem przeszło dwa miesiące. Po wyleczeniu się i wyjściu ze szpitala nie miałem dokąd wracać. Rodzina wymordowana. Dom i cały dobytek spalony.

Niedaleko w Starej Hucie stał partyzancki oddział „Bomby”. Wstąpiłem do tego oddziału.

Przygoda przygodą, ale co robić dalej? Zdecydowaliśmy szybko, aby pójść do miejsca, w którym przeprawiał się oddział. Przeprowadzić się jeszcze raz na stronę zachodnią, może spotkamy tam naszych oczekujących nas w ukryciu.

Tak też zrobiliśmy. Po przeprowieniu się nie spotkaliśmy nikogo, jedynie zauważyliśmy wyraźne ślady przypląszczonej trawy, jakby po niej przejechał walec. Po śladach można było się zorientować, że oddział poszedł, nie oczekując na nasz powrót. Ale dlaczego? Jaki powód? Co się stało, że nie czekali? Nie wiadomo. Może w wyniku tej strzelaniny. Ale Niemcy walczyli chyba nie z naszym oddziałem. Ponieważ tych niewiadomych było sporo, postanowiliśmy wrócić znów na wschodni brzeg Bugu. Tym bardziej że noc zaczęła już ustępować dniowi. Poruszanie się w dzień bez rozpoznania w nieznanym terenie byłoby nierozsądne i niebezpieczne. Nie mieliśmy mapy. Miałem tylko kompas. Wiedzieliśmy też, że musimy iść w kierunku na zachód, w Parczewskie Lasy.

Wróciliśmy do Dąbek. Przemoczeni, zziębnięci, zgłodniali. Diabelnie chciało się palić, ale tytoń, bibułka i zapalki były mokre. „Szynka” strasznie kłął.

Szliśmy leśną drogą. Było jeszcze przed wschodem słońca, ale już widno. Las się rozbudził. Ptaki świergotały, szczebiotały, gwizdały. Przed nami wybiegła na drogę wiewiórka. Zatrzymała się zadarłszy puszysty ogonek, sterczący pionowo jak husarskie skrzydła. Spojrzała raz i drugi ze zdziwieniem błyszczącymi oczkami na nieoczekiwanych przybyszach i zaraz znalazła się na drzewie. Zrywały się do lotu spłoszone ptaki. Naszym pragnieniem było jak najszybciej dotrzeć do Dąbek, wysuszyć łachy i ogrzać się, już nawet nie jeść, ale zapalić papierosa i spać. Orzeźwił nas świeży, ostry zapach lasu, traw i leśnych kwiatów.

Powoli wychylała się wielka, czerwona kula słońca, a w jego rozłozystych promieniach wyraźnie rysowały się zabudowania Dąbek. Z kominów snuł się leniwie biały dym.

Nasi gospodarze, u których jeszcze wczoraj mieszkaliśmy, już się krzątali w obejściu. Przyjęli nas serdecznie, lecz nie bez zdziwienia. Zaspokajając ich ciekawość, opowiedzieliśmy co się stało i dlaczego wróciliśmy.

Przebrano nas w suchą bieliznę i położono do łóżek pod ciepłe pierzyny. Nasze mokre ubrania rozwieszono przy rozpalonym piecu.

Chociaż marzyłem o śnie, to jakoś nie mogłem zasnąć. Władek wydąwszy wargi jak dziecko, pochrapywał cicho, a Staszek mu wtórował. Wreszcie i ja zasnąłem twardym snem.

Około południa obudził nas gospodarz i powiedział, abyśmy przeszli do stodoły, gdyż do wsi przyjechali Niemcy i nie wiadomo, jakie mają zamiary. A gdyby jednak chcieli zajrzeć do zagrody, to ktoś z domowników nas zaalarmuje. W stodole od strony lasu były wyrwane trzy czy cztery deski i przez ten otwór w razie czego należało wycofać się do nieopodal rosnącego żyta i do lasu.

Niemcy w zagrodzie nie pojawili się i nie zakłócili spokoju.

Pod wieczór wysuszeni, wypoczęci, po zjedzeniu gorącego obiadu, zaczęliśmy się przygotowywać do wymarszu.

Przed tym jeszcze przyszło zaproszonych przez naszego zacnego gospodarza paru mieszkańców kolonii, którzy po sąsiedzku znali nadburzańskie zachodnie tereny i zapoznali nas z ich topografią, co już za parę godzin ułatwiło nam poruszanie się w tym obcym, nierozpoznanym terenie, chociaż nie uniknęliśmy przygody.

Znów szliśmy przez las, później przez trawiaste łąki, przybrzeżne szuwary, łązy i dotarliśmy do znanego nam dobrze miejsca przeprawowego. Nie ukrywając się zbyt, zaczęliśmy od obserwacji zachodniego brzegu. Niczego nie zauważywszy, zdecydowaliśmy się na przeprawę.

Tym razem pozwoliliśmy sobie na pewien luksus, bowiem rozebrani do pasa, bez butów, unosząc nad głowami ubranie, broń i amunicję weszliśmy do wody, która miejscami sięgała do pachy. Bez pośpiechu, spokojnie przeszliśmy bród. Ubraliśmy się, wypaliliśmy papierosa, bo nie wiadomo, kiedy znów się zapali. Zorientowałem busolę i ruszyliśmy na przełaj na zachód, omijając jakieś rozlewiska i rowy, w których jak zwykle o tej porze roku rechotały miliony żab.

Widoczność była zła, gdyż weszliśmy w mgłę leżącą nad łąkami. Przed nami, jak okiem sięgnąć, nie widać ani drogi, ani chałup. Według nas powinniśmy już dotrzeć do wsi Dołhobrody, ale wciąż idziemy we mgle przez łąki zroszone grubą rosą. Nogi przemokły nam do kolan. Weszliśmy wreszcie na jakąś dróżkę z głębokimi koleinami. Przez mgłę przebijały się nikłe światełka z domostw oraz kontury wsi. Pewnie Dołhobrody. Mieliśmy tylko zasięgnąć języka i maszerować dalej, aby rano dotrzeć do wsi Lack. Dochodziliśmy do maleńkiego mostku na jakimś rowie. Szedłem pierwszy. W pewnej chwili wydawało mi się, że zauważyłem dwie ludzkie sylwetki, które się poruszyły, a jedna z nich jakby przykucnęła. Podniosłem rękę, zatrzymałem się i także przykucnąłem, aby lepiej zaobserwować przedpole. W nocy, tym bardziej we mgle, bliżej ziemi jest lepsza widoczność. Ale nic się nie poruszało. Pewnie mi się wydawało. Na wszelki jednak wypadek mówię szeptem do chłopaków: „Przejdziemy mostek i pójdziemy w prawo. Do wsi wejdziemy z innej strony”.

Ostrożnie i cicho przeszliśmy mostek, skręcając w prawo weszliśmy w niezauważone przedtem bagno. Gdy rozległ się chłupot wody, padł znany gardłowy okrzyk: „*Halt! Parole!*”. Oświetlająca rakietą i serią z peemów.

Rzuciliśmy się przed siebie jak charty. Wypadliśmy z bagna w rzadko zadrzewiony i krzaczasty teren, prac do przodu obawialiśmy się, żeby nie wpaść znów na jakąś czujkę lub patrol.

Dobiegliśmy do widocznej już szosy. To szosa, o której mówili nam gospodarze, ale wspominali, że jest patrolowana. Ostrożnie, pod osłoną drzew i krzaków podeszliśmy do szosy, chwilę zaczekaliśmy, nie zauważając nikogo, przeskoczyliśmy jednym susem i znaleźliśmy się w otwartym polu, w zbożu sięgającym po pas.

Strzelanina trochę ucichła, ale nie ustała. Widać szwabę także się przestraszył i „pukają” dla odstraszenia nieproszonych gości.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odsapnąć i zorientować kompas. Była późna noc, ale daleko nie uszliśmy. Chociaż kilometrów zrobiliśmy sporo, omijając rozlewiska i rowy. Do Lacka będzie około dziesięciu kilometrów. Do rana zdążymy bez większego trudu. Teraz szliśmy przez pola miedzami, to znów przez zasiewy lub piaszczystą rolę. Wyszliśmy ze strefy mgły. Księżyc stawał się coraz bardziej widoczny. Noc była ciepła. Cykały koniki polne.

Daleko na horyzoncie było widać czarne obramowanie lasu, przed nim jakąś zagrodę i parę drzew.

Postanowiliśmy wejść do zagrody i zasięgnąć informacji o położeniu niemieckich placówek i garnizonów.

Zachowując reguły bezpieczeństwa, podszedłem do okna. „Szynka” z „Kretem” ubezpieczali mnie. Zapukałem raz i drugi, nikt nie otwierał ani się nie odzywał, chociaż w chałupie usłyszałem szmery. Musiałem postraszyć, że jeśli nie otworzą, to przez okno wrzucę granat. Widać było to bardziej przekonywujące, bowiem odezwał się z ukraińskim akcentem na pół płaczący pojękujący kobiecy głos, że poza nią w domu nikogo nie ma, a ona jest chora, ale zaraz otworzy. Na zachodnich nadburzańskich rubieżach sporo mieszkało Ukraińców. Zabłyśło światło, a za chwilę zachrobotła zasuwa.

Przywołałem z ubezpieczenia „Szynkę” i weszliśmy do chałupy. Lustrując chałupę zauważyłem męskie ubranie i buty. Na pytanie, do kogo należy ten męski ubiór, odpowiedziała, że to męża. Mąż, bojąc się przykrych niespodzianek, skrył się na strychu, ale zaraz go sprowadzi. Kobiecie kazałem wziąć lampę i wysłałem z nią Władka.

Za chwilę schodził po drabinie w białiznie, bosy, dygocący ze strachu okolo pięćdziesięcioletni, rosły, barczysty chłop. Zacząłem wypytywać o najbliższe miejscowości, w których są Niemcy, a kobietę poprosiłem o poczęstunek. Byliśmy dobrze głodni. Chłop mówił, że Niemcy są w Pawlukach i Dołhobrodach. Czy byli w Lacku i innych sąsiednich miejscowościach, tego on na pewno nie wiedział, ale w Lacku raczej nie. Mówił także, że wczoraj w nocy w Pawlukach partyzanci bili się z Niemcami, że zginęło kilku partyzantów i Niemców. Kobieta położyła na stole razowy chleb, ser i masło. Postawiła dzban mleka. Chłop przestał się denerwować, zapaliwszy papierosa, spokojnie już odpowiadał o interesujących nas sprawach. Jego żona jakby wyzdrowiała, już nie pojękiwała. Po posiłku i krótkim odpoczynku wyruszyliśmy w dalszą nieznaną drogę do Lacka.

Doszliśmy do piaszczystego traktu, idąc nim spory kawałek poszliśmy na przelaj przez zakrzaczony, podmokły teren. Wkroczyliśmy już przecież na lubelskie Polesie. Niewiele przypomina ono Polesie, które niedawno jeszcze jak mogło nas gościć. Wiele jezior. Dużą powierzchnię zajmowały lasy. Ale było tu wiele urodzajnych pól. Inne były wsie i chałupy. Inny pejzaż.

NA LUBELSZCZYŹNIE

Z zakrzaczonego podmokłego terenu weszliśmy na kępiaste bagno. Przeskakując z kępy na kępę, znaleźliśmy się w gęstym olchowym lesie.

Niebo od wschodu różowiało. Drobne chmurki płynęły gdzieś na zachodni horyzont. Wstawał pogodny dzień. Widać jakąś polanę i spoza drzew unoszący się dym. Zaczęliśmy się domyślać, że to może nasz oddział biwakował. Z nadzieją, że za chwilę spotkamy swoich, wyciągnęliśmy krok. W miarę zbliżania się do owego dymu, nadzieja na spotkanie swoich przysła. Widać wyraźnie palący się ogień, który to przygasa, to znów wybucha płomieniem. Przy ognisku krząta się dwóch cywilnych mężczyzn. Opalają słomą zabita świnia. Może jednak ci ludzie wiedzieli lub słyszeli cokolwiek o naszych. Niezauważeni podeszliśmy na odległość około dwustu metrów. Kiedy nas zauważyli, to każdy w swoją stronę, wzięli nogi za pas.

Zawołałem, aby nie uciekali, że jesteśmy swoi. Zatrzymali się. Chwila namysłu i niepewnym jeszcze krokiem wrócili do ogniska. Powiedziałem, że jesteśmy polskimi partyzantami i zapytałem, czy wczoraj nie przechodził tędy oddział polskiej partyzantki. Wtedy nieufność stopniała. Zaczęli opowiadać, że są mieszkańcami wsi Lack. Po kryjomu przed okupacyjną władzą zabili własną świnia i przywieźli do lasu, aby ją opalić i oporzadzić. Wczoraj istotnie przechodził partyzancki oddział, który w Pawlukach nad Bugiem miał potyczkę z Niemcami. W potyczce zginęło paru partyzantów, a wśród nich oficer. Stąd udali się prawdopodobnie w kierunku wsi Kaplonosy lub Mosty.

Wiadomość, którą usłyszeliśmy od Ukraińca, pokrywała się z tą, którą usłyszeliśmy w nocy. Byliśmy więc pewni, iż trafiliśmy na ślad naszego oddziału. Zastanawialiśmy się, jak to się stało, że wpadli na Niemców. Kto zginął i który z naszych oficerów? Był „Piotr”, „Czarny” i „Biały”. „Czarny” to najstarszy partyzant-hubalczyk. To ogromna strata, wszystko już jedno, który zginął. Każdy z nich był lubianym i odważnym dowódcą. Wszyscy, jak to się mówi, fajne chlopy.

Tak rozmawialiśmy przy ognisku. Tymczasem chłopci skończyli swoją robotę. Zaprosili nas do domu na poczęstunek. Pomogliśmy przenieść do stojącej w krzakach furmanki połówki wieprza, jakieś inne rzeczy i ruszyliśmy do niedalekiej wsi.

Już w domu Władek zaofiarował swoją fachową pomoc. Przecież z zawodu był rzeźnikiem. Stąd pseudonim „Szynka”. Zakasawszy rękawy, zatarł ręce, klasnął w dłonie aż echo poszło. Wziął nóż, z rozmachem naostrzył i z fachową wprawą zabrał się do krojenia mięsiwa i dzielenia na poszczególne części.

Trzeba powiedzieć, że przyjemnie było patrzeć na jego zręczne i wprawne ruchy rąk.

Od razu widać, że to fachowiec, orzekła gospodyni, jeszcze młoda kobieta. Stojąc przy kuchni, smażyła smakowite pachnące kęsy świeżutkiej wieprzowiny. Niedługo trwała ta wieprzowa „operacja”. Na stole postawiono misę pachnącego mięsiwa. Pojawiła się także butelka bimbru. Po raz pierwszy w partyzantce piłem alkohol. Zasiadliśmy do śniadania, jakiego dawno już nie jedliśmy. Mieliśmy okazję wypić zdrowie gościnnych gospodarzy i oczywiście partyzantów.

Po parogodzinnym wypoczynku, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przed zachodem słońca dotarliśmy do wsi Mosty. Tam skierowano nas do „Młynarza”. Ale czy był to właściciel młyna, czy młynarz z zawodu, czy pseudonim – nigdy nie dociekałem i do tej pory nie wiem. Przypuszczam jednak, że powiązany był z ruchem oporu. Poinformował o oddziale, że był w Kapłonosach i, o ile mu wiadomo, odszedł w kierunku Parczewskich Lasów. Doradził także, abyśmy podczas dnia nie kontynuowali marszu, a przesiedzieli w rejonie wsi, bowiem w dzień kręcę się tu Niemcy. Konwojują wywózkę drzewa z okolicznych lasów, między innymi po drodze: Mosty, Kapłonosy do Włodawy. Toteż z rana wybraliśmy kryjówkę w polu pod rozłożystą dziko rosnącą gruszą. Mieliśmy stąd dobry punkt obserwacyjny na drogę i wieś.

Był piękny słoneczny dzień. Zażywaliśmy więc słonecznej kąpieli, wygrzewając przede wszystkim nogi, które przez kilka już tygodni codziennie były przemoczone. Drzemaliśmy trochę w przyjemnym chłodnym cieniu gruszy. Parę razy dla zabicia czasu podchodziliśmy bliżej drogi i z ukrycia przyglądaliśmy się na długim kolumnom chłopskich furmanek załadowanych kłocami i innym drewnem, konwojowanym przez Niemców. Ręce nas świerzbiły, żeby strzelić parę seryjek i trochę Szwabów postraszyć. Nie można jednak było narażać miejscowej ludności na represje.

Poza tym wokół panował spokój i cisza. Latały pszczoły, pracowicie zbierały z polnych roślin, zbóż i kwiatów miodowy nektar. Fruwały różnokolorowe motyle. Niedaleki las milczał. Nie słychać było leśnego życia.

Gdzieś wysoko nad nami od czasu do czasu niosło się głucho buczenie samolotów, ale one nas nie interesowały.

Pod wieczór wieś zaczęła się ożywiać. Chłopi po całodziennej pracy poza domem wracali do domowych obrządków. Dymy zaczęły się unosić z kominów. Widocznie gospodynie zabrały się do przygotowywania wieczerzy dla domowników i dobytku. Bydło najedzone do syta, porykując wracało z pastwisk do swoich obór.

Wyruszyliśmy w dalszą drogę. Odległość do wsi Kaplonosy przebyliśmy w niecałe dwie godziny. Dalej poszliśmy tropem oddziału, który dwa dni temu odszedł w kierunku Sosnowic i Pieszewoli. Byliśmy już pewni, że za dzień lub dwa spotkamy wreszcie swoich. Zastanawialiśmy się, co też nasi koledzy i dowódcy myślą o nas. Może przypuszczają, że zginęliśmy.

W partyzantce do niewoli się nie idzie. Tak rozważając, dotarliśmy do zabudowań wsi Zamołodycz. Należał się nam odpoczynek. Przypadkiem trafiliśmy do gospodarza, który w swojej stodole gościł już pięciu radzieckich partyzantów z oddziału pułkownika „Czornego”, działającego na północno-wschodniej Lubelszczyźnie. Spotkaliśmy się z nimi przypadkowo. Była to grupa dywersyjna, która zatrzymała się na wypoczynek.

Jak się okazało, byli zdomowieni na Lubelszczyźnie. Znali doskonale teren, jak też panujące tu stosunki społeczne i polityczne. Właśnie od nich dowiedzieliśmy się, że na Lubelszczyźnie poza Armią Krajową działają partyzanckie oddziały różnych politycznych ugrupowań, jak: Narodowe Siły Zbrojne (NSZ), Armia Ludowa (AL), Bataliony Chłopskie (BCh) i innych pomniejszych.

Na Wołyniu znaliśmy partyzantkę radziecką, polską i ukraińskie bandy różnych maści: „bulbowcy”, banderowcy, melnykowcy, a wszystkie szowinistyczne i bandyckie.

W radzieckich oddziałach partyzanckich znajdowało się sporo Polaków, nawet całe polskie oddziały. Trafiając tam, w ogromnej większości nie zawsze kierowali się motywacją polityczną, a po prostu chcieli walczyć ze wspólnym wrogiem – hitlerowskim najeźdźcą i ukraińskim nacjonalizmem. Często trafiali zarówno do radzieckiej, jak też polskiej partyzantki, przeważnie ludzie młodzi z pobudek osobistych, obrony siebie i swoich

najbliższych przed szalejącym na Wołyniu ukraińskim szowinizmem, masowymi morderstwami zamieszkałej tam polskiej ludności.

Nasze przyjacielskie rozmowy z radzieckimi partyzantami przyjęliśmy poważnie, ale z lekką obojętnością, nie zagłębialiśmy ideologii tego czy innego ugrupowania politycznego. Pragnęliśmy przed wszystkim jak najprędzej dotrzeć do oddziału, do swoich.

Powiedziałem, że chyba mają rację ci partyzanci, mówiąc o różnych rodzajach partyzantki na Lubelszczyźnie, albowiem w ciągu parodniowego rajdu po ziemi lubelskiej niejedną raz pytano, z jakiej jesteście partyzantki. Odpowiadaliśmy, jak zawsze do tej pory – z polskiej.

Nasi przypadkowi „politruicy” niepochlebnie mówili o NSZ, nazywając ich z ruska *endiuki*, czyli endeki.

Zanim domyśliliśmy się co oznacza słowo *endiuki*, to uśmieialiśmy się trochę, gdyż myśleliśmy, że mówili o jakichś partyzantach indykach. Po rosyjsku *indjuk* to indyk. Ostrzegali przed tymi *endiukami*, aby unikać z nimi spotkań, bowiem bez pardonu Polak czy nie Polak, jeżeli nie należał do ich ugrupowania, strzelają.

Istotnie, podczas postoju w Ostrowiu Lubelskim opowiadano nam o przypadkach bratobójczej walki NSZ na Lubelszczyźnie.

Razem przenocowaliśmy w stodole, a rano rozeszliśmy się jak starzy znajomi w swoje strony.

W tym terenie można już było poruszać się podczas dnia. Założyliśmy więc, że przez dzień, jeśli nie będzie żadnych niespodzianek, musimy dotrzeć do miejscowości Jedlanki, na skraj Parczewskich Lasów. Byłoby to jakieś przeszło trzydzieści kilometrów.

Jako „pełnoprawni obywatele” szliśmy drogami publicznymi: szerokim traktem, drózkami wąskimi, piaszczystymi, z głębokimi koleinami. Mijaliśmy bagienne niziny i strumyki, łąki upstrzone przeróżnym kwieciami, zagajniki i urodzajne pola. Dorodne łąny zboża kołysane lekkim powiewem wiatru falowały jak morskie fale. Na horyzoncie widniały lasy. Być może te lasy przez najbliższy okres będą naszym domem.

Wyprzedzały lub mijaly nas furmanki jadące na pola, łąki lub powracające do swoich zagród. Wieziono na nich brony, pługi, nieraz pachnące siano. Jadący furmankami mężczyźni i kobiety przyjaźnie nas pozdrawiali. Niektórzy zatrzymywali się na chwilę i częstowali papierosami lub machorką, niektórzy zapraszali, aby się przysiąść na furmankę. Czuliśmy się naprawę jak wśród swoich.

Wczesnym popołudniem doszliśmy do wsi, której nazwy nie zapamiętałem. Nie była duża. Leżała na skraju lasu. Zbiegały się w niej trzy, może więcej dróg. Był w niej sklep, do którego wstąpiliśmy raczej przez ciekawość, a nie po to, żeby zrobić zakupy. Nie mieliśmy pieniędzy.

Tu znów spotkaliśmy przyjaznego nam człowieka, sklepikarza. Zaprosił nas do swojego domu na jajecnicę. Nie mogliśmy sobie odmówić przyjemności zjedzenia jajecznicy, której smaku nie pamiętaliśmy.

Po posiłku, wzmocnionym kielichem niemieckiej kartkowej wódki, usiedliśmy na ławce przed domem, aby wypalić papierosa. W obejściu pod ścianą stał rower. Jakoś zachciało mi się przejechać rowerem. Zapytałem gospodarza, czy pozwoli. Gospodarz wyraził zgodę. Dom stał dość daleko od drogi. Parę razy podjeżdżałem do drogi i z powrotem. W pewnej chwili zauważyłem zbliżającą się furmankę, a na niej, o wielkie nieba, własnym oczom nie wierząc, kaprała „Groma” i „Makinę” (Stanisław Sommer). Rzuciłem rower i jednym susem znalazłem się przy nich. Ogromna radość. Chaotyczne pytania z jednej i drugiej strony.

Podziękowaliśmy naszemu gospodarzowi za gościnność i już wszyscy jechaliśmy tą furmanką do miejsca postoju oddziału. Dowiedzieliśmy się od chłopaków, że porucznik „Piotr” wysłał patrol: jeden, aby pochwycić poległego w Pawlukach porucznika „Białego”, drugi w poszukiwaniu naszego patrolu. Wierzył, że zginęliśmy. Pytaniom nie było końca, aż do przybycia do jakiejś niedużej, sądząc po zagrodach chłopskich, biednej wsi, w której właśnie stacjonował oddział.

Zameldowaliśmy się, jak wymagała tego wojskowa dyscyplina, u porucznika „Piotra”. Po odebraniu meldunku, „Piotr” kazał nam usiąść, i dokładnie opowiedzieć, jak i co się z nami działo.

Zdał nam relację z wydarzeń, jakie miały miejsce po naszym odejściu po przewodnika. Okazało się, że oddział sforsowawszy rzekę, zamiast oczekiwać na nasz powrót, ruszył w ślad za nami, przeświadczony, tak jak i my, że we wsi nie ma niemieckich placówek ani garnizonu. W momencie kiedy podchodziłem z patroliem do pierwszej stojącej na skraju wsi chałupy, padły w naszym kierunku strzały, a niebo rozświetliły rakiety. „Piotr” nie wiedząc, że strzelano do nas, rozwinął natychmiast oddział i z marszu ruszył do natarcia, zasypując huraganowym ogniem zagradzającego drogę nieprzyjaciela. Zaskoczone nieprzyjacielskie placówki także otworzyły silny, choć chaotyczny ogień w kierunku nacierającego oddziału i wsi, gdyż tam przypadkiem z patroliem zostałem wpędzony. Dezorientowało to

Niemców, napędzając im niemałego strachu. Toteż jak upiory, w białym, wyskakiwali z chałup, strzelając na oślep. W tej sytuacji z patrolem znalazłem się w środku ognia. Na zastanawianie się nie było już czasu. Wycofaliśmy się w kierunku najsłabszego ognia i chcąc nie chcąc spowodowaliśmy po drodze popłoch wśród wyrwanych ze snu Niemców.

Te właśnie pierwsze nieprzyjacielskie serie śmiertelnie trafiły nieodżałowanego porucznika „Białego” („Kajtka”). Był lubiany i cieszył się dużą sympatią wśród żołnierzy. Było to 9 czerwca 1944 roku. Poległego nie można było zabrać z pola bitwy. Wprawdzie wysłano do Pawluk patrol, który miał pochować „Białego”, jednak okazało się, że miejscowi Polacy za zgodą Niemców pochowali porucznika, chociaż mieszkający we wsi ukraińscy nacjonałiści chcieli jego ciało wrzucić do Bugu. Po zakończeniu wojny ekshumowano ciało i pochowano na Cmentarzu Powązkowskim (wojskowym) w Warszawie.

Po tej serdecznej, niemalże przyjacielskiej rozmowie z porucznikiem „Piotrem”, udaliśmy się w trójkę na kwaterę plutonu, którego wcześniej dowódcą był poległy porucznik „Biały”. Koledzy uradowani, że widzą nas zdrowych i żywych, serdecznie nas powitali, częstując to papierosem, to jakimś jadłem. Znów pytania i znów opowiadanie.

Pluton kwaterował w stodole i zajmował jeden sąsiek. Ku mojemu zdziwieniu, drugą część stodoły zajmowała grupa kilkunastu młodych żołnierzy w polskich mundurach sprzed 1939 roku, w stopniach chorążych i podporuczników, mówiących po polsku. Na konfederatkach mieli orzełki, które wydały mi się jakieś dziwne, smutne, z opuszczonymi skrzydłami, jakby mniej zadziorne od tych, jakie my nosiliśmy.

Nie bardzo wiedziałem, co to za wojsko i skąd się znalazło razem z nami w jednej stodole. Wyjaśniono mi, że to spadochroniarze z armii generała Berlinga, którzy ubiegłej nocy zostali przerzuceni z Wołynia, gdzieś z okolic Równego. Trafili na miejsce postoju naszego oddziału przypadkowo, gdyż mieli być zrzućeni w Parczewskich Lasach. Tam na nich z niepokojem oczekiwano. Po prostu pomylił się lotnik. Tak nieraz bywało. Jeden z nich miał wyjątkowego pecha, bowiem podczas lądowania złamał nogę. Cierpiał biedak. Ale ani oni, ani my nie mieliśmy lekarza. Dobrze, że wylądowali wśród rodaków. Gorzej, gdyby trafili na Niemców.

Niewiele wiedziałem o polskiej armii w Związku Radzieckim, a prawdę mówiąc nic. Kiedyś obito mi się o uszy, że w Związku Radzieckim powstał Polski Korpus. Później, od spotkań po drodze radzieckich par-

tyzantów pułkownika „Czornego”, że na Wschodzie jest polskie wojsko. I zobaczyłem na własne oczy polskich żołnierzy, w polskich mundurach, mówiących po polsku.

Szybko nawiązałem z nimi rozmowę. Byli to chłopcy, tak jak my, z Wołynia i Polesia. Przedtem walczyli w radzieckiej partyzantce. Teraz zostali przerzuceni dla organizowania grup dywersyjnych na tyłach frontu.

Nazajutrz pożegnaliśmy się z rodakami. Wymaszerowaliśmy w kierunku Parczewskich Lasów. Po południu dotarliśmy do wsi Maśluchy. Zatrzymaliśmy się na dwa lub trzy dni. Mieszkańcy przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie. Kwaterowaliśmy w stodołach, chociaż chętnie przyjmowano na kwatery do chałup. Nie mogliśmy korzystać z tej gościnności, albowiem byliśmy zawszeni. Po co więc gościnnym mieszkańcom sprawiać dodatkowe kłopoty naszymi „miłymi”, dobrze oswojonymi i „wykarmionymi” zwierzątkami. Ponieważ było słoneczne letnie popołudnie, chłopaki, korzystając z nieopodał położonego Jeziora Głębokiego, urządzili sobie solidną kąpiel i przepierkę.

Przez parę dni postoju w Maśluchach wypoczywaliśmy. W czerwcowe ciepłe wieczory, poza służbami wartowniczymi, przesiadywaliśmy z miejscową młodzieżą w przydomowych ogródkach, na ławeczkach pod jaśminem czy bzami lub wśród zaczynających zaledwie rozkwitać malw. Nieraz na przyzbie. Rozmawialiśmy. Oni opowiadali o sobie, my o sobie. Takie nastolatków rozmowy. Śpiewaliśmy przeróżne piosenki: romantyczne i żołnierskie, patriotyczne i ludowe. Chrabąszcze, których w tym roku było niemało, brzęczały nad głowami i co jakiś czas któryś z całą siłą uderzał w drzewo, płot, ścianę budynku i ginął na miejscu.

Tu i ówdzie można było zauważyć spacerujące po wiejskiej drodze przytulone parki lub siedzące w romantycznych zakątkach, rozmawiające półgłosem lub szeptem, aby nie zakłócać nocnej ciszy. Tylko zawsze wścibski, ciekawski księżyc niedyskretnie jak zwykle podglądał, ale się niczemu nie dziwił. Tyle widział, tyle wiedział, że nie miał się czemu dziwić. Miejscowi chłopcy byli wyrozumiali. Nie okazywali zbytniej zazdrości o swoje dziewczyny. Wiedzieli przecież, że za parę dni pójdziemy dalej. Po co więc jakieś sceny zazdrości.

Nieźle nam było w Maśluchach. Moglibyśmy stąd nigdzie się nie ruszać. Niestety, żołnierska dola zawsze żołnierza gdzieś gna. Opuściliśmy Maśluchy i przenieśliśmy się do Uścimowa leżącego bliżej Ostrowia Lubelskiego. W Uścimowie kwaterowała wcześniej przybyła część batalionu.

Czekali koledzy i przyjaciele, z którymi nie widzieliśmy się przecież kilkanaście dramatycznych dni. Chcieli wiedzieć, co się z nami działo podczas marszu oraz przeprawy przez Bug.

W opłotkach Uścimowa oczekiwał mój wypróbowany przyjaciel „Boston” z paru jeszcze chłopakami z byłego plutonu cekaemów. Szczególnie serdecznie witano „Kreta”, „Szynkę” i mnie, gdyż według wersji, która doszła do nich pocztą „pantoflową”, we trzech mieliśmy zginąć podczas forsowania Bugu.

Byliśmy żywi, cali i zdrowi i znów razem. Cieszyliśmy się, rzuciliśmy się w objęcia jak kochankowie. Potem wiele pytań i opowiadań.

Podczas postoju w Uścimowie, nie wiem z jakiej okazji, mieszkańcy urządzili w najbliższą niedzielę w strażackiej remizie taneczną zabawę. Zabawę, jak się mówi, na sto dwa. Uczestniczyli w niej młodzi i starsi. Było kilka naszych dziewczyn. One miały powodzenie u miejscowych chłopaków. My zaś poznaliśmy sympatyczne i miłe miejscowe dziewczyny. Chociaż nasze także były ładne, miłe i sympatyczne, nasi chłopcy umizgiwali się i „podrywali”, i nie bez wzajemności, miejscowe.

Było piwo, nawet lody. Bawiliśmy się jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nie było wojny.

Po paru dniach, Samodzielny Batalion dyspozycyjny dywizji porucznika „Gzymśa” zmienił miejsce postoju i został zakwaterowany. Kompania Warszawska porucznika „Piotra” w Ostrowiu Lubelskim leżącym nad rzeką Tyśmienicą, dopływem Wieprza. Pozostałą część batalionu ze sztabem zakwaterowano w bliskim sąsiedztwie Ostrowia, we wsi Kolechowice.

Batalion miał za zadanie obronę i ubezpieczanie od strony Lubartowa i Radzyna Podlaskiego.

Mówiono, że tu zatrzymamy się na dłużej. Miała być przeprowadzona reorganizacja, a najbliższy czas będzie przeznaczony na szkolenie i wypoczynek po ciężkich walkach na Wołyniu. Słyszało się, że później dywizja podejdzie możliwie najbliżej Warszawy. Jako jednostka w pewnym sensie eksterytorialna na Lubelszczyźnie, uzyskawszy zasłużony rozgłos na Wołyniu, weźmie udział w walkach o stolicę, gdyby urzeczywistniła się koncepcja powstania w Warszawie, a gdyby ono wybuchło, poza naszą dywizją i innymi oddziałami Armii Krajowej, zostanie przerzucona polska brygada spadochronowa z Anglii.

Byliśmy przecież po to, aby walczyć. A jeśli przyjdzie nam walczyć o Warszawę, o stolicę, to niejeden z nas marzył o tym. Oby jak najprędzej to się stało.

Tymczasem żołnierze byli zadowoleni, że po ciężkich tarapatach mogli odpocząć i do syta się najeść.

Niemcy na razie nas nie szarpali. Mieli sporo roboty z partyzantami w lasach południowo-zachodniej Lubelszczyzny.

Miałem jednak wrażenie, że przed nieuniknionym planowym przesunięciem się niezwyciężonej armii *zurück nach Westen* zabiorą się za nas. Przecież zdawali sobie sprawę z tego, że działalność partyzantów na terenie Lubelszczyzny paraliżowała zaopatrzenie frontu wschodniego. Obecność dużych zgrupowań partyzanckich na bezpośrednim zapleczu frontu, którym była Lubelszczyzna, stwarzała niebezpieczeństwo dla wojsk niemieckich, usiłujących za wszelką cenę utrzymać linię Bugu.

Niemcy już wcześniej zamierzali zniszczyć partyzancki ruch oporu na Lubelszczyźnie, przeprowadzając wielkie operacje pacyfikacyjne: Sturmwind I i Sturmwind II. Nie przyniosły one jednakże wyników, jakich się spodziewali.

Na razie północnej Lubelszczyzny nie atakowali, poza akcjami rozpoznawczymi lotnictwa z położonych bliżej lotnisk w Radzynie, Białej Podlaskiej i Świdniku.

Jeszcze był spokój. Rejon Parczewskich Lasów i Ostrów Lubelski zawsze spędzały Niemcom sen z oczu. Zawsze były pilnie przez nich „strzeżone”.

Tuż przed naszym przybyciem na Lubelszczyznę, na początku maja 1944 roku, Ostrów zaatakowały dwa bataliony SS ze znanej nam już z Wołynia dywizji „Wiking”. Zostali jednak przepędzeni przez partyzancki oddział Armii Ludowej kapitana Melucha.

Ostrów Lubelski w czasie okupacji był aktywnym ośrodkiem ruchu oporu. W latach 1942–1944 miasto kilkakrotnie było zajmowane przez partyzantów. Mieszkało w nim około dwóch tysięcy ludzi, z czego zostało wymordowanych przez hitlerowców około trzydziestu procent.

Ostrów posiadał prawa miejskie od 1540 roku, ale z tamtych czasów pamiątek i zabytków nie było. Z zabytków późniejszego okresu, z połowy XVIII wieku, był murowany barokowy kościół katolicki z barokowym ogrodzeniem z bramą i dzwonnica.

Do kościoła w niedzielę i święta w zwartym szyku maszerowaliśmy na nabożeństwo, śpiewając wojskowe piosenki. A za nami, jak zwykle za wojskiem, pędziły dzieciaki.

Miasto wyglądem nie różniło się od wielu innych małych miast Lubelszczyzny. Budownictwo niskie, parterowe, typu wiejskiego, w większości drewniane, kryte strzechą. Zewnętrzne ściany domostw malowane białym lub niebieskim wapnem. Wokół domostw wysokie przyzby służące często do gawędzenia i wypoczynku. W mieście dużo zieleni. A w przydomowych ogródkach pełno wielokolorowych malw, nieodłącznego elementu tamtejszego pejzażu, bzów, jaśminów, maciejki, rezedy, macierzanki.

Przepływająca przez miasto podmokłymi torfiastymi łąkami (źródło torfu jako opału) rzeka spięta drewnianym mostem. Przez ten most prowadziła ulica do katolickiego cmentarza położonego na niedużym wzniesieniu i do naszej placówki mieszczącej się u wylotu drogi do Lubartowa, Kaznowa, Wólki Zabłockiej i dalej.

Niektóre ulice miasteczka i rynek wybrukowano kostką zwaną kocimi łbami. W rynku, w okazalszym budynku mieściła się karczma, a obok jarmarczny plac. Raz lub dwa razy w tygodniu odbywały się dość barwne jarmarki. Przybywali na nie z bliższych i dalszych okolic chłopci, jak również mieszkańcy sąsiednich miast. W dni jarmarczne można było kupić i sprzedać wiele różnych rzeczy. Na takim jarmarku sprzedaliśmy spadochron, który nam został w spadku ze rzutu. Najpierw mieliśmy uszyć z niego koszulę, lecz rozmyśliliśmy się. Koszulę na razie mieliśmy. A parę groszy każdy chciał mieć. Żołdu mieliśmy niewiele.

W rejonie Parczewskich Lasów i Ostrowia Lubelskiego w różnych miejscowościach rozkwaterowano pozostałe oddziały dywizji o ustalonych kierunkach obrony i linii placówek ubezpieczeniowych. Placówki w terenie ściśle współdziałały z miejscową siecią konspiracyjną. Tu także stacjonowały Oddziały Armii Ludowej.

Później niejednokrotnie mogłem się przekonać, że duża część społeczności sprzyjała Armii Krajowej, ale były wsie przychylniejsze Armii Ludowej – nieprzychylnego stosunku mieszkańców do AK nie zauważyłem.

Na Lubelszczyźnie spotkaliśmy się ze sprawami dla nas obcymi, nieistniejącymi na Wołyniu. Polacy z Wołynia po prostu nie mogli zrozumieć, dlaczego niektórzy nie uznawali rządu emigracyjnego. Wołyniacy zasilający oddziały dywizji kierowali się zupełnie odrębnymi kryteriami politycznymi niż Polacy w Generalnej Gubernii, a zatem i na Lubelsz-

czyźnie. Na Wołyniu, tam gdzie sięgała sieć organizacyjna AK, Polacy byli akowcami bez względu na przekonania. Być może wynikało to ze szczególnie skomplikowanych i trudnych warunków narodowościowych i politycznych na byłych Kresach Wschodnich.

Na Wołyniu dominowały ukraińskie, nacjonalistyczno-szowinistyczne organizacje, które dążyły do biologicznego wyniszczenia zamieszkujących tam Polaków. W takiej sytuacji, Polacy pod kierunkiem Armii Krajowej organizowali zbrojny antyfaszystowski ruch oporu, który nosił charakter przede wszystkim rozpaczliwej walki o życie.

W Ostrowiu zakwaterowani zostaliśmy w stodołach miejscowych chłopów, bowiem w miasteczku około siedemdziesięciu procent mieszkańców trudniło się rolnictwem. Zajmowaliśmy dwie duże stodoły u Szafrzańskich i Niedbalskich. Zaprowiantowanie nas organizowano w ten sposób, że po jednym, dwóch lub trzech żołnierzy przydzielano do poszczególnych gospodarstw, które miały obowiązek przez parę dni żywić. Następnie przez parę dni następny gospodarz miał ten obowiązek.

Jedliśmy wspólnie z gospodarzami. Nigdy nie zauważyłem niechęci ani sarkania na bądź co bądź dodatkowy w niełatwych czasach okupacji ciężar żywienia nas. Przeciwnie, byli dla nas życzliwi i gościnni. Z naszego menu najbardziej chwaliliśmy pierogi z ciasta nadziewane kaszą gryczaną i serem. Podawano je ze sporą ilością tłuszczu i skwarek. Te pierogi nazywaliśmy „granatami”, bowiem wielkością i kształtem przypominały obronne angielskie granaty, których kilkanaście sztuk mieliśmy. „Granaty” te nadzwyczaj nam smakowały.

Wreszcie, po paromiesięcznej głodówce, mogliśmy się najadać do syta. Najedzony żołnierz jest niemalże szczęśliwy. My także byliśmy zadowoleni.

Zostaliśmy odżywieni, wyleczeni z ran i świerzbu oraz odwszawieni. Wypoczywaliśmy zasłużenie, chociaż wiele czasu wolnego nie mieliśmy. Przede wszystkim czualiśmy nad bezpieczeństwem i ochroną garnizonu, poza tym systematycznie ćwiczyliśmy, zaczynając od porannej gimnastyki. Codziennie przed południem były zajęcia wojskowe w drużynie, plutonie i kompanii. Po obiedzie była nauka o broni, jej czyszczenie, musztra.

Spece od kwatermistrzostwa zajmowali się sprawami gospodarczymi. Uzupełniano umundurowanie i obuwie, które w większości było w opłakanym stanie. Poza kilkunastoma mundurami, które swego czasu otrzymaliśmy ze zrzutu, mieliśmy przeważnie połataną odzież.

W czasie wolnym od służby, ćwiczeń lub innych zajęć, przeważnie wieczorem, wychodziliśmy na przepustki do miasta. Spacerowaliśmy, a czasem wstępowaliśmy na lody. Odwiedzaliśmy znajomych i tych, z którymi zaprzyjaźniliśmy się podczas postoju. Spotykaliśmy się także z dziewczynami na spacerach lub odwiedzaliśmy w ich domach. Nieraz miejscowa młodzież organizowała skromne potańcówki.

Wiele z poczynionych wtedy znajomości i przyjaźni z ostrowskimi dziewczętami przetrwało wojnę. Już po jej zakończeniu paru naszych żołnierzy stanęło na ślubnym kobiercu z ostrowiankami, między innymi nasz Stasio „Kret”.

W tym czasie nasza służba polegała przede wszystkim na czuwaniu nad bezpieczeństwem garnizonu. Była to albo służba na placówce, albo ront, czyli patrol kontrolujący w nocy warty i posterunki.

Co trzeci dzień zmieniały się drużyny – moja, plutonowego „Ucznia” (Anatoli Gonczaruk), plutonowego „Elektrycznego” (Antoni Tuhi) na placówce przy cmentarzu u wylotu ulicy na Kazanów i Lubartów. Pełniło się tę służbę przez dwadzieścia cztery godziny.

Chociaż służba na placówce była bardziej uciążliwa i dłuższa niż ront, to jednak chętniej chodziłem na placówkę. Zresztą nie tylko ja. Mieściła się w zagrodzie, oczywiście posterunki i czujki miały swoje miejsca, w której mieszkały dwie rodziny i kilkoro młodzieży. Tuż za miedzą było jeszcze jedno domostwo, w którym byli nasi rówieśnicy. Nieraz wieczorkiem przychodzili z miasteczka. Zbierała się więc zawsze spora grupka wesołych, nieprzejmujących się wojną nastolatków.

Poza pełniącymi wartę na posterunkach, którzy co dwie godziny byli zmieniani, pozostali mieli czas na wypoczynek. Mogli spać lub uczestniczyć w towarzyskich grach lub gawędach z miejscową młodzieżą, która zbierała się przed domem naszych gospodarzy. Jeśli tylko pozwalała pogoda, bawiliśmy się wesoło.

Nieraz, gdy wokół panowała głęboka cisza, pachniały kwiaty i zboża z pobliskich pól, słysząc było śpiewy, śmiechy, muzykę patefonową lub grę na gitarze. Żołnierze pełniący służbę na posterunkach niecierpliwie czekali aż miną dwie godziny i przyjdzie zmiana, a oni będą mogli włączyć się do zabawy. O wypoczynku i spaniu nikt nie myślał. Nierzadko „rajcowanie”, śpiewy i chichoty przeciągały się do późnych godzin nocnych. Nieraz, jak już było nieco za wesoło i gwarno, co nie pozwalało starszym domownikom spać, zmuszeni byli grzecznie, lecz stanowczo in-

terweniować. Zabierali swoje dorosłe pociechy do domu, przypominając im, że skoro świt muszą wstawać do roboty w polu, w obejściach gospodarskich lub wyprowadzić krowy czy owce na pastwisko

Któregoś dnia miałem służbę, byłem dowódcą rontu. Z nastaniem mroku we trzech wyszliśmy na patrol, aby skontrolować, jak czuwają placówki, warty, posterunki, czujki. Zbliżała się północ, gdy wracałem do kwatery, aby obudzić moich zmienników. Kwatera mieściła się przy ulicy Uścimowskiej w ogromnej stodole połączonej w czworobok z oborą, stajnią i jakimiś jeszcze budynkami gospodarczymi. Środek tego czworoboku nie był zadaszony, więc zaglądało tam rozjaśnione księżycem i gwiazdami niebo. Gdzieś niedaleko słychać było buczenie samolotu. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, z rozrywającym powietrze wyciem silników, samolot znalazł się nad naszymi głowami. Zdawało mi się, że zawadził o dach stodoły. Wszyscy, nawet największe śpiochy, zerwali się na równe nogi. Niektórzy złorzeczając mi, że świeceniem latarką sprowadziłem samolot, który na nasze łby zrzuci parę „pigul”, czyli bomb. Jednak nic się nie stało, a samolot oddalił się. Ale już za chwilę z rykiem silników znalazł się nad nami, przechylając się na skrzydło, jakby załoga dokładniej chciała się przyjrzeć, co tu się dzieje. My i ci zerwani ze snu byliśmy już na ulicy. I oto paręset metrów od nas nad polem ukazały się szybko opadające białe punkty spadochronowych czasz.

Domyśliliśmy się, może to radzieccy spadochroniarze lub zrzut. Mogli być także spadochroniarze niemieccy, co było mniej prawdopodobne. Tak czy owak pobieглиśmy w kilku w kierunku zrzutu. Jeśli Niemcy – przyjmijemy ich walką. Jeśli zrzut – oczywiście odbierzemy.

Ujrzeliśmy spadochrony z dużymi zasobnikami. A więc nie spadochroniarze, a zrzut. Ale co zrzucono, skąd i dla kogo, nie wiedzieliśmy.

Zanim dobiegliśmy do miejsca lądowania spadochronów, jeden spadochron z zasobnikiem w kształcie dużego koła, dwumetrowej może długości worka, leżał już na ziemi. Drugi spadochron, huśtając się i falując, był na odległość wyciągniętej ręki. Następne nieco wyżej. Wszystkich było dziewięć.

Dopadłem najpierw do tego, który już leżał na ziemi. Zacząłem nerwowymi ruchami rozpinać brezentowy worek. Włożyłem rękę do zasobnika. Wyciągnąłem z grubej warstwy woli nowiusieńki, zakonserwowany smarem i oliwą erkaem Diegtiariowa, zwany także talerzówką, bowiem magazynki amunicyjne do niego były okrągłe, przypominające talerze.

W tym zasobniku były trzy erkaemy, kilkanaście magazynków z amunicją i w oddzielnym opakowaniu zapas amunicji. W niektórych zasobnikach były pistolety maszynowe PPSz (pepesze), także z zapasem amunicji.

Po odebraniu zrzutu broni, niewątpliwie pomyłkowo zrzuconego na niezamierzone i przypadkowe światło latarki, którą świeciłem podczas budzenia ze snu moich zmienników na rontowy patrol, pojawiło się nieco zaskoczone dowództwo kompanii. Porucznik „Piotr” wydał polecenie zmagazynowania broni i amunicji do dyspozycji dowódcy batalionu.

Uważano niezamierzone przecież ściągnięcie zrzutu za moją zasługę. Toteż nazajutrz pierwszy otrzymałem nowiusieńki peem.

Parę tygodni później w lasach w rejonie Firleja jeszcze raz trafił do nas podobny zrzut, jednak w nieco innych okolicznościach. Zapewne lotnik się pomylił.

Nie wiem do dziś, czy o te zrzuty upominał się ktoś, czy nie. Nie trudno było wtedy domyśleć się, że przeznaczone były bądź dla jakiegoś radzieckiego partyzanckiego oddziału, lub dla oddziałów Armii Ludowej operujących w tamtych rejonach, a lotnik najzwyczajniej w świecie nie rozpoznał właściwych znaków umownych.

Znane mi są przypadki, kiedy zrzuty broni i sprzętu wojskowego z Anglii przeznaczone dla Armii Krajowej trafiały do partyzantki radzieckiej.

W maju 1944 roku w Lasach Janowskich w rejonie wsi Szewce i Ujście radziecki oddział partyzancki Sankowa i Nadalina odebrał angielski zrzut broni, amunicji, mundurów i materiałów wybuchowych.

Wcześniej taki sam zrzut, przeznaczony dla AK, trafił do radzieckiego oddziału partyzanckiego Kowalowa i Szangina w okolicy Biłgoraja i Józefowa.

Sankow i Nadolin zwrócili część zrzut dla oddziałów AK „Kmicica” i „Ojca Jana”. Pierwsi zaś nie zwrócili. Tłumaczyli, że nie wiedzieli, dla kogo był przeznaczony, że lotnik zrzucił na ich rozpoznawcze znaki. Sądziли, że zrzut należał do nich.

A więc mieli tyle racji, ile mieliśmy my w naszym przypadku.

Jeśli zrzut przez pomyłkę nie trafił do właściwego adresata, ale do sojusznika, to nie było w tym nic niedobrego. W sumie bowiem służył jednemu celowi – walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

Szybko schodziły nam w Ostrowiu czerwcowe i lipcowe dni.

Zbliżały się żniwa. Nasi gospodarze w Ostrowiu przygotowywali się do nich. Jeśli będzie spokój, na pewno pomożemy im zebrać z pól zboże.

W naszych garnizonach panował jeszcze spokój. W Ostrowiu było nam dobrze, ale spodziewaliśmy się, że chmury niebezpieczeństwa nadciągną niebawem. Niemieckie lotnictwo wzmagало swoją działalność rozpoznawczą. Nadchodziły też informacje i meldunki od ludzi z konspiracji z niemieckich garnizonów o przygotowywaniu się Niemców do zaatakowania oddziałów partyzanckich znajdujących się w rejonie Ostrowa Lubelskiego, Parczewa, Sosnowicy. Po zlikwidowaniu oddziałów partyzanckich w tym rejonie, Niemcy mieliby wolne zaplecze dla organizowania obrony na rzece Bug. Akcja ta nosiła kryptonim „Cyklon” i polegać miała na promienistym okrażeniu oddziałów partyzanckich w Parczewskich Lasach i całkowitej ich likwidacji.

W takiej sytuacji wszystkie zgrupowania partyzanckie AK, AL, radzieckie, a także nasza dywizja zostały postawione w stan gotowości bojowej.

Dnia 17 lipca od świtu oddziały dywizji wycofywały się z garnizonów i zajmowały stanowiska obronne na skraju Parczewskich Lasów niedaleko wsi Jedlanka Stara i Rudka.

Niemcy zaatakowali z Lublina, Chełma, Włodawy, Parczewa, Białej Podlaskiej, Radzyna Podlaskiego, Lubartowa. Siły nieprzyjaciela liczyły od siedmiu do ośmiu tysięcy dobrze uzbrojonego wojska w ciężką broń maszynową, artylerię i lotnictwo. Natomiast siły partyzanckie wraz z radzieckimi liczyły około sześciu tysięcy żołnierzy. Oddziały 27 Dywizji w tym czasie nie były zbyt bogate w amunicję, której przede wszystkim w obronie trzeba było mieć w dostatecznej ilości, tym bardziej że niektóre oddziały posiadały sporo broni maszynowej. Toteż dowództwo 27 Dywizji zwróciło się do pułkownika Korczyńskiego z AL i dowódcy radzieckiego oddziału partyzanckiego „Czornego” w sprawie pożyczania amunicji. Niestety, amunicji pożyczyć nie chcieli, gdyż mieli zakaz od swoich przełożonych. Prowadzący w tej sprawie pertraktacje major „Kowal” wręcz zapytał, czym w takim przypadku ma się bić dywizja, bo chyba nie kijami.

W takiej sytuacji dywizja, nie mając dostatecznego zapasu amunicji, rozpoczęła przebijanie się w kierunku zachodnim na teren mniej zagrożony, za rzekę Wieprz w rejon Kozłowieckich Lasów.

Z Parczewskich Lasów wyruszyliśmy o zmroku 18 lipca. Nasz I Batalion 45 Pułku Piechoty, batalion dyspozycyjny dywizji pod dowództwem porucznika „Gzymśa”, maszerował w straży przedniej. Wieczór był pogodny i jasny. Zanosilo się, że noc będzie pogodna i widna.

Szliśmy najpierw leśną drogą, dalej przez groble między jakimiś rozlewiskami czy stawami. Później w terenie zupełnie odkrytym w kierunku kolonii Tyśmienica, kolonii Babianka i Zabiele. Podążaliśmy w kierunku toru kolejowego łączącego Parczew i Lubartów, aby go sforsować między stacją Grodek a stacją Brzeźnica Bychawska.

Tu natknęliśmy się na Niemców i silnym ogniem z broni maszynowej zostaliśmy ostrzelani. Ostrzał ten zatrzymał chwilowo kolumnę dywizji.

Szczyca dowodzona przez „Gzysa” stoczyła krótką walkę i opanowała tor kolejowy. Z częścią szpicy „Gzys” pozostał na torze w celu ubezpieczenia przejścia dywizji, a część posłał polami obok toru w kierunku niemieckich stanowisk ostrzeliwujących kolumnę. Grupa ta zdecydowanym atakiem odrzuciła Niemców w kierunku stacji kolejowej Gródek od strony Parczewa. Potrzebny do przejścia odcinek toru kolejowego został opanowany i zamknięty ubezpieczeniami. Kolumna dywizji mogła kontynuować marsz.

Batalion w dalszym ciągu jako szpicę skierowano na wyznaczoną trasę przemarszu w kierunku wsi Nadzieja i Juliopol.

Była już głęboka noc. Weszliśmy na polną i nierówną drogę. Pomimo że nie poruszaliśmy się w „egipskich ciemnościach”, to od czasu do czasu ktoś się o coś potknął i psioczył pod nosem albo kłął pod niczym adresem. Mimo kilkugodzinnego marszu, nikt nie narzekał na zmęczenie. Szliśmy spokojnie i bez trwogi. Na Wołyniu niejedną raz wychodziliśmy z okrążenia. Byliśmy odporniejsi na trudy, bardziej doświadczeni i ostrzelani. Nie baliśmy się niespodzianek i spotkania nieprzyjaciela. Mogliśmy się nazwać już starymi wygami, wiarusami.

O brzasku dnia dotarliśmy do szosy Lubartów – Parczew. Tu znów otworzono do nas silny ogień z rejonu pobliskiej wsi Brzezinka Leśna. „Gzys” zajął stanowisko leżące nieopodal cegielni i też otworzył ogień.

Niemcy za pomocą dwunastu samochodów pancernych zamykali nam drogę. „Gzys” zdecydowanym atakiem odrzucił Niemców. Zrobił wyrwę w ich okalającym pierścieniu i ubezpieczał przemarsz dywizji.

Z baonu „Gzysa” poległo dwóch żołnierzy, a kilku zostało rannych. Zginęła, podczas udzielania pomocy rannemu żołnierzowi, bohaterska dziewczyna sanitariuszka „Czarna Marysia” (Maria Korzeniowska). Erkaemista „Żwir” został ranny od własnego granatu trafionego niemiecką kulą. Dużo szczęścia miał „Zaręba” (Zygmunt Kobyliński), amunicyjny „Żwira”. Podczas walki postawił obok siebie pojemnik z magazynkami amunicji, który solidnie został podziurawiony. „Zaręba” zaś wyszedł cało.

Niemcy także stracili paru zabitych, a prócz tego spaliliśmy im dwa pancerne wozy.

Wczesnym rankiem weszliśmy do lasu. Leśnymi drogami i duktami spokojnie dotarliśmy do kolonii Dębica. Po kilkugodzinnym odpoczynku ruszyliśmy na przeprawę przez Wieprz. Przeprowadzaliśmy się o zmroku promem, zachowując ostrożność ze względu na niemieckie lotnictwo.

Tym razem jako pierwszy przeprowadził się batalion porucznika „Korda” (Kazimierz Filipowicz) i ubezpieczał przeprawę i zachodni brzeg Wieprza w rejonie wsi: Wola Skomorowska, Antonin i Rzym oraz drogi dojścia. Nazwy tych wiosek znane są także z 1939 roku z ostatniej bitwy bohaterskiego generała Franciszka Kleeberga – dowódcy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”.

Nasz batalion przeprowadził się za „Kordem”. Po przeprowadzie z okolic miasteczka Firlej, ubezpieczaliśmy marsz dywizji na zachód do Kozłowieckich Lasów, gdzie dywizja znalazła się o świcie 19 lipca.

Sztab dywizji ulokował się w leśniczówce Budy. Nasz batalion ubezpieczał teraz swoimi placówkami dywizję w rejonie wsi Majdan Sobolewski.

Biwakowaliśmy w Kozłowieckich Lasach 19 i 20 lipca. Byliśmy zadowoleni, dywizji udało się wyjść z okrążenia. Przez cały czas przedzierania się z okrążenia słychać było detonacje pocisków artyleryjskich z poprzedniego miejsca postoju – Parczewskich Lasów.

Batalion kwaterował w jakimś niezbyt okazałym majątku ziemskim, w którym była lisia ferma. Nigdy dotąd nie widziałem hodowli lisów. Feter od tej lisiej fermy był okropny. Szczególnie w upalne lipcowe dni.

Wieczorem 20 lipca na skraju polany niedaleko dworku pod lasem rozpaliliśmy parę ognisk. Niektórzy chłopcy przyrządzali sobie kolację. Inni gawędzili. A jeszcze inni przysłuchiwali się „rozmowom” przepiórek.

Na polanie stało jeszcze niezżęte żyto, w którym gnieździły się przepiórki. A „rozmawiały” z sobą tak: jedna zaczynała ćwierkać w jednym końcu polany, a inna gdzieś w drugim odpowiadała takim samym ćwierkaniem. Gdy jedna kończyła swoje ćwierkanie, to zaczynała następna.

Gdzieś w oddali usłyszeliśmy buczenie samolotu. Ktoś zaczął nawoływać do gaszenia ognisk ze względu na bezpieczeństwo. Ktoś znów odpowiadał: „Czego się drzesz, frajerze, nic ci się nie stanie, samolotu nigdy nie widziałeś? Niech sobie leci”. Ale samolot obniżył lot, przeleciał nad naszymi głowami. Wziął skręt, zatoczył ogromne półkole i znów był nad

nami. Co bardziej nerwowi zaczęli zmykać od ognisk. I oto wylądowało na polanie dziewięć spadochronów z zasobnikami z bronią i amunicją. Znow pomyłkowy rzut. O nim wspomniałem wcześniej. Za dwa dni broń ta skutecznie została użyta w walce z Niemcami pod Firlejem.

Dnia 21 lipca, na prośbę konspiracyjnego komendanta miasta AK w Lubartowie, major „Kowal” wysłał batalion porucznika „Bratka” wzmocniony kompanią z batalionu kapitana „Hrubego” do Lubartowa w celu wsparcia miejscowych sił konspiracyjnych. Połączone siły opanowały miasto Lubartów i stację kolejową.

Batalion porucznika „Sokoła” został wysłany do wsi Kamionka z zadaniem zamknięcia Niemcom drogi odwrotu przez Kamionkę na zachód. Batalion stoczył z wycofującą się grupą Niemców walkę. Okrążając ich, zabrał do niewoli ponad dwudziestu jeńców, w tym oficerów, a kilku Niemców poległo.

We wczesnych godzinach rannych 22 lipca, z powodu nienadchodzących meldunków z Lubartowa, wysłano tam batalion „Jastrzębia” w celu wzmocnienia sił.

Konspiracyjne oddziały Armii Krajowej w Lubartowie zdobyły koszary wojskowe i budynek żandarmerii. Następnie wspólnymi siłami prowadzono walkę o pociąg, który nadjechał z Parczewa. Przed wjazdem, został zatrzymany i ostrzelany przez oddział porucznika „Burasza” z batalionu „Hrubego”. Nieprzyjaciel widząc silne natarcie i naszą przewagę ogniową, mając już zabitych i rannych, zaczął się wycofywać w kierunku Firleja.

W tym czasie w południowych godzinach wyruszył do Lubartowa również batalion „Gzymsa”. Dzień był słoneczny i upalny. Mieliśmy pogodny nastrój i ciekawość, jak to będzie w Lubartowie. Batalion był dobrze uzbrojony. Byliśmy gotowi do podjęcia każdej akcji, co dawało nam poczucie siły i pewność siebie. Wyszliśmy z dużego lasu. Teraz maszerowaliśmy szosą Kock – Firlej – Lubartów, gdy szpica poruszająca się przodem doniosła, że z Lubartowa jedzie nieprzyjacielska kolumna samochodowa. „Gzyms” natychmiast zarządził zasadzkę. Po niedługim, lecz napiętym oczekiwaniu usłyszeliśmy warkot silników samochodowych, a wkrótce ujrzeliśmy samochód osobowy wyprzedzający znacznie kolumnę i jadących w nim oficerów, którzy patrzyli cały czas przed siebie przez lornetkę. Samochód ten przepuściliśmy. Wiedzieliśmy, że dalej niż do przeprawy na rzece Wieprz, która była w naszych rękach, nie pojedzie.

Za chwilę ukazały się samochody ciężarowe wyładowane wojskiem i różnym sprzętem wojskowym, które wpuściliśmy w zasadzkę i na sygnał porucznika „Gzymśa” otworzyliśmy gwałtowny, piekielny, zmasowany ogień. Długie serie karabinów maszynowych i salwy broni ręcznej zwały się w jeden huk, w jedną falę, niszczącą wszystko, co znalazło się w jej zasięgu. Samochody bezwładnie zjeżdżały na lewo i na prawo do przydrożnych rowów. Niemcy, którzy nie zginęli od pierwszej fali ognia, z krzykiem zaczęli wyskakiwać z samochodów i ginęli na miejscu. Niektórzy podjęli desperacką obronę. Strzelali i rzucali granatami. Inni uciekali, ale masowy ogień ich nie szczydził. Jeden z uciekających i broniących się miał strzaskane ramię. Ręka majtała się na mięśniach, a on, biedak, ratując się ucieczką, co chwila odwracał się i strzelał ze swego kabeka. Zastanawiałem się wówczas, i niejeden raz później, jak on to robił. W desperacji, szoku, wszystko można zrobić.

To pobojuwisko przedstawiało niesamowity widok. Szosa wyglądała strasznie. Zalana była kałużami krwi, oliwą, benzyną, niektóre samochody płonęły. Trupy w różnych miejscach i różnych pozycjach. Jęki rannych, rżenie konających.

W rowie przy szosie siedziało dwóch lżej rannych jeńców. Patrzyli na to wszystko z przerażeniem. Może się modlili, w każdym rasie w kółko powtarzali: *Mein Gott, mein Gott* (Mój Boże, mój Boże)! Jeden z nich był majorem, ranny w piętę. Pomogłem mu bandażować ranę. Drugi był ranny w obie ręce.

Po tej akcji część batalionu „Gzymśa” z jeńcami, rannym Karolem Sawickim, udała się do siedziby sztabu dywizji w dworku Rawityn hrabiego Żółtowskiego w miejscowości Budy. Zabrano też ciało poległego starszego strzelca „Górala” (Bronisław Karpowicz).

Pod wysokimi wiekowymi jodłami oddano ostatnią przysługę koleżeńską i pochowano „Górala”, byłego cekaemistę. Na pożegnanie oddano salwę na jego cześć i dla wiadomości Bożej, że znów polski żołnierz zszedł z tego świata z honorem.

Z Rawityna zapamiętałem dość dobrze bez przerwy wierzącego się „Pata” (Paweł Bagiński). Biegał, rozmawiał, coś tam notował. Zresztą, nie było w tym nic dziwnego, był przecież dywizyjnym kronikarzem.

Tego jeszcze dnia wieczorem wymaszerowaliśmy z Rawityna do Kamionki. Nie zanosilo się na deszcz ani na burzę, chociaż noc była pochmurna. Po paru godzinach marszu, rozpętała się burza z piorunami, błyskawica-

mi i bardzo ulewnym deszczem. Nie sposób było dalej maszerować. Zatrzymaliśmy się w jakiejś biednej, sądząc po zabudowaniach, niedużej wiosce. Nie wchodziliśmy do tych mizernych chatynek, lecz gdzie kto mógł chował się przed ulewą, byle pod dachem; w chlewikach, stodólkach, pod okapami strzech. Ja z „Bostonem” spięliśmy dwie plandeki namiotowe, zresztą trofeum spod Firleja, i odwróciwszy się do siebie plecami, usnęliśmy. Rozbudził nas brzask dnia i wyjątkowo ciepłe legowisko. Okazało się, że po ciemku wybraliśmy miejsce w niedużym dołku, do którego podczas ulewy spływała woda. W miarę jak spływała, ogrzewaliśmy ją swoimi ciałami, a więc po przebudzeniu się mieliśmy wrażenie, iż leżymy w wannie. Po tej nocnej kąpieli i jeszcze jednej partyzanckiej przygodzie maszerowaliśmy dalej.

Rano 23 lipca dotarliśmy do Kamionki. Tu posililiśmy się i doprowadziliśmy do porządku. Pod wieczór byliśmy w pałacu Zamoyskich w Kozłowie. Nie skorzystaliśmy z wytwornych pałacowych sypialni, lecz spaliśmy na słomie w ogromnym stajennym budynku.

Nazajutrz zwiedziliśmy pałac i obejrziliśmy zbiory dzieł sztuki. Oprowadzał nas pałacowy kustosz.

Pamiętam wspaniałe galerie obrazów, wspaniałe portrety rodziny Zamoyskich oraz inne cuda sztuki i kultury materialnej.

A wracając do 23 lipca 1944 roku. Bataliony 27 Dywizji wszystkie zdobyte poprzedniego dnia miejscowości, tj.: Kock, Kozłówkę, Kamionkę, Siedliska, Michów, Lubartów, Firlej, obsadziły swoimi załogami.

Zgodnie z zadaniami i zasadami planu „Burza”, dowództwo 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej powołało w Lubartowie komendanturę wojskową, gdyż miejscowe władze cywilne Delegatury Rządu na Kraj nie zdążyły się ujawnić. Lada moment spodziewano się nieznannej w skutkach reakcji wojsk radzieckich, tym bardziej że zaczęły napływać meldunki o żądaniach opuszczenia Lubartowa przez oddziały AK. Ujawniona już w Lubartowie lewicowa konspiracyjna Rada Narodowa, głosząca się jedyną władzą cywilną na tym terenie, wprowadziła zakaz sprzedaży chleba dla oddziałów AK.

Mniej więcej w południe 23 lipca do Lubartowa wkroczyły jednostki III Korpusu Piechoty Armii Radzieckiej, działające w składzie 1 Frontu Białoruskiego, a za nimi nadjechały radzieckie oddziały pancerne. Po południu przybył do Lubartowa, uwolniony przez wojska radzieckie z okrążenia w Parczewskich Lasach, podpułkownik „Grzegorz” (Korczyński), komendant II Obwodu Armii Ludowej. Bez zwłoki pojawił się w budyn-

ku szkoły, w której kwaterowały oddziały 27 Dywizji z oficerem operacyjnym dywizji, kapitanem „Rokiczem” (Romuald Kompf). „Grzegorz” polecił mu, aby oddziały 27 Dywizji opuściły Lubartów. Na to kapitan „Rokicz” oświadczył, że taki rozkaz może mu wydać tylko dowódca.

Niebawem nadjechał pułkownik „Twardy” (Jan Kotwicz), dowódca dywizji, w towarzystwie innych oficerów. Ledwie „Rokicz” zdążył zameldować dowódcy dywizji o obecności i żądaniach „Grzegorza”, ten wtargnął do budynku ze swoimi ludźmi z bronią gotową do strzału i bez żadnych wstępów przedstawił się jako jedyny prawowity dowódca na tamtym terenie. Podniesionym głosem ponowił żądanie opuszczenia przez nas Lubartowa.

Pułkownik „Twardy” z godnością, zachowując jak największy spokój, odpowiedział, że zadaniem Armii Krajowej w bieżącej sytuacji jest walczyć z Niemcami, a nie uprawiać politykę i że opuści miasto, kiedy uzna to za stosowne. Podpułkownik „Grzegorz” doradził groźnie, by nie zwlekać z opuszczeniem miasta i ze swoją obstawą wyszedł z budynku.

Dowództwo 27 Dywizji w najbliższym planie miało uderzyć na Lublin, który nie był jeszcze wyzwolony, ale patrole prowadzące rozpoznanie tego kierunku stwierdziły toczące się ostre walki pancernych wojsk niemieckich i radzieckich w rejonie Lublina i o Lublin.

W takiej sytuacji nie mogło być mowy o działaniu dywizji. Wobec niemożliwości zaatakowania Lublina, pułkownik „Twardy” ze swoim sztabem rozważał możliwości uderzenia na szosę Lublin – Warszawa w rejonie między Kurowem a Grabowem i na niemieckie oddziały wycofujące się z Lublina. Brał pod uwagę również marsz na Warszawę. Ponieważ dywizja znalazła się w strefie frontowej, jej działania należało uzgodnić z dowództwem radzieckich wojsk stacjonujących w Skrobowie koło Lubartowa.

Spotkanie zostało ustalone na 25 lipca w sztabie radzieckiego korpusu w Skrobowie.

Ze strony radzieckiej w spotkaniu uczestniczyli: generał Bakanow, dwóch pułkowników, jeden major. Uczestniczyli również przedstawiciele Armii Ludowej: podpułkownik „Grzegorz”, porucznik Kiljanowicz, porucznik Władysław Kuszyk – równocześnie przedstawiciel konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie.

Spotkanie od pierwszej chwili przybrało bardzo burzliwy charakter. Ze strony Korczyńskiego padały słowa: burżuje, kapitaliści, reakcjoniści. Bardziej to upodobało „Grzegorza” do kominternowskiego propagandyzisty niż do poważnego dowódcy lubelskiego obwodu AL.

Radzieccy oficerowie byli bardzo zdziwieni, że wśród Polaków nie było jedności w chwili, kiedy trzeba walczyć. Nie znali i nie rozumie-
li zawłości polskich stosunków. Jak mogli, sytuację łagodzili. Rozsądny
i zrównoważony porucznik Kuszyk poskramiał temperament „Grzegorza”.

Zanosilo się, że spotkanie nie przyniesie żadnego skutku, jednak
przyjęto ustalenia, iż w Lubartowie władze cywilne obejmie lewicowa Po-
wiatowa Rada Narodowa, zaś 27 Dywizja ma oczekiwać dalszych rozka-
zów operacyjno-taktycznych od dowództwa wojsk radzieckich. Ponadto
generał Bakanow wyraził życzenie osobistego poznania dowódcy 27 Dy-
wizji oraz zobaczenia, jak wygląda wojsko. Dowódca dywizji w spotkaniu
udziału nie brał. Ustalono też, że oddziały dywizji odbędą defiladę w Lu-
bartowie przed dowództwem radzieckim.

Tymczasem z terytorialnej sieci wywiadowczej donoszono, że 27 Dy-
wizja ma być rozbrojona. Oczywiście nie dawano temu większej wiary,
ale i nie wykluczano takiej możliwości.

Pod wieczór tego samego dnia do sztabu dywizji przybyło dwóch ra-
dzieckich oficerów, zapraszając na pilne spotkanie w sztabie radzieckiego
korpusu w Skrobowie.

Pułkownik „Twardy” ze swym sztabem udał się do Skrobowa. Przed
wyjazdem wydał rozkaz przygotowania oddziałów do defilady.

Przygotowywaliśmy się do przeglądu przez radzieckiego generała.
Czyściliśmy broń i sprzęt, pucowaliśmy buty, pasy, sprzączki. Uzupełnia-
liśmy i przyszywaliśmy guziki oraz dystynkcje.

W ustalonym czasie „Twardy” ze swymi oficerami i szefem sztabu
majorem „Żegotą” zameldował się u dowódcy III Korpusu.

Po wstępnych życzliwych rozmowach, generał oświadczył, iż otrzy-
mał polecenie, aby dywizja przeszła do służby pokojowej. Otrzyma nowe
umundurowanie i uzbrojenie. W walkach dalej nie może brać udziału, ma
złożyć broń. Ponoć miała to być decyzja samego Stalina.

Jak relacjonowali później nasi oficerowie, uczestnicy tamtego spo-
tkania, generał Bakanow z wyraźną niechęcią wykonywał rozkaz swoich
władz, do końca bardzo poprawnie zachowując się w stosunku do polskich
oficerów. Nie łagodziło to samego faktu rozbrojenia. Warto nadmienić,
że generał Bakanow, po dwudziestu latach podczas spotkania z „Żegotą”
w Warszawie, powiedział, że jako żołnierz doskonale rozumiał tragedię
polskich oficerów z 27 Dywizji, pragnących walczyć z Niemcami, ale roz-
kaz musiał wykonać.

Jeszcze podczas trwania tego tragicznego spotkania łączono się z Moskwą za pomocą frontowych środków łączności i pytano, czy nie zaszła jakaś pomyłka w sprawie rozbrojenia. Niestety, decyzja z Moskwy została potwierdzona. Wśród polskich oficerów zapanował grobowy nastrój.

W tym czasie maszerujące na defiladę oddziały 27 Dywizji doszły do Skrobowa i tam się zatrzymały.

Czekano na dowódców. Dość długo. Wreszcie wyszła grupa oficerów od generała Bakanowa. Wezwano wszystkich dowódców batalionów na odprawę, na której „Twardy” z godnością przedstawił zaistniałą sytuację i konieczność złożenia broni, polecając, aby odbyło się to z zachowaniem pełnej dyscypliny. Dowództwo dywizji uznało wszelki opór w tej sytuacji za bezcelowy.

Po odprawie z „Twardym”, dowódcy batalionów zarządzili zbiórkę i powiadomili o konieczności złożenia broni, czyli rozbrojenia dywizji. Przemawiali do żołnierzy ciepło i serdecznie, dziękując za wspólną służbę, za wysiłek i poświęcenie. Głos ich chwilami się łamał, z trudem wydobywali go z krtani. Podkreślali, że w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, wszelki opór jest bezcelowy.

Wiadomość była zupełnym zaskoczeniem, szokiem. Wszystkiego mogliśmy się spodziewać, ale nie rozbrojenia. Przecież trwała wojna i dla jej zwycięstwa byliśmy potrzebni z bronią w ręku. Nie mieściła się ta decyzja w żołnierskiej głowie.

Przecież podczas frontowych walk na Wołyniu, ręka w rękę walczyliśmy przeciwko hitlerowskim wojskom. Istniało porozumienie z wyższymi dowódcami Armii Radzieckiej o taktycznym i operacyjnym współdziałaniu. Z umowy tej dywizja wywiązywała się całkowicie, zyskując u radzieckich żołnierzy i dowódców dobrą opinię.

W czasie koncentracji dywizji w rejonie Kowla i Włodzimierza, niejednokrotnie udzielaliśmy partyzanckim oddziałom radzieckim, przesuwanym się przed frontem na zachód, pomocy w przeprawach na Bugu.

Wcześniej w wielu przypadkach polskie oddziały partyzanckie, wchodzące później w skład dywizji, współdziałały z oddziałami partyzantki radzieckiej.

Nieoczekiwanie spadł straszny cios na dywizję, wykrwawioną i zdzięsiątkowaną we wspólnych walkach. Żołnierz doznał wielkiej krzywdy, musiał złożyć broń, którą zdobył w walce, przelewając krew, a często także oddając życie.

Była już późna noc, gdy poszczególne oddziały kolejno podchodziły i składały broń na oświetlonym dziedzińcu zabudowań w Skrobowie.

Wielu żołnierzy płakało i całowało broń, którą zdobywali w walce, a którą musieli teraz oddać.

Ktokolwiek w życiu składał broń, ten wie, jaki to cios dla żołnierzy. Szczególnie wielki dla ludzi młodych, dopiero co wchodzących w życie. Krzywdy tej nikt powetować nie był w stanie.

W czasie tej ponurej, dramatycznej scenerii dały się słyszeć głośne śpiewy. Żołnierze byli oburzeni. Uspokojono zdenerwowanych żołnierzy: „Tak trzeba, niech śpiewają”. Ten stary, zahartowany żołnierz niczemu się nie dziwił, widocznie tak trzeba, niech śpiewają.

Nieco później żołnierze dowiedzieli się, że śpiewem i „wesołością” zagłuszano pracę naszej polowej radiostacji, na której porucznik „Strzałka” otwartym tekstem nadał do Londynu ostatnią depezę: „Sowieci nas rozbijają 27 d.p.”.

Wiele lat później dowiedziałem się z publikacji krajowych, że dywizja została rozbrojona na wyraźne, kategoryczne żądanie podpułkownika „Grzegorza” i innych wysokich osobistości z Polskiej Partii Robotniczej.

Po złożeniu broni, wszystkie oddziały maszerowały milcząc do lasu w pobliżu miejscowości Tartak. Na skraju lasu nastąpiła przerwa i odpoczynek. I nocleg, chociaż czasu na spanie zostało niewiele.

Rano dowództwo dywizji nie zdecydowało się na propozycję radzieckich władz wojskowych, aby ewentualnie zreorganizować i ponownie uzbroić dywizję. Po tym, co zaszło w Skrobowie i Lubartowie, nie ufano już radzieckiemu dowództwu, przeciwnie – przewidywano represje.

Dowództwo dywizji zdecydowało zwolnić żołnierzy z przysięgi i rozpuścić, dając wolną rękę żołnierzom w decydowaniu o sobie. W batalionach odczytano rozkazy pożegnalne, w których wyrażano również troskę o bezdomność żołnierzy, gdyż ich rodziny pozostały na Wołyniu.

Dowódca dywizji „Twardy” wydał rozkaz rozejścia się, a na pocieszenie życzył zbiórki w Warszawie.

Tak zakończyły się chlubne i dramatyczne karty 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Dnia 26 lipca 1944 roku małymi, paro- lub kilkunastoosobowymi samorzutnie dobranymi grupkami, wyruszyliśmy w różne strony na żołnierską tułaczkę.

Jedni kierowali się do Warszawy na powstanie, o którym wiedzieliśmy, że będzie. Kilkunastu naszych żołnierzy z Warszawskiej Kompanii, z porucznikiem „Piotrem” na czele, kilka dni wcześniej udało się do Warszawy. Inni w świętokrzyskie lasy, by tam w partyzantce dalej bić się z Niemcami. Niektórzy nie wiedzieli, co mają z sobą począć, byli pełni gorczy i zawodu.

Liczni trafili w różnoraki sposób do ludowego Wojska Polskiego, na berliński szlak, na fronty od Wisły do Łaby, od Lublina do Drezna i Czechosłowacji, kontynuując dalszą, przerwana nie z ich winy, walkę z Niemcami. Wielu z nich poległo, znacząc drogę żołnierskimi imiennymi i bezimiennymi mogiłami. Byli też tacy, którzy znaleźli się w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, a nawet we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Niektórym bez większego wysiłku w nieco innych okolicznościach udało się powrócić do Skrobowa, do tego historycznego Skrobowa, do obozu dla internowanych żołnierzy Armii Krajowej.

Część żołnierzy jeszcze długo krzywdzono. Płacono nieufnością, często więzieniem i syberyjskimi łagrami, a nawet śmiercią. Doba kultu jednostki i wypaczeń przedstawiała ich jako potencjalnych wrogów Polski Ludowej.

Jak już wcześniej wspomniałem, sporo żołnierzy zdecydowało się dotrzeć do Warszawy przed powstaniem. Spodziewali się, że będzie ich więcej. Dotarcie do Warszawy od strony Lublina, czyli od wschodu, z każdym dniem coraz bardziej stawało się niemożliwe, z uwagi na toczące się działania wojenne. Wydawało się, że bardziej dogodnym miejscem przejścia Wisły będą okolice Opola Lubelskiego, także z uwagi na dość rozbudowaną i dobrze działającą sieć konspiracyjną AK. Toteż porucznik „Gzysm” polecił „Bostonowi” zorganizować niedużą grupę, która przetarłaby najkrótszą drogę do Wisły w rejon Opola Lubelskiego, przeprowiła się przez rzekę i na jej zachodnim brzegu zorganizowała punkt kontaktowo-informacyjny dla żołnierzy podążających do Warszawy.

„Boston”, jak zawsze, pamiętał o mnie. Wybraliśmy paru naszych chłopców z dawnego plutonu cekaemów: „Orła”, „Jastrzębia”, „Roga”, „Oko”, „Mazurka” (I. Horoszkiewicz) – była sanitariuszkę.

Następnie odbyliśmy rozmowę z „Gzymsem”, który wręczył nam dokładną mapę, udzielił kilku praktycznych wskazówek, między innymi, jeśli dotrzemy do Warszawy, mamy się skontaktować w Prudentialu (najwyższym budynku) na placu Napoleona, panem Brezą. Wyruszyliśmy najkrótszą drogą do wsi Karczmiska nad Wisłą.

Po dwóch dniach dotarliśmy nad Wisłę. Drugiego dnia wieczorem mieliśmy forsować rzekę na wysokości Karczmisk.

Po nieudanej próbie przeprawy, co okazało się niemożliwe, gdyż na Wisłę zdążył już utworzyć się front, postanowiliśmy zatrzymać się parę dni, mając nadzieję, że może coś się zmieni. Ponadto mieliśmy możliwość wyrobienia dokumentów tożsamości – kenkart.

W Karczmiskach u gospodarza, u którego w stodole spaliśmy, stanął na kwaterze jakiś radziecki generał, który chwilowo był nieobecny. Miał ordynansa, lat około pięćdziesięciu, z sumiastym wąsem. Spotkałem się z nim na podwórku. Zaczęliśmy rozmawiać, lecz nie kleiła nam się ta rozmowa. Może z powodu mojej małej znajomości języka rosyjskiego. Po chwili zaprosił mnie do chałupy i usadził w kuchni przy stole i zapytał: „*Nu, młodoj czelowiek, wypijosz stakańczyka?*” (No, młody człowieku, wypijesz kielicha?). Nie zaprzeczyłem. Wyszedł na chwilę do ogrodu i przyniósł parę cebul. Ukroił dla każdego kawał razowca i słoniny. Poszedł gdzieś do kąta i coś do menażki nalewał i mieszał. Za chwilę przyniósł duże szklanki napełnione jakimś mlecznego koloru płynem i powiada: „*Nu, na zdorowie* (No, na zdrowie). Ledwie dotknąłem szklankę ustami, natychmiast mnie odrzuciło. Omal nie przewróciłem się tak odróżający i śmierdzący był to płyn – rozcieńczony wodą, może jeszcze czymś, denaturat. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i powiedział: „*Nu, jesli nie moziesz, ja wypiu twojo zdorowie*” (No, jeśli nie możesz, ja wypiję twoje zdrowie). I wypił. Najpierw ze swojej szklanki. Przekąsił. Potem z mojej.

No i niech będzie na zdrowie – pomyślałem.

Nazajutrz zatrzymaliśmy się w Karczewicach. Cofnęliśmy się parę kilometrów od frontu, gdyż przebywanie na pierwszej linii nie było rozsądne i zbyt bezpieczne. Poza tym w Karczewicach w urzędzie gminnym mieliśmy otrzymać dokumenty tożsamości. Następnego dnia przenieśliśmy się do miejscowości Szczuczki, koło Poniatowej. Tu, jakby powiedzieć, z marszu przystąpiliśmy do pomocy miejscowym gospodarzom w żniwnych pracach. Za to dostawaliśmy jedzenie. I czekaliśmy na kenkarty, czyniąc dalej przygotowania do wymarszu do Warszawy.

Nadszedł dzień 1 sierpnia 1944 roku. Wieczorem z „Bostonem” byliśmy u naszego opiekuna, miejscowego rolnika, wielce szacownego, wspańskiego i zacnego człowieka, pana Zakrzewskiego. Od niego dowiedzieliśmy się o wybuchu powstania w Warszawie. Sprawa dotarcia do Warszawy całkiem się skomplikowała.

Następnego dnia zdecydowałem się pojechać rowerem do Lublina i Ostrowia Lubelskiego. Wiedziałem, że w Ostrowiu mieli się zatrzymać niektórzy nasi chłopcy, a przede wszystkim „Kret”. Miał tam dziewczynę.

Najpierw jednak chciałem być w Lublinie, gdyż wydawało mi się, iż w wielkim mieście prędzej będzie można zorientować się w ogólnej sytuacji. Niezależnie od tego, miałem nadzieję, że spotkam kolegów, żołnierzy-tułaczy, z naszej dywizji i od nich może dowiem się czegoś więcej.

Wtedy większość społeczeństwa nie orientowała się co do przyszłości własnej i Polski. A co dopiero takie nastolatki jak ja, bez życiowego i politycznego doświadczenia. Przeróżne były wiadomości i informacje. A to, że Wojsko Polskie walczące na Zachodzie zbliża się do granic Polski albo, że część Wojska Polskiego przetrzucona zostanie samolotami z Zachodu do kraju, szczególnie do Warszawy na pomoc powstaniu. To znów, że wszystkich akowców Rosjanie będą wywozić na Syberię. Tak czy inaczej, mnie i moich rówieśników, którzy z własnej woli oddani byliśmy sprawie patriotycznej walki na śmierć i życie z niemiecką okupacją, spotkał wielki dramat. Bez powodów zabrano nam broń, pozbawiając udziału w walce z Niemcami. Co więc mogliśmy myśleć? Byliśmy zdezorientowani. Kto z kim i kto przeciw komu.

Tego jeszcze dnia przed południem byłem w Lublinie. Miasta nie znałem i nie miałem tam nikogo znajomego. Krążyłem więc rowerem po nieznanym mi ulicach z myślą, że spotkam kogoś z kolegów lub znajomych. Przy okazji zwiedzałem miasto. Widać jeszcze było ślady niedawnej bitwy: „poranione” domy, gruzy i rumowiska. Miasto jednak zaczęło żyć swoim życiem. Były otwarte sklepy i wszystko można było kupić.

Znalazłem się w browarze. Rozdawano darmo czy sprzedawano piwo, dokładnie nie pamiętam. Podszedłem do obsługującego. Nalał mi piwa w moją manierkę i butelkę. Zapłaty ode mnie nie chciał. Byłem spragniony, a może z głodu bardzo chciało mi się pić. Duszkciem opróżniłem butelkę. Piwo było zimne, smaczne i orzeźwiające. Ruszyłem w miasto. Ulica Lubartowska – smutna, trochę zniszczona. Polscy żołnierze z armii Berlinga z cywilną ludnością oczyszczali ulice. Usuwano jakiś sprzęt, zabite konie, a może i ludzkie trupy. Szybko stamtąd się wyniosłem, gdyż panował tam niesamowity smród.

Zatrzymałem się na chwilę przy rozprawiającej o czymś grupce ludzi. Opowiadali, że Niemcy uciekając z Lublina, na lubelskim zamku, w którym mieściło się więzienie, rozstrzelali ponad stu więźniów. Rodzi-

ny pomordowanych podobno do tej pory rozpoznają swoich najbliższych i zabierają ich ciała. Nie, nie chciałem tam iść, aby popatrzeć na to straszne dzieło hitlerowskich oprawców. Dalej zwiedzając, znalazłem się przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Ujrzałem tam znów przerażający obraz, chodzące, ledwie poruszające się żywe kościotrupy w pasiastych ubraniach. Byli to więźniowie z obozu śmierci z Majdanka. Byli tak wycieńczeni, że po oswobodzeniu obozu leczono ich, aby wróciły im siły.

Na murach miasta widniały różne afisze informujące o: Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, reformie rolnej, władzy ludowej, odezwie do żołnierzy Armii Krajowej itd.

Znalazłem się na ulicy Łączyńskiej lub Łęcznej. Zobaczyłem ławkę. Usiadłem, aby odpocząć i pozbierać myśli. Zastanawiałem się, czy mam jechać do Ostrowia Lubelskiego, czy też znaleźć gdzieś nocleg w Lublinie. A może wracać do „Bostona”. Kiedyś mieszkali w Lublinie moi dalsi krewni, ale adresu nie pamiętałem. Chciało mi się pić. Sięgnąłem więc do manierki, miałem tam jeszcze piwo. Pociągnąłem dwa lub trzy porządne łyki. Było ciepłe i niesmaczne. Ale to nic, pragnienie ugasiłem. Niebawem przysiadł się do mnie jakiś człowiek. Zaczęliśmy rozmawiać. Dowiedziałem się, że pochodzi z Wołynia i jest uciekinierem. Uciekł z żoną i nieletnią córką przed ukraińskimi siepaczami. Mieszkał niedaleko na tej samej ulicy. Po chwili zaprosił mnie do swojego skromnego mieszkanca, jednego pokoju w marnej, prawie rozwalającej się oficynie. Przyjęto mnie gościnnie.

Poczęstowano mnie i ułożono w jednym z kątów na przygotowanym przez gospodynię domu legowisku. Usnąłem natychmiast. Rano wstałem wypoczęty. Od razu przyszła mi myśl. Na razie nie pojadę ani do „Bostona”, ani do Ostrowia. Nie będę też bez celu kręcił się w Lublinie. Widziałem wczoraj na tej ulicy stojącą kolumnę radzieckich wojskowych samochodów, która podobno z Kowla dowozi dla frontu benzynę. Za chwilę byłem już przy tych samochodach. Zapytałem pierwszego z brzegu, chyba sierżanta, nie znałem się na radzieckich stopniach wojskowych, czy jadą do Kowla. Odpowiedział, że tak. Zapytałem więc, czy mogę się z nimi zabrać, gdyż wracam do rodziny. Zapytał, gdzie mam rodzinę. Powiedziałem, że w Kiwercach i tam chcę jechać. Zamyślił się na chwilę. Odgryzł zadarty naskórek na palcu prawej ręki, zdjął z czubka języka małeńki kawałek skórki, przyjrzał mi się dokładnie, następnie wyrzucił i powiedział, że za godzinę odjeżdżają. A jeśli mogę, to mam się postarać o butelczynę wódki, bowiem mają dobrą zakąskę, *swinnuju tuszonku* (wieprzowina w konserwie).

Jednym susem znalazłem się w mieszkaniu wczoraj poznanego Wołyniaka i poprosiłem, aby, jeśli to możliwe, kupił mi dwie lub trzy butelki wódki albo bimbrow. Wszystko jedno co. Po prostu, potrzebuję na opłatę przejazdu do Kowla. Pieniądze jeszcze miałem z żołdu. Istotnie, mój wczorajszy znajomy za kilkanaście minut był z powrotem z bimbrem. Poprosiłem tych zacnych i gościnnych ludzi o przechowanie przez kilka dni mojego roweru. A jeśli nie wrócę, bo wszystko może się zdażyć, to rower zostanie ich własnością.

Pożegnałem się i już za następnych kilkanaście minut jechałem, ulokowawszy się między pustymi beczkami, wojskowym samochodem do Kowla. Stamtąd pilno mi było dostać się do Kiwerc, następnie do Przebraza. Tam prawdopodobnie, jeśli w ogóle żyją, mieszkają u mojej ciotki moi rodzice. Zapragnąłem nie tylko ich odwiedzić, ale na swoją rękę ewakuować ich na Lubelszczyznę. Wobec nadarzającej się okazji, chciałem wyrwać ich z piekła, które przeżyli na Wołyniu.

Decydując się na tę podróż, niewątpliwie ryzykowałem. Przecież nie wiedziałem, jaką zastanę sytuację. Co wyczyniają Ukraińcy. Czy dalej trwa tam rzeź Polaków. A może władzy radzieckiej się nie podobam. Może mnie aresztują lub znajdę się gdzieś na Syberii. Było wiele niewiadomych. A pomysł mój może był szalony, ale chciałem rodziców ochronić przed śmiercią. Chciałem ich zabrać i tym samym transportem, z którego ja skorzystałem, przewieźć na Lubelszczyznę do Polski, do swoich.

Z Lublina do Kowla jechaliśmy przez Piaski, Chełm Lubelski, Hrubieszów, Uściług, Włodzimierz Wołyński. Jechaliśmy przez wsie, osiedla, miasteczka. Po drodze było wiele spalonych chłopskich domostw. Nagie, osmolone dymem kominy sterczały wśród kupy gruzów.

Podróż trwała kilka godzin. Gdzieś po drodze nasza samochodowa kolumna zatrzymała się, aby dać wytchnienie maszynom i się posilić. Mnie także poczęstowano wspaniałą konserwą, czyli *tuszonką*. Był także poczęstunek bimbrem, który z sobą zabrałem. Podczas postoju, przez ciekawość, zapytałem, czy zdarza się, że kolumny są ostrzeliwane przez ukraińskich nacjonalistów. Odpowiedziano, że owszem, zdarzają się nawet często, lecz bez większych szkód. Postój nie trwał długo. Na wieczór zajechaliśmy do Kowla. Można więc powiedzieć, że pierwszy etap mojej podróży zakończył się szczęśliwie. „Mój” czerwonoarmista, jak się okazało, był uczciwym i solidnym przewoźnikiem. W Kowlu zaprowadził mnie do innej kolumny samochodowej i zlecił swojemu znajomemu czy

koledze zawiezenie mnie do Kiwerc. Z Kiwerc do Przebraża tylko osiem kilometrów.

Do Kiwerc wyruszyliśmy wieczorem. Była już noc i było trochę chłodno, tym bardziej że jechałem samochodem bez plandeki. Nie miałem swetra, ani nic cieplejszego. Byłem tylko w koszuli i cywilnej pożyczonej marynarce. Mundur wojskowy zostawiłem u „Bostona”, lepiej podróżować po cywilnemu. Jeden z żołnierzy wychylił się z szoferki i podał mi płaszcz – pelerynę – bo może jest mi chłodno. Podziękowałem i chętnie skorzystałem. Pomyślałem, troskliwi i czuli są ci frontowi ludzie.

Mijaliśmy znów wioski i osiedla. Jechaliśmy przez zalesione tereny lub prawie puste przestrzenie. Mijaliśmy zdradliwe bagna, rozległe trzęsawiska zarosłe sitowiem i oczeretami. To znów wjeżdżaliśmy jakby w tunel, który tworzyły korony przydrożnych drzew. Przebłyskiwały srebrne wody leśnych jezior i bagien. Czasami mignęła wydma białego piasku. Zabudowań przy drodze było mało.

Zauważyłem dużo pogorzelsk. Widać było, że przeszła tędy wojna.

Grubo po północy, za jakąś wsią, wpadliśmy w ciemny las. Srebrny księżyc coraz wyżej się wspinał i rozjaśniał wierzchołki drzew. Od lasu ciągnęła woń wilgotnego runa i pleśniejących grzybów. Panująca naokoło cisza dawała poczucie spokoju, chociaż w każdej chwili mógł zaterkotać karabin maszynowy lub wybuchnąć granat.

Kręcili się tu jeszcze banderowcy lub inne odłamy bandytów ukraińskiego nacjonalizmu.

Bez żadnych przygód, rankiem byłem w Kiwercach. Poczułem się jak w domu, chociaż jakoś obco. Widziało się sporo radzieckiego wojska. Na stacji transporty ze sprzętem wojennym i wojskiem. Na pewno jechały na front. Na ulicach umundurowana radziecka milicja. Ludzi cywilnych na ulicach też się sporo kręciło. Przeważnie kobiety i mężczyźni w podeszłym wieku. Widocznie młodych zmobilizowano do wojska. Mam tu sporo znajomych. Muszę do kogoś wpaść i dowiedzieć się, co słychać w Przebrażu, czy jeszcze istnieje i jaka jest możliwość dobrnięcia tam. Pomyślałem, że najpierw udam się do szpitala, do znajomego lekarza, doktora Kałużyńskiego, który swego czasu także mieszkał w Przebrażu u mojej ciotki. On z całą pewnością jest w ścisłym kontakcie z Przebrażem. A jeśli nawet go nie zastanę, to zasięgnę potrzebnych mi informacji od kogoś z personelu szpitalnego lub nawet od chorych. Na pewno tam ktoś z przebrażaków przebywa.

Idąc do szpitala, spotkałem znajomą dziewczynę Celinę. Niestety, tej sympatycznej, miłej dziewczyny nazwiska nie pamiętam. Od niej dowiedziałem się, że Przebraże przetrwało. Po wkroczeniu w lutym na te tereny radzieckich wojsk, ukraińskie bandy gdzieś się rozpiechły. Teraz jest spokój.

Za te niespodziewane, radosne wiadomości z „dubeltówki” ucałowałem Celinę. A gdybym mógł, uchylałbym jej także nieba. Powiedziała mi jeszcze, że droga do Przebraża jest spokojna i można się tam zabrać okazją. Mówiła, że wielu naszych wspólnych znajomych i kolegów z Kiwerc i Przebraża zmobilizowano do polskiego wojska.

Wszystko już wiedziałem, nie musiałem szukać innych kontaktów. Porozmawialiśmy jeszcze z Celiną o innych sprawach. Ucałowałem ją na pożegnanie i udałem się spokojnym krokiem do szpitala. Ale już nie w celu jaki miałem przedtem. Przypuszczałem, że będą tam jakieś przebrazańskie furmanki. Było już po południu. Istotnie, spotkałem gospodarza z furmanką, z którym za niecałą godzinę byłem w Przebrażu.

U rodziców pojawiłem się jak duch. Nie mieli najśmielszych nawet przypuszczeń, że mogę się pojawić. Zaskoczenie, konsternacja i obopólna ogromna radość. Dotykano mnie niemalże, czy to jestem ja. Uważano mnie za nieżyjącego. Rodzina miała takie wiadomości z tak zwanej poczty pantoflowej. Wzięło to się stąd, że wielu chłopców z części 27 Dywizji, która tak dramatycznie przebijała się przez Prypeć i front na radziecką stronę, zginęło. Mówiono, że stu kilkudziesięciu żołnierzy. Wielu rannych przywieziono do szpitala samoobrony w Przebrażu. Wśród tych rannych rodzice poszukiwali mnie. Mówiono im, że jeśli nie ma mnie wśród rannych, to jestem wśród zabitych, bowiem gdybym żył, to bym się odezwał. I tak mnie uśmiercono i oplakiwano.

Nagle pojawiłem się cały i zdrowy. Oczywiście zbiegła się zaraz cała bliższa i dalsza rodzinka i znajomi. Opowiadaniom i pytaniom nie było końca. Dowiedziałem się, że z mojej dość licznej rodziny kilku mężczyzn jest w I Armii Wojska Polskiego. Jeden z wujów, Cyprian Krupiński, zginął. Mój brat i wuj Felicjan Żołendziwski, którzy dotąd czynnie walczyli w samoobronie w Przebrażu, zostali zmobilizowani i obecnie są w szkole oficerskiej w Riazaniu. Najmłodszy był z rodzicami, za młody nieco do wojaczki, ale na wszelki wypadek nie ujawniał się, że istnieje i żyje. Był dobrze zbudowanym chłopcem, na rekruta się nadawał, a już na pewno na armatnie mięso. Zdecydował się uniknąć „wojenkomatu”.

Powiedziałem rodzicom, że chcę ich na własną rękę ewakuować na razie na Lubelszczyznę. Wprawdzie w nieznane, ale zdecydowałem się to zrobić w trosce o ich życie, a poza tym na Wołyniu i tak już niczego nie mieli. Wszystko co posiadali zostało przez ukraińskie bandy rozgrabione i spalone w Przebrażu.

Rodzice bardzo się ucieszyli z mojej inicjatywy, ale ojciec oficjalnie już zgłosił chęć ewakuacji w pierwszej kolejności i w zasadzie oczekiwali na wyjazd. Woleli więc poczekać na liczniejsze towarzystwo, bowiem w nowym miejscu osiedlenia łatwiej będzie się zaadoptować. Przyznałem ojcu rację, tym bardziej że czas nastał bardziej spokojny i bezpieczniejszy.

U rodziców gościłem tylko dwa dni. Ojciec radził mi, abym jak najszybciej wyjechał, albowiem wiele osób zostało aresztowanych – między innymi Zygmunt Drzewiecki, aktywny działacz konspiracji, działający przede wszystkim w wywiadzie AK, mój „nauczyciel” wywiadu i partyzantki, Ludwik Malinowski, komendant cywilny samoobrony Przebraża. Poszukiwany był „Harry”, komendant samoobrony w Przebrażu. Słowem NKWD myszkowało, czegoś szukało, o ludzi się dopytywało.

Trzeba było wracać, gdzieś na tułaczkę. Zaopatrzyłem się znów w bimber i wyruszyłem w drogę w identyczny sposób jak do Kiwerc i Przebraża. Wszystko ułożyło się szczęśliwie, gładko i bez przeszkód. I znów znalazłem się w Lublinie. Było parę godzin do zmroku. Wpadłem do mojego znajomego Wołyniaka, aby odebrać rower. Kilkanaście minut porozmawiałem z moimi zacynymi gospodarzami, opowiedziałem, co słychać na Wołyniu, byli tego ciekawi. Serdecznie im jeszcze raz podziękowałem za wszystko i wyruszyłem do Ostrowia Lubelskiego. Po około trzech godzinach byłem w Ostrowiu u Stasia „Kreta”.

Nazajutrz, w pierwszej kolejności odwiedziłem Danusię. Darzyłem ją wielką sympatią i młodzieńczym, czystym, bezinteresownym uczuciem. Była wcieleniem wszelkich cnót. Widziałem Danusię jeszcze trzy razy, jednak brutalne losy rozdzieliły nas. Widać tak być musiało.

W Ostrowiu, jak przypuszczałem, spotkałem paru innych naszych chłopców, między innymi „Jerzyka”, z którym zdecydowaliśmy dotrzeć do Warszawy. Na taką decyzję wpłynęło jeszcze i to, że nowo kreowana milicja zaczęła deptać naszym chłopakom po piętach. Niektórych aresztowano tylko dlatego, że byli akowcami.

Któregoś dnia pożegnałem się z Danusią, jej rodziną i kolegami. Wyruszyliśmy z „Jerzykiem” do Lublina. Szliśmy pieszo, ale po jakimś czasie

trafiła nam się okazja wojskowym samochodem do Zawieprzyc lub Spiczyna. Tam byliśmy legitymowani przez milicjantów. Nie mieli jeszcze umundurowania. Byli w cywilnych ubraniach. Na rękawach mieli opaski. Byli zaopatrzeni w broń. Powiedzieliśmy, że jedziemy do Lublina do wojska. W Lublinie przenocowaliśmy u znajomej z czasu postoju naszego batalionu w Ostrowiu, pani Dziobakowej. Rano wyszliśmy na roгатki miasta na warszawską szosę. Zatrzymaliśmy pierwszy lepszy wojskowy samochód i dojechaliśmy prawie do Kurowa. Przed Kurowem wysiedliśmy, dlatego, że w Kurowie był radziecki wojskowy punkt kontroli drogowej. Kierowcy nie chcieli, aby ich się czepiano. Po prostu nie chcieli mieć z nami do czynienia. My także na wszelki wypadek pieszo obeszliliśmy Kurów, wyszliśmy znów na warszawską szosę, aby złapać okazję i dalej jechać w kierunku Warszawy.

W podobny sposób przespacerowaliśmy się w Garwolinie. Znow jechaliśmy do Otwocka. W Otwocku pod sosnami czekaliśmy do świtu. „Jerzyk” miał kuzyna w Otwocku. Pamiętał adres. Odnaleźliśmy. Chętnie nas przyjął, chociaż z obawą powiedział, że w Otwocku wśród akowców milicja przeprowadza aresztowania. Zatrzymaliśmy się tylko na dwa dni w celu rozpoznania terenu i znalezienia sposobu dotarcia do Warszawy.

W Otwocku stacjonowało sporo wojska radzieckiego i polskiego z armii generała Berlinga. Tu spotkałem w pułku, a może brygadzie artylerii I Armii Wojska Polskiego znajomych zmobilizowanych do wojska po wkroczeniu na Wołyń armii radzieckiej.

Spotkałem również mojego wuja Leona Krupińskiego – artylerzystę, uczestnika wojny 1939 roku.

Niemcy kilka razy dziennie ostrzeliwali artyleryjskim ogniem Otwock. W szczególności tory i stację kolejową. Któregoś dnia podczas takiego ostrzału artyleryjski pocisk trafił na przejeździe kolejowym w chłopską furmankę. Zginął furman. Zabite zostały konie i roztrzaskana w drobny mak furmanka.

Z Otwocka do walczącej Warszawy szliśmy na przełaj. Zdawaliśmy sobie sprawę z trudności naszego przedsięwzięcia. Gnała nas młodość i wiara w nasz cel. Szliśmy do chłopców takich jak my, naszych kolegów. Do naszych dowódców, których lubiliśmy i wierzyliśmy w nich – oficerów: „Piotra” i „Czarnego” z Kompanii Warszawskiej saperów, w której przecież także byliśmy. Chcieliśmy razem z nimi walczyć jak dotychczas na Wołyniu i Lubelszczyźnie, o Warszawę, o naszą stolicę. Im udało się

do Warszawy dotrzeć przed wybuchem powstania. Czy nam się uda? Nie wiedzieliśmy.

Z perspektywy czasu wiadomo, że zamiar był raczej nierealny. Ale dla nas wówczas nie było przeszkód, nie było złych dróg.

Dotarliśmy w rejon na północny zachód od Falenicy, gdzieś między miejscowościami Las i Gocław. Stąd już widzieliśmy i słyszeliśmy walczącą Warszawę. Tu gdzieś przypadkowo spotkaliśmy się z radzieckim wojskowym patrolem zwiadowczym, który nie dał się przekonać o naszej intencji przedostania się do walczącej Warszawy. Przeciwnie, dokładnie zostaliśmy zrewidowani, zabrano nam paski do spodni, więc musieliśmy podtrzymywać je ręką. Dla odmiany nas potraktowano jako niemieckich zwiadowców. Doprowadzono do jakiejś radzieckiej jednostki wojskowej w Dębem Wielkim koło Mińska Mazowieckiego. Tam co prawda po kilku godzinach sprawa się wyjaśniła, nie uznano nas za niemieckich zwiadowców ani szpiegów. Zostaliśmy więc przyjęci na „wikt” w wojskowej kuchni, kwatery zaś otrzymaliśmy w stodole pod strażą.

Wkrótce zorientowałem się, że takich stodoł było kilka, w których „zakwaterowanych” było kilkudziesięciu delikwentów, podobnie jak my – akowców.

Po dwóch dniach zrobiono zbiórkę, na której przemawiał radziecki oficer, oznajmiając, że wszyscy pójdziemy do wojska, do dywizji *Po-szczuski*. Zorientowaliśmy się, że mieliśmy być wcieleni do Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Politrak nie potrafił wymówić nazwiska Kościuszko – było trochę śmiechu. Po przemówieniu, cały czas pod gorliwą ochroną radzieckich żołnierzy, odtransportowano nas do Mińska Mazowieckiego i tam również ulokowano w jakichś szopach i pod strażą. Po dwóch dniach przywieziono, wciąż pod konwojem, sowieckich żołnierzy do Lublina do przedwojennych wojskowych koszar 8 Pułku Legionów. Stamtąd następnego dnia zawieziono na Majdanek, na tak zwane ostatnie pole przy szosie Lublin – Chełm, do 3 Zapasowego Pułku Piechoty. Zakwaterowano w barakach, w których przed nami przebywali więźniowie obozu koncentracyjnego.

Tu cały personel był polski. Wszystkie funkcje sprawowali oficerowie i podoficerowie z armii Berlinga.

Przywiezionych przydzielono do różnych kompanii. Nie były to kompanie liniowe, po prostu formowano kompanie liczące po sto osób, które oczekiwały na tak zwanych kupców. Polegało to na tym, że przyjeżdżali

oficerowie z różnych pułków, brygad i zabierali („kupowali”) parę setek poborowych, ochotników, rezerwistów, jak kto woli, i takich delikwentów jak my, którzy korzystali z prawa pierwszeństwa, aby nas szybciej się pozbyć, którymi z kolei uzupełniano osobowe stany jednostek wojskowych.

Mnie i paru innych przywiezionych zatrudniono w biurze rejestracji przybywających do zbornego punktu uzupełnień. Wpisywaliśmy na listy personalia poborowych lub ochotników, rok urodzenia, narodowość, wykształcenie, stopień wojskowy, dane o służbie w wojsku.

Przyznam, że ten przydział do biura rejestracji odpowiadał mi, chociaż wiedziałem, iż nie na długo. Na front nie było mi spieszno, więc dobre i na krótko. W zanadru nosiłem postanowienie „zwinięcia żagli”, lecz w odpowiednim czasie, gdyż służba w wojsku, cholera wie w jakim, ale wiadomo było pod czyją opieką i czym zwierzchnictwem, mnie w żadnej mierze nie odpowiadała. W tym względzie miałem bardzo przykre doświadczenie. Przecież na froncie na Wołyniu sojuszniczo walczyliśmy ramię w ramię z sowieckimi żołnierzami przeciwko najeźdźcy, a jednak wkrótce nie pozwolono nam walczyć. Odebrano broń. Zniwolono próbą wcielenia bez mojej woli do wojska, po to, by zostać kawalkiem armatniego mięsa. Wcześniejsze przykłady, jeszcze z partyzantki: zastrzelono w sposób skrytobójczy dowódcę oddziału partyzanckiego AK Krwawa Łuna porucznika „Drzazgę” wraz z jego sztabem; aresztowano i skazano na karę śmierci dowódcę oddziału partyzanckiego AK kapitana „Bombę”, następnie wyrok zamieniono na kilkunastoletnie łągry. Podobnych przykładów było więcej.

Nie wiedziałem w końcu, o co mam walczyć, bo przecież nie o to, o co walczyłem. Nie widziałem sensu walki obok „sojusznika”, który nie raz już zawiódł.

Na razie jednak miałem dach nad głową, prymitywne spanie bez sieniaka i koca, na gołej pryczy i jakie takie jedzenie. Z jedzeniem nie było najgorzej, bowiem nowo przybywający, w większości, przywozili z sobą porządne wałówki, którymi dzielili się z nami.

Pracy w biurze rejestracji nie mieliśmy dużo. Natomiast inni pozostali oczekujący na „kupców”, poza obieraniem ziemniaków, doraźną pomocą w kuchni, nie mieli żadnego zajęcia. Wałęsali się po terenie całymi dniami. Niektórzy zapamiętali grywali w karty, głównie w oczko, czyli dwadzieścia jeden. Naiwniacy przegrywali wszystko, co mogli przegrać, wtedy rezygnowali z hazardu.

W drugim lub czwartym dniu pobytu na Majdanku wybrałem się obejrzeć ten był obóz śmierci, szczególnie niektóre obiekty.

Część baraków zajmowało wojsko. W niektórych mieściły się osobliwe, a zarazem makabryczne magazyny. Zmagazynowano tam stopy przeróżnych ubrań, męskich i damskich butów, dziecięcych ubrań i bucików. Zdartych zapewne z nieszczęśników idących na śmierć. W innym baraku zmagazynowane były różnego koloru ludzkie włosy. Stopy okularów, dziecięcych także. Przybory toaletowe męskie i damskie. Portfele, portmonetki, grzebienie, paski, szelki, spinki koszulowe i różne inne osobistego użytku. Wszystkie te rzeczy dokładnie były posegregowane, leżały na swoim miejscu oddzielnie ubrania, buty, oddzielnie damskie, męskie, dziecięce. Przerazająca była ta niemiecka dokładność, pedanteria i „gospodarność”.

Komora gazowa, w której cyklonem uśmiercano więźniów, była nieknięta. Stało tam jeszcze sporo puszek zabijającego proszku.

Niedaleko komory gazowej było krematorium. Budynek krematoryjny był zniszczony, zaś piece zachowały się w całości. Otwarte były te piece, a w nich duże, długie, okołodwumetrowe metalowe szufle, podobne do sanitarnych noszy, zamontowane na prowadnicach, po których szufle z ludzkimi zwłokami wpychano do pieca. W piecach pozostały na pół spopielone ludzkie kości. Widać oprawcy musieli szybko opuszczać krematorium i obóz. Podobno popiołem ludzkiego pochodzenia hitlerowscy zwyrodnialcy użyźniali pole leżące na terenie obozu, na którym uprawiano kapustę, brukiew i inne warzywa, a nimi karmiono więzionych. Jakież to wszystko tragiczne i makabryczne!

Gdzie indziej na terenie obozu znajdował się duży wykop, co najmniej sto pięćdziesiąt bieżących metrów, głębokości około trzech metrów. W nim ułożone były, znów z niemiecką pedanterią, jak w sągach drewno, ludzkie kości. Nie wiem, co robili lub co mieli robić z tych kości, gdyż rów był odkryty. Przypuszczam, iż kości te palono.

Nie do wiary, co tam widziałem. Nie do wiary, aby w dwudziestym wieku cywilizowany naród dopuścił się takiej zbrodni. To straszne hitlerowskie barbarzyństwo wywarło na mnie przerażające wrażenie. Takie obrazy odbierały sen i apetyt. Wszystko, co tam widziałem, przesuwało mi się przed oczyma jak kadr na filmowej taśmie. I mdliło mnie.

Po kilku dniach, bez większego trudu wystarałem się o przepustkę do Lublina, leżącego parę kilometrów od Majdanka. Nie byłem umundu-

rowany, poza przepustką nie miałem żadnych wojskowych dokumentów. Legitymowałem się kenkartą na fałszywe nazwisko.

W mieście spotkałem się z kolegami i koleżankami z dwudziestej siódmej. Tułało się ich w Lublinie w tym czasie sporo. Tak jak ja nie bardzo wiedzieli, co z sobą robić. Na rodzinny Wołyń nie było po co jechać, chyba po to, aby zasilić szeregi Armii Czerwonej, w najlepszym przypadku armii Berlinga, a co najbardziej pewne powiększyć statystykę łagierników z szyldem „wróg ludu”. Zresztą osobiście przez kilkanaście godzin na Wołyniu już byłem. Usiłowałem się także przedostać do Warszawy. Myśleliśmy, aby przedrzeć się przez front do partyzantki, w lasy świętokrzyskie lub do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Różne mieliśmy koncepcje, ale wszystkie były mało realne. I tak tułaaliśmy się. Nieraz zabierali nas do siebie na dzień, dwa koledzy z lubelskiej AK, którzy nadzwyczaj z nami się solidaryzowali, pomagali nam. Niestety, było ich z każdym dniem mniej. Topniały szeregi czynnych akowców, których coraz częściej aresztowano i osadzano w więzieniach lub wcielano do wojska, niektórzy wyjeżdżali do innych miejscowości, aby zejść z oczu umacniającej się władzy komunistycznej. Niekiedy dla świętego spokoju własnego i rodzin wstępowali ochotniczo do wojska i szli na front.

Po parotygodniowej włączędze w Lublinie, któregoś dnia, w bardzo rannych godzinach, zastukano gwałtownie do drzwi mieszkania pani Dziobakowej, akowskiej konspiratorki, znajomej jeszcze z Ostrowia Lubelskiego, która często udzielała nam noclegów, sama nie mając najlepszych warunków mieszkaniowych. Byli to ubowcy i Milicja Obywatelska. Około dziesięciu osób zatrzymano. Doprowadzono nas do aresztu przy ulicy Cichej lub Spokojnej. Zaczęły się przesłuchania. Tu jakoś znów dopisało mi szczęście, nie maltretowano mnie. Przesłuchiwał mnie jakiś porucznik w drelichowym mundurze z armii Berlinga. Był przede wszystkim ludzki, pobłażliwy i kulturalny. Traktował mnie nie jak aresztanta.

Wydawało mi się, że tego człowieka gdzieś już widziałem. Kojarzyłem go sobie chyba z jakimś nauczycielem sprzed wojny, którego nie potrafiłem nigdzie umiejscowić. Może to był znajomy moich znajomych, a może znajomy ojca, rodziców. Nurtowało mnie to, tym bardziej że jako przesłuchujący aresztanta naprawdę zachowywał się zadziwiająco pobłażliwie i kulturalnie.

Radził mi, że w mojej sytuacji najlepszym wyjściem jest zgłosić się do wojska. Mówił, że wszyscy, którzy zostali ze mną aresztowani, będą skierowani także do wojska.

W ciągu kilku dni, po umundurowaniu „kupili nas kupcy” i pieszo wyruszyliśmy lubelsko-warszawską szosą na front pod Warszawę. Wśród nas było wielu mieszkańców Lublina. Żegnała i odprowadzała nas do rogatek wojskowa orkiestra i mieszkańcy. Dotarliśmy gdzieś w rejon Rembertowa, Kawęczyna. Tam przydzielono mnie, byłego partyzanta, do zwiadu pułku piechoty. Z niedalekiej już odległości widziałem krwawe łuny nad Warszawą, słyszałem walczące miasto.

Któregoś dnia będąc w patrolu zwiadowczym, prowadzącym rozpoznanie, na krótko przed forsowaniem Wisły przez nasz pułk i inne oddziały, mającym na celu niesienie pomocy walczącej Warszawie, w rejonie Mostu Poniatowskiego od strony Saskiej Kępy patrzyłem przez lornetkę na płonąca i krwawiącą Warszawę. Widziałem zza Wisły częściowo uszkodzony „drapacz chmur” na placu Napoleona. Pomyślałem wówczas, że przecież w nim mieliśmy punkt kontaktowy, w razie gdybyśmy dotarli, po rozbrojeniu, do stolicy.

Następny raz tuż przed desantem wojsk generała Berlinga na lewobrzeżną Warszawę, ponownie byłem na rozpoznaniu, wtedy trafiliśmy na artyleryjski, niemiecki ostrzał, podczas którego zostałem ranny w nogę. Po czym znalazłem się w radzieckim Wojennym Drugim Szpitalu w Otwocoku. Nie jestem pewien, ale chyba nosił taką nazwę.

Dobrze się stało, że nie byłem ciężko ranny. Po paru już dniach kuśtykając, chodziłem. Opuszczałem więc budynek szpitalny, by nie patrzeć na cierpiących. Przebywali tam przede wszystkim radzieccy żołnierze w warunkach urągającym wszelkim zasadom sanitarno-higienicznym. Brakowało leków i żywności. Lekarze, nie przeczę, może nawet byli bardzo dobrymi specjalistami, lecz leczyli jak przysłowiowe „konowały”. Nie można tego było nazwać opieką. Ranni z pogruchotanymi kończynami i otwartymi ranami mieli nałożony gips z otworem dla ran, w których – nie do wiary – często lęły się białe robaczki. Niektórzy rany leczyli własnym moczem. Gnili żywcem, a byli cierpliwi, ci radzieccy żołnierze. Aż dziw brał, że bardzo wielu z nich się wyleczyło.

Oburzony byłem brakiem opieki, troski i poszanowania człowieka, żołnierza, który oddawał swe zdrowie i gotów był oddać życie. Żadnej wdzięczności nie doświadczył ten żołnierz. Zdecydowałem, z tych względów, przed formalnym wypisaniem opuścić szpital i wrócić do Lublina. W dotarciu do Lublina pomogła mi przepustka, którą otrzymałem ongiś w Majdanku, a w której było napisane, że okaziciel udaje się do miasta Lu-

blina, opatrzona również okrągłą pieczęcią z napisem w językach polskim i rosyjskim „Polska Armia w ZSRR”.

Legitymowałem się w radzieckich wojskowych punktach kontroli, zwanymi *regulirowszczykami*, ustawionymi przeważnie u wylotu miast oraz na skrzyżowaniach dróg. Jak się okazało, ta zdezaktualizowana przepustka, która, nie wiem, jakim cudem się zachowała, była doskonałym dokumentem wystarczającym do tego, aby załadowano mnie do pierwszego lepszego wojskowego samochodu i zawieziono do Lublina.

W taki sposób jako rekonwalescent na „polskim urlopie” dotarłem do celu. Na szczęście byli tu znajomi i uczynni ludzie, u których mogłem się zatrzymać, ale przecież ich gościnności nie mogłem nadużywać. A sytuacja w Lublinie bez zmian, akowców tropi bezpieka i enkawude, aresztują, osadzają w więzieniach, niektórych wywożą w głąb Rosji do łagrów. Wielu akowców ujawnia się, zgodnie zresztą z zaleceniami organizacji jak też apelami ludowej władzy, która ujawnionym gwarantuje bezpieczeństwo, w które osobiście nie wierzyłem.

Nasza przebywająca dotąd w Lublinie spora grupa z 27 Dywizji znacznie stopniała. Niektórych bez powodów aresztowano. Sporo ochotniczo zgłosiło się do wojska, gdzie przynajmniej nie musieli martwić się o ubranie i wyżywienie. Jakoś zaczęli się urządzać. Bo co właściwie było robić, nie było gdzie i za co mieszkać, z czego żyć, nie mówiąc o innych życiowych potrzebach. Przecież nie mieliśmy niczego, tylko to co na grzbiecie. Rodzin także nie mieliśmy, przy których moglibyśmy się zatrzymać, lepiej czy gorzej egzystować jak na wojenne warunki przypadało. Można byłoby z powrotem iść do lasu, ale ani to wskazane, ani zalecane, bezcelowe w istniejącej sytuacji z sowieckimi wojskami, enkawudzistami, rodzimą bezpieką z Milicją Obywatelską łącznie.

Przypadkowo spotkałem umundurowanych kolegów od „Sokoła” z 27 Dywizji. Dowiedziałem się, że kilkunastu ich wstąpiło do wojska dla własnego spokoju i przetrwania. Nie mieli już środków do życia. Ponadto mieli też ciche zalecenie. Jako ochotnicy skorzystali z prawa wyboru, więc wybrali jednostkę niefrontową i w niej się zadekowali. Także i mnie doradzali, aby do nich dołączyć.

Długo się nie zastanawiałem. Chłopcy mający już znajomości w wojsku i jakieś możliwości, dwóch pracowało w sztabie ich jednostki, załatwili mi pismo do Departamentu Uzupelnień mieszczącego się przy Krakow-

skim Przedmieściu w Lublinie, w którym proszono o skierowanie mnie do takiej to, a takiej jednostki wojskowej.

W taki oto sposób, bez ujawniania się, nigdy zresztą tego nie zrobiłem, trafiłem już któryś raz do wojska, do sporej grupki kolegów, byłych żołnierzy 27 Dywizji, którzy zawsze byli solidarni i w kontaktach z wieloma dywizyjnymi kolegami, nawet z tymi rozsianymi w wojsku i Polsce. Byliśmy też w kontakcie z majorem „Kowalem” i kapitanem „Hrubym”, do czasu ich uwięzienia. Wielu naszych oficerów z dywizji osadzono w więzieniach bądź zostało wywiezionych do sowieckich łagrów w Riazaniu i innych miejscach.

W wojskowej jednostce ochrony Sztabu Generalnego, w której pełniłem służbę, służyło kilkunastu przedwojennych oficerów starszych i młodszych rangą, od pułkownika do podporucznika, którzy ujawnili się z Armii Krajowej. I oto w listopadzie lub na początku grudnia 1944 roku wszyscy zostali aresztowani. Niektórych wtrącono do więzienia, a niektórych wywieziono do sowieckich łagrów na wiele lat. W naszej jednostce aresztowano nie tylko owych oficerów, represjonowano w podobny sposób szeregowych i podoficerów, przede wszystkim tych, którzy się ujawnili. Niektórych internowano w obozie w Skrobowie, w tym pamiętnym, gdzie odebrano nam broń.

Odmawiano żołnierzom, partyzantom Armii Krajowej, uznania, na jakie zasłużyli. Płacono nieufnością także tym, którzy poszli nie pomni zadanej im krzywdy z wołyńskich lasów na berliński trakt, zdobywając za waleczność oficerskie gwiazdki i generalskie szlify, Krzyże Grunwaldu, Virtuti Militari i Walecznych.

Partyzanckie drogi Wołyniaka były niełatwe, pełne niebezpieczeństw, zasadzek, zakrętów, złożonych spraw. Wreszcie nieznana była zmiana losu i przyszłość.

Historia niech oceni idących tymi drogami i za jaką sprawę walczyli. Jak spełnili obowiązek obrony przed rzezią, biologiczną zagładą polskiej ludności na Wołyniu przez nacjonalistyczne ukraińskie hordy siepaczy i gdy potrzebowała ich Ojczyzna.

